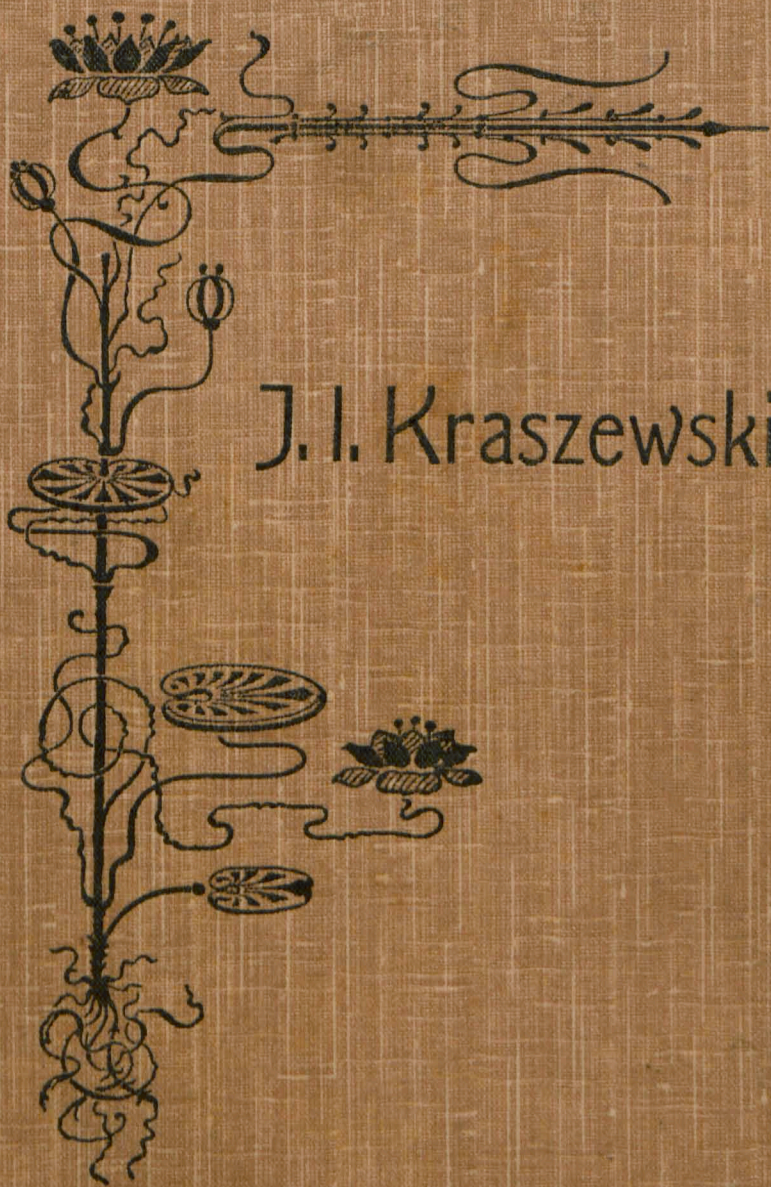




J. I. Kraszewski

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

POWIEŚĆ Z CZASÓW CHROBREGO.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Druk L. SZKARADZIŃSKIEGO i S-ki, Mazowiecka 2.

TOM II.

Kłociński

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Июля 1898 года.



ММ/М/ 260

I.

Obyczajem było Bolesława Wielkiego, gdy do grobu męczennika, do Gniezna przybywał, czas jakiś trwać przy nim na cichej modlitwie. Znało duchowieństwo tę pobożność pańską, i gdy się uroczyste śpiewanie skończyło, ustąpili wszyscy w milczeniu ku wielkiemu ołtarzowi i zakrystyi, króla zostawując samego przy dwu drugich grobowcach, kryjących zwłoki matki, którą kochał gorąco, a której ducha czuł w sobie, i apostoła, dla którego cześć miał jak dla niebios zesłańca.

Dwór też królewski wysunął się z katedry, przed wielkimi drzwiami jej oczekując na wyjście pańskie.

Bolesław pozostał u trumny św. Wojciecha, oświecanej kilku lampami, palącemi się zawsze u zwłok apostoła. Doznawał tu dziwnego uczucia, jak gdyby go z duchem tego patrona i pośrednika związek jakiś tajemniczy łączył, jakby od zwłok tych płynęła pociecha, otucha, i natchnienie. Korzył się tu i spowiadał w myśli i nieraz czuł jakby głos wewnętrzny na jego wyznania odpowiadał. Składał tu troski i odchodził mężniejszym. Na podesłanem wezglowiu przykłąknawszy, z głową spuszczoną, ów zwycięzca w tylu krwawych zapasach pokornym się zdawał pokutnikiem.

W kościele nie było nikogo, panowała cisza... niepostrzeżony tylko, z za śłupa wpatrywał się w kłę-

czącego mnichów, który pozostał, gdy duchowieństwo odchodziło i oczyma nienawistnymi zdawał się napawać widokiem pograżenia i smutku, który się w postawie króla malował. Nieruchomy tak stał zdala ściskając pięści, hamując się, jakby razem pragnął i lękał się wybuchnąć; kilkakroć krok już uczynił naprzód i cofnął.

Z piersi króla wyrwało się głębokie westchnienie. Bolesław podniósł głowę i wpatrzył się bezmyślnie w ciemną głąb kościoła.

Oczy jego oswojone już z ciemnością, patrzyły bystro i postać owa czarna uderzyła Bolesława, choć rysów jej dostrzedz nie mógł. Z sukni tylko poznawszy duchownego, król zdał się uderzony jego przytomnością niezwykłą, domysłając się w nim obcego. W tych ciężkich myślach, jakie go obarczały, szukał ulgi, i, tak samo jak się spowiadał przed pustelnikiem, rad był dźwięnie zesłanego kapłana tego wezwać na pomoc i radę.

Skinął więc ręką ku temu cieniowi mnicha, aby bliżej przystąpił. Postrzegł go stojący naprzeciw, zadrżał, zawahał się, lecz wprędce czarny kaptur zarzuciwszy na głowę, jakby twarz zakrywał, wolnym krokiem ku trumnie przystąpił. Trumna ta tylko dzieliła ich od siebie.

— Obcy tu jesteście? — zapytał król cichym głosem.

— Pielgrzymem jestem... — odparł głos cichy i drżący dziwnie.

— Znacie mnie?

— Wiem, żeście panem i władzcą tego kraju...

— Jeśli piegrzymem jesteście, rozkażę wam dać zasilek na drogę, a proszę o modlitwę...

Mnich stał niemy.

— Zasiłku żadnego nie potrzebuję... przysiągłem na ubóstwo — odezwał się głosem stłumionym — a modlitwy moje królewskiej duszy twej ulgi nie przy-

niosą, jeśli z niej sam nie zrzucisz brzemienia, co na niej cięży...

Tylko od kapłana mógł Bolesław cierpliwie znieść mowę taką, ale z ust duchownego nie zdała mu się dziwna... westchnął tylko.

Mnich zamilkł chwilę, jakby z sobą walczył, i przerwał dobrowolnie milczenie.

— Choć królem jesteś, kajać ci się trzeba... bo tam, gdzie nas sądzą wszystkich żadna korona nie idzie na szalę... a purpura plam nie osłoni... Bóg mi dał, pielgrzymuję po świecie, spotykać ofiary twojego gniewu... Modlą się one za ciebie, lecz by zemstę niebios ściągnęły...

Głos mnicha drżący coraz się podnosił, król oczy weń wlepiwszy, zdumiony, przelekleł niemal, słuchał go w niemem podziwieniu.

— Mnich jestem — dodał — suknia, którą noszę, prawdę mi rzec każe... Kajać ci się trzeba i krzywdy nagrodzić... bez tego nie znajdziesz spokoju duszy, ani u tego grobu, ani w świątyni pańskiej, ani w życiu, ani przy zgonie...

To mówiąc podniósł mnich rękę do góry... z pod kaptura błysło oczów dwoje lśniących i szybkim oddalił się krokiem w głąb, nim Bolesław czas miał powstać i zawołać.

Gdy się wreszcie ruszył z kłęcznika król i obejrzał wkoło, nie widząc nikogo, z zakrystyi wyglądającej kapłan postrzegł to i na skinienie pośpieszył. Bolesław stał blady, gniewny i poruszony.

— Kto był ten mnich, który mi śmiał przerwać modlitwę? — zapytał.

Kapłan zrazu nie wiedział co odpowiedzieć, trwoga go ogarnęła. Król jakby mu duszno było w kościele, śpiesznie poczał ku drzwiom wielkim kroczyć, gdzie stał cały dwór jego i gnieźnieńska czekała nań grodowa starszyna, której ulubieniec króla, stary Stoigniew przewodniczył.

Kapłan w ślad dążył za królem.

— Kto i z kąd jest ten mnich obcy, który pozostał w kościele i przerwał mi modlitwę?—powtórzył Bolesław na progu katedry stanawszy.

— Nie wiem—odparł złękniiony ksiądz. — Przybywa tu duchownych pielgrzymujących niemało. Był dziś mnich jeden, który się opowiadał, jakoby z klasztoru w Korbei...

— Szukajcie go i na gród mi prowadźcie. Chcę mówić z nim—dodał Bolesław, już się hamując i nie chcąc gniewu dać poznać po sobie.

Ksiądz zwrócił się śpiesznie nazad do kościoła, skłoniwszy przed królem, a tuż dwór go otoczył i z siwą głową odkrytą, do kolan mu się zniżał Stoigniew. Król z czułością druba ręce obie położył na ramionach jego i ozwał się głosem złagodzonego.

— Witaj mi Stoigniewie! Ja do ciebie przybyłem w gościnę... Nie spodziewaliście się mnie, nieprawda? radzi mi może nie będziecie bardzo.

— Miłościwy królu a ojcze—żywo począł Stoigniew, kłaniając się i prostując natychmiast — wyście tu gospodarzem nie ja... Stoigniew sługa.

— I druham moim... — dodał wesoło król. Na zamek nas prowadź.

Niedaleko od katedry były dworce pańskie, Piastowskich jeszcze czasów pamiątne. Na grodzie jako namiestnik króla siedział Stoigniew razem z opatem Aronem, prawa ręka pańska.

Mąż to był swojego czasu w kraju tyle znaczący, iż mu nikt nie dorównywał powagą i rozumem a nauką. Bolesław często go używał tam, gdzie przebiegłości i spokoju, zimnej krwi i mężstwa było potrzeba, nie do walki, choć rycerzem był niepoślednim, ale do zbierania owoców jej.

Gdy złamawszy nieprzyjaciela pokój zawierać, warunki stawiać, przy swoich prawach obstać, wyjednać ustępstwa było potrzeba, nikt nad opata Arona i Stoigniewa nie był do tego zdolniejszym.

Król znał samego siebie. Burzyło się w nim łatwo

i częściej po miecz sięgał, niż cierpliwości zażywał. Usta jego wypowiadały zrazu co w myśli zapisane stało... otwartą był księgą król i wojakiem nawet czasu pokoju. Stoigniew miał wytrawność męża, co wiele przebywszy, ludzi znał i zażywać ich umiał. Nie uląkł się on ani oblicza cesarskiego, ani żadnego władcy, niczem w świecie ująć go nie było można, ani zastraszyć.

Spojrzawszy też na tę dostojną postać, uszanowanie dla niej czuł każdy. Stoigniewa nie wzburzyć, nie krwi jego biegu przyspieszyć nie zdołało, na pozór zimny jak Aron, słuchał i patrzył, a gdy ci, co z nim się układali, myśleli już, iż go pokonali, ze spokojem odpowiadał im do swojego powracając, dopóki woli swej nie przewiodł. Drogi też to był człowiek dla króla.

Stoigniew nie starszym był od niego, ale mu trudy siwiznę przyspieszyły. Obok włosów obfitych srebrzystych twarz zachował młodzieńczą, świeżą, rumianą i zmarszczkami nawet nie pooraną. Dziwnie sprzeczały się na niej krasne barwy, żywy blask oczów, śmiejące się usta, z tą siwizną przedwczesną.

Na czele mężów dwunastu, co otaczali Bolesława, Stoigniew stał pierwszym, przodował on im i dla niego pan nie miał żadnych tajemnic. W sprawach króla wiele musiał pokryjomu podróżować po świecie, to też języki obce umiał dobrze, a co na owe czasy, oprócz duchownych, mało kto znał, Stoigniew pismo czytał i w łacinie był biegłym.

Liczną otoczony rodziną, trzeci raz już żonaty, powiernik pański miał żyjących synów sześciu, córek pięć, z których trzy już poślubione. Zwykle przebywał on na zamku w Gnieźnie jako namiestnik pański, lecz i własnych ziem, ze szczodroblowości króla miał podostatkiem.

Dwór też go otaczał niemal książęcy, a życie mógł prowadzić jak król chciał, by mu wstydu nie czynił. I tu stoły musiały gotowe stać dla przybywa-

jących ze skargami, radami i prośbami. Skarb pański na to dostarczał.

Miał oprócz tego pieczę namiestnik nad biednymi więźniami, których trzymano na zamku w Gnieźnie. Tu miotając się bezsilnie i zlorzczając losowi swemu zakończył życie Bolko oślepiiony, tu zmarł Prybuwoj, tu żył jeszcze z nędzą swą Odyłon i mnodzy inni winowajcy, których dla spokoju w zamknięciu trzymać było potrzeba.

Po wspaniałem „palatium” króla w Poznaniu, starodawny dworzec gnieźnieński ubogo wyglądał, ale szanowanym był pamiątkami, które do ścian jego przyległy. Izb też w nim znajdowało się wiele i najliczniejsze poczyty mieściły się w otaczających go zabudowaniach.

Gniezno należało do tych grodów za Bolesława Wielkiego, w których wojsk jego zawsze gotowe do wyjścia w pole zastępy się gromadziły. W Poznaniu miał król przy sobie trzynaście sotni pancerników konnych, a cztery tysiące piechoty z tarczami. Gniezno żywiło piętnaście secin pierwszych, a pięć tysięcy tarczowników; zatem więcej jeszcze niż Bolesław przy sobie ich chował. Inne też miasta, jak Włocławek i Gdecz, załogami podobnymi opatrzone były czasu pokoju. Gdy na wojnę występować było potrzeba, słano do nich jak do spiżarni i ruszał się lud orężny, gdzie mu wskazano.

Na Gnieźnie też namiestnika musiał stanowić król takiego, któryby najsłabszą osadę, oka z niej nie spuszczał, zgnuśnić jej nie dając, czujną zawsze i gotową trzymał.

W progu zamkowym czekała na Bolesława drużyna wielka, starszyzna wojskowa, żupanowie i władcy, którzy się tu znaleźli, duchowni, przełożeni i rodzina Stoigniewa.

Nim do progu tego doszedł król, czas miał ochłnąć z wrażenia, jakie na nim mnich uczynił, wypogodził twarz, a stosując się do Stoigniewa, który zawsze

spokojnym był i przy powadze wesołym. Bolesław też chciał się okazać dobrej myśli. Więc na powitanie gromady odpowiedział pozdrowieniem wdzięcznem i szybko szedł na dworzec.

Tu czas miano się przysposobić na przyjęcie pana i jego towarzyszków. Stoły już były ponakrywane, pacholkiwie z pochodniami stali po kątach.

Najstarszy z duchownych wiedząc, iż król znużony był i zgłodniały, natychmiast modlitwą pobłogosławił wieczerzę i misy znosić zaczęto... Sam Stoigniew królowi nalewkę i misę przyniósł, a urodziwa żona jego trzymała szyty ręcznik. Twarze otaczających rade z widzenia pana, śmiały się weselem.

W istocie bowiem, czystym będąc w sumieniu, każdy się mógł cieszyć ze spotkania z panem. Rzadko się obeszło, ażeby król nie obdarzył swoich wiernych, nadaniem jakim, końmi, szatami i orężem. Było to zwyczajem naówczas po wszystkich dworach, a Bolesław szczodrośliwy z natury i wspaniały; hojnie szafował skarbami, jakich mu wojny dostarczały. Nie było naówczas właściwie państwa stolicy, wszędzie gdzie chwilowo król przebywał, a z nim wojsko i dwór, z nim najwyższy sąd i urzędnicy, gród się chwilowo stawał stołecznym. Zjeżdżali do niego pokrzywdzeni z żalobą, biedni z prośbami. Letniego czasu, król pod dębem lub lipą zasiadał rozsądzać sprawy; zimową porą działo się to w wielkiej izbie, a miał Bolesław sposób mądry godzenia z sobą zwaśnionych, który rzadko się nie powiódł. Gdy na sąd królewski przybyły strony, przyjmowano je na dworze obie, dni częstokroć dwa i trzy gośćmi byli u stołu i boku pańskiego. Nie dopuszczając do mówienia o sprawie, zmuszał ich Bolesław do wspólnej rozmowy, którą umiał uczynić spokojną. Tak się powoli umysły podrażnione uspakajały, a gdy namiętność ostygła, naówczas sprawa szła już złagodzoną przed sąd, który zbliżonych przejednywał i zbraconych do domów odsyłał.

A gdziekolwiek też król się znajdował, choć róków żadnych nie wyznaczano, często w obozie, czasem w polu i na łowach, pełno było zawsze biegnących pod sąd jego ojcowski.

Znano go też, że przemocy możnych nie folgował, ani krzywdzić biednych bezkarnie nie dopuszczał i dobra ludzi maluczkich pilnował może sumienniej się o nie troszcząc, niż skarbów największych. Napływ doń był zawsze mnogi, niekiedy dzień i dwa pod oknami stać musiały gromady, nim kolej na nich przyszła.

Tym razem nikt się króla nie spodziewał w Gnieźnie, więc tylko ci się znaleźli, których tu graf zgromadził.

Siedli już wszyscy za stoły i król miał rozpocząć wieczerzę, gdy jakby sobie coś przypomniawszy, skinął na siedzącego niedaleko duchownego. Szło mu o owego mnicha, który w kościele doń z napomnieniem wystąpił, chciał go tu mieć i poznać bliżej.

Posłano natychmiast komornika królewskiego po kapłana, który miał zlecenie wyszukać pielgrzyma. Nadszedł i on sam, ale widocznie zafrasowany, zbliżył się do ucha króla.

— Miłościwy panie — odezwał się — mnicha tego szukaliśmy napróżno... i około kościoła i po całym zamku, i na grodzie, i na podzamczu... Stróż we wrotach widział go uchodzącym śpiesznie...

Zasępiło się nieco czoło króla, ale wnet Stoigniew, któremu Bolesław o mnichu powiedział, wyprawił ludzi swych kilku, aby miasteczko strzeżono całe. Nie było wątpliwości, że w noc zimową i śnieżną pielgrzym nigdzie dalej nad podzamcze ujęć nie mógł, obiecywano więc sobie lub tegoż dnia, albo do jutra go wyszukać koniecznie.

Słowa, które powiedział, utkwily w pamięci króla silnie, pozbyć się z niej ich nie mógł, pragnął więc nieodmiennie, aby mu tego człowieka przyprowadzono. Głos mu się zdawał znanym, choć przypomnieć

nie mógł, gdzie i kiedy go słyszał. Zakapturzona umyślnie twarz, budziła dziwne podejrzenia.

Stoigniew, który sam panu u stołu chciał posługiwać, choć mu przy nim usiąść nakazano, wesołością swą i swobodą próżno starał się czarne myśli rozpedzić. Bolesław chwilami zdawał się rozweselić, ale wnet wracały chmury.

Tak przesiadział król wieczerzę, po której mu spoczynek należał, i choć dwór pozostał jeszcze przy pełnych dzbanach, Stoigniew zaraz pana do jego sypialni zaprowadził. Tu już ogień płonął, ciepłe szaty czekały i służba stała pogotowiu.

Zaledwie wszedłszy, Bolesław znowu spytał o mnicha, i chciał się dowiedzieć, czy go kto dnia tego nie widział w kościele lub nie mówił z nim. Posłano do księży, przybył wybrany kleryk z opowiadaniem, jako mnich ten, zdając się z mowy i obejścia wcale nie obcym i owszem dobrze obeznanym z miejscowością, różnych ludzi o różne badał sprawy i rzeczy, wydał się wielu podejrzanym, obcować z nikim poufać nie chciał, strawy nawet pielgrzymiej nie skosztowawszy, gdzieś się skrył, iż go nigdzie odszukać i śladu znaleźć nie było podobna.

Wysłuchawszy opowiadania król, kleryka nagrodzonego odprawił ze Stoigniewem pozostając sam.

— Miłościwy panie — odezwał się namiestnik — cóż ten biedny jakiś mnich, pątnik, pana mojego ma tak niepokoić? Czy się odezwał zuchwale? może niewiedząc o kogo mówi.

— Wiedział on co i do kogo rzekł — odparł król. — Duchownemu by to było przebaczonem, owszem za dobre poczytanem, gdybym pewnym był, iż w istocie mnich to jest, a nieskryty wysłaniec czyjś, co chciał podpatrzeć czynności moje i złość mi uczynić? Dla czegoż zasłonił twarz, czemu uciekł tak skoro?

Stoigniewowi podejrzanem się to wydało, ale zmilczał; a król, jak dlań tajemnic nie miał, wylał się zaraz z całym żalem swoim.

— Stoigniewie mój — odezwał się — zaprawdę, gdy na spoczynek zasłużył, Bóg mi właśnie największe zsyła niepokoje. Wiecie o Jaksów sprawie, co było ich krwi i rodu, pierzchnęło odemnie. Co dzień ktoś uchodzi... niemcy siedzą cicho, lecz czekają pory, na Rusi nie lepiej, nieprzyjaciele zdają się patrzeć tylkobym osłabł... aby na państwo uderzyć i rozszarpać! co czynić aby umocnić gmach! co czynić!

Stoigniew niepodzielał widać obawy króla i do kolan mu się pokłonił...

— Próżne te twogi — rzekł — odpędzić je trzeba. Sumiennie — panie miłościwy, wołałbym i ja ażebyście Jaksom miłosierdzie okazali, lecz gdy rzecz niepowrotna — co czynić? czas żale ukoi, Łacniej się król Bolesław bez nich, niż oni obejść potrafią bez niego.

— Synowie Janka już się z kraju słyszę wynoszą...

— Ziemi z sobą nie zabiorą — odparł Stoigniew.

— Ale ręce i serca dzielne! — dodał wzdychając król — żal! żal!

— Miłościwy panie — żałować już nie pora. Cieszcie się raczej walecznym synem waszym, który gdziekolwiek pójdzie, jak wy pokonywa i zwycięża.

— Cieszę się nim i trwożę — szepnął król — wojakiem jest mężnym i szczęśliwym, lecz na wojnę ja go posyłać muszę. Nie rwie się on sam, ani jej pragnie, woli przy Ryksie spoczywać.

Stoigniew jeszcze raz króla za kolana ścisnął.

— Panie! panie! Bogu trzeba dziękować, a nie naprzd widzieć złe, które nie przyszło i nie przyjdzie. — W chmurne dni wszystko wydaje się czarnem.

— Mieszkowi — mówił Bolesław, jakby nie zważając na Stoigniewa — przeznaczałem panowanie po sobie, w nim położyłem nadzieję. Mieszko...

Król niedokończył, bo Stoigniew poruszony cały,

ręce błagalnie złożywszy stał przed nim, wzrokiem zdając się przeciw i opierać panu swojemu.

— Miłościwy panie! nie godzi się, przebac mi!

— Daj Bóg, byście wy jaśniej widzieli niż moje ojcowskie oczy. Przed tobą mogę duszę otworzyć — wiesz, Bezprym, Bezprym co milczy i chodzi zasepio-ny, który mnie unika, żal mając do mnie, Bezprym, któremu ja odsądził, silniejszym jest.

Ułękł się niemal Stoigniew posłyszawszy te słowa, król bowiem, nawet przed nim, nie zwykł był nigdy wspominać o Bezprymie, synu swym pierworodnym, którego dla Mieczysława, niemal był odepchnął od siebie. Było to dziecię żony, której pamięć królowi została ciężką i przykrą, dziecię dla którego serca nie miał Bolesław, wychowane między sługi, zgorzkle od niedoli, znenawidzone i nienawidzące.

Nieustannie miany na oku, trzymany bez działu, bez zatrudnienia, zawsze w Poznaniu, rzadko dopuszczany do ojca, Bezprym w istocie tym bólem rozdrażniony, silniejszym był od ulubieńca Mieszka, był strasznym. Stał się on raną i groźbą dla króla, co rad był o nim zapomnieć.

Wzmianka o Bezprymie świadczyła Stoigniewowi jak król rozżalonym być musiał, gdy się to imię, którego chciał zabyć, na ustach jego znalazło. Stoigniew też mówić nieśmiając o tem, przeczuwał w odrzutku przyszłego wichryciela. W istocie dość było nań spojrzeć, być z nim chwilę, aby się go ulęknąć. Król pozbyć się pragnąc tego syna, chciał go zrazu do stanu duchownego sposobić. Dany więc był księżom na naukę, z której cheiwie korzystał, lecz gdy przyszło składać śluby, okazał do nich wstręt taki, a sami duchowni uznali w nim naturę tak gwałtowną, niepohamowaną i namiętą, iż śluby odłożyć przynajmniej doradzali.

Stało się więc, że Bezprym pozostał tak, życie wiodąc bez celu i napawając się myślami gorzkimi, które zazdrość w nim rozbudzała. Pomiędzy nim

a Mieszkiem nie było żadnego, ani braterskiego, ni nawet dalszego stosunku.

Otoczony małym dworem, złożonym z nadzorców, Bezprym krył się po kątach, milczał, udawał pokorę, ale z oczów i czoła mu patrzyło zemstą straszliwą. Zamknięty w sobie, nigdy się z żadną nie odkrył myślą, lecz król wiedział przez oddanych sobie ludzi, że gwałtowniejszego i namiętniejszego nad niego nie było w rodzinie charakteru. Gdy go Bolesław strofował i do posłuszeństwa nakłaniał, milczał z głową spuszczoną, słowa nie rzekł, a król czuł w nim coś swojej natury żelaznej i niezłamanej, tylko jakby przemocą wepchniętej do środka gdzie zamknięta kipiała.

Nieśmiał na wspomnienie o Bezprimie nic rzec Stoigniew, a król odezwał się, patrząc nań.

— Co z tym uczynić! Mieszkowi to niebezpieczny wróg rośnie. Jak radzisz mi? Krew to moja! znam ją. Buchnie prędzej później.

— Miłościwy królu—a dla czegoż, dopóki wybuch nie jest niebezpiecznym, wykipić jej nie dacie? Czemu go trzymać w bezczynności i zamknięciu, aby w nim gorycz rosła i mnożyła się?

— Cugle mu puścić — odparł król — ani ja go wstrzymać potrafię. Własnej krwi obawiać się muszę. Po matce ma krewnych, znajdzie łatwo sprzymierzeńców między Niemcami. Azali przeciw cesarzowi Ottowi własny syn nie powstawał?

Sposępniał Stoigniew, spuścił głowę.

— Gdzie człowiek nie może nic — rzekł — Bogu trzeba sprawę zlecić i jego prosić.

Westchnęli oba, a Bolesław wpatrując się w ogień, szeptał jakby sam do siebie.

— Stary mój! policz wrogów, zrachuj co grozi, a nie dziwuj się czołu posepnemu i temu, co mi z duszy bucha. Na jednego Mieszka, Bezprima, trzech synów Ody, czechy, Niemcy, Ruś, dalecy i bliżcy, a Mieszek jeden... jeden... i wojak dzielny, ale wódz?

— Wodzem się wojak staje — przerwał Stoigniew.

Zamilkli znowu, a stary namiestnik już był rad przerwać niemiłą rozmowę i do snu nakłonić.

— Noc późna—rzekł—spocząćby należało.

Gdy na to nie było odpowiedzi, skłonił się do kolan, zwołał komorników, aby łoże przygotowali i na straży pozostali. Tak dzień ten się zakończył długi i ciężki dla króla, który z myślą o mnichu układał się do spoczynku.

Nazajutrz rano, gdy Stoigniew zjawił się znowu u króla, znalazł już u niego Sagana, który przyszedł był z oznajmieniem, iż mimo poszukiwań na podzamczu i po gościńcach, mnicha nigdzie nie znaleziono, ani też wieści o nim żadnej nie było.

Wybuchnął król gniewem wielkim.

— Zdrajcami więc tu nawet otoczonym być muszę!—zawołał—kiedy mi jeden słaby jakiś, nieznaný człek śmie się w oczy uragać i z pod ręki się mojej wysłizga. — Jeśli ujść nie mógł to go przechowano. Któż on jest! Suknia go broni, więc się zemsty mojej obawiać nie może. Dla czego uchodzi?

Szło o to wielce Stoigniewowi, a jeszcze bardziej duchownym przy katedrze, ażeby tajemniczego tego mnicha odkryto i zdjęto z nich posądzenie, że go przechowywać mogli. Dnia więc tego, nie było zakątka w Gnieźnie, kędyby pachołkowie z grodu i klerycy nie śledzili zbiega, na gościńcu zatrzymywano wozy i jadących, rozestano na drogi różne, wszystko bezskutecznie. Popłoch tylko wielki sprawiło to pomiędzy ludnością całą, a król jak przybył chmurnym, nawet pogodą Stoigniewową rozweselić się nie dał.

Jedyną rozrywką było i pociechą dlań, gdy mu tego dnia sotnie pancerników jego i pułki piechoty wyprowadzono na okaz, bo temi się mógł pochlubić. Ani niemieckie lepiej uzbrojone i wdrożone do wojny nie były. Żołnierz był z najlepszego ludu wybrany,

Bracia Zmartwychwstańcy T. II.

JIK 2
ROMANOW
260

zahartowany wyprawami, za domem już nie tęskniący, bo w obozie o nim zapomniał.

Stoigniew i starszyzna rozradowała się, ujrzawszy jak Bolesław spoglądając na swój lud ożywiał się—otrząsał z gniewów i frasunków, i swoje wyprawy przypominając, wołał, że z nimi jeszcze pójdzie w pole. Czuł się sam lżejszym i młodszym patrząc na nich.

Do stołu też siadłszy, gdy zagaili starzy dowódcy o dawnych wojnach, poszła mowa wesola, śmiechy i przypominania. Król się żołnierzem stał i pokrzepił tem lepiej niż najpiękniejszym słowem otuchy.

Dzień też szedł lepiej, a Bolesław z powrotem do Poznania nie śpieszył, cel mając w tej podróży. Zaraz pierwszego wieczora, nakazał wysłać Stoigniewowi do dwustu radnych wezwanie, aby się do Gniezna ścignęli. Tu, na uboczu i bez rozgłosu, chciał jeszcze umówić sprawę królestwa i korony i środki obmyśleć, ku spełnieniu myśli swojej.

Korona z namaszczeniem rzymskiem, z błogosławieństwem duchownem, potrzebna mu była nie dla siebie, ale dla syna, któremu ją chciał jak tarczę od napasći zostawić.

Gdy tu król na zjazd powołanych ze starszyzny czekał, tymczasem mnich, który był znikł z Gniezna bez śladu, zjawił się trzeciego dnia w Poznaniu. Niebytność króla, mającego się zatrzymać w Gnieźnie, ośmieliła go snąć do tego kroku i ks. Petrek, wcale się go już widzieć nie spodziewający, uląkł się, gdy go znowu na swym progu zobaczył, uląkł tak, iż ręce załamał.

— Bóg z wami—zawołał mnich dumnie i szydersko razem—obawiać się nie macie czego! Wracam ja z gorszego niebezpieczeństwa!

W Gnieźnie oko w oko spotkałem się z Bolesławem, gonią mnie tam i śledzą! Gniezno całe strzęsiono, po drogach ścigano i łapano.

Uśmiechnął się dumnie.

— Na Boga, dla czegoż nie uchodzicie co prędzej, jeżeli wam życie mile?—zawołał ks. Petrek...

— Któż wam powiedział, że ono mi jest milem?—odparł mnich — za tę chwilę, którą miał u grobu apostoła, królowi rzucając jad w duszę... nie szkoda by i życia!

Ks. Petrek blady stał i drżący, widocznem było, żeby się rad pozbył co najrychlej gościa tego niebezpiecznego.

Szczęściem opata Arona nie było w Poznaniu i przyjscia jego się nie lękał, obawiał się, aby inni szpiegowie, których dwór miał dosyć, nie postrzegli przybysza. Mnich znać te obawy z twarzy księżyny wyczytał, pogardliwie nań spojrział i odezwał się:

— Nie trwóćcie się mój ojczy, ani siebie ani was nie chcę podawać na zemstę króla... idę ztąd precz, a jestem bezpieczny, bo matce mej i mnie zostali jeszcze, mimo lat wielu, przyjaciele wierni. Mów mi co mam zanieść tam, zkąd przybyłem? Bolesław trawiony jest niepokojem o swe państwo... to jawna. Czuje, że to co skleił łupieżami, z pod ręki mu się rozleci.

Ks. Petrek może dla łacniejszego pozbycia się się mnicha, zbliżył się doń i począł mówić szybko.

— Ani się ludzić ani spać nie godzi — mąż to silny i doradców ma rozumnych. Życia ma jeszcze dosyć przed sobą, by żelaznemi kłamrami związał te kraje.

— I — dodał — wiem od opata o jednej sprawie, która może mu dać siłę wielką — Otto włożył mu na skroń koronę... pamięta on o tem i królem się zowie, ale mu trzeba z Rzymu od ojca świętego korony namaszczonej, o tę koronę starać się będzie — pójda po nią posły! Rozumiecie! To groźba dla cesarza. Cesarz posłów do Rzymu nie powinien dopuścić, cesarz w Rzymie musi zapobiedz, aby mu nie dano namaszczenia.

Na wszystkich drogach posłańców jego pilnować trzeba!

Pójdą przebrani, przeodzieni za obcych... manowcami, krążąc dokoła

Mówił szybko a cicho, mnich słuchał napawając się tą mową.

— Dajcie znać do Arcybiskupa, gdy posły wyjdą, kto, którędy, kiedy. Noga ich nie pozostanie, zgniją w lochach lub szyję dadzą.

— Tak—rzekł smutnie ksiądz—dam znać jeżeli co wiedzieć będę. Nie z wszystkiego mi się zwierza opat Aron, nie każdą rzecz on powie. Umie milczeć chytry doradca — nawet przedemną co mu jak pies służę.

Więcej się domyslać i zgadywać będzie potrzeba, niż można dowiedzieć.

Ręką potarł po czole.

— Opat Aron! — dodał — do wszystkiego jest zdolny, wiedźcie o tem. Może wyprawi posły jawne, aby skrytych niemi osłonił, może nie jedno ale trzy i cztery wysłać poselstwa... może.

Potrząsł głową. — Nieznacie ich — kończył coraz się rozgrzewając. Bolesław zły, zawzięty, gniewny, lecz chytrym i skrytym jak ojciec być umie, gdy mu Stoigniew i opat Aron nakazą chytrość i milczenie. Szpiegi nasze po wszystkich dworach, ma ich Bolesław w Magdeburgu, w Kolnie, w Akwisgranie, w Rzymie... albo ja wiem gdzie jeszcze! Ma na dworze cesarza, ma u markgrafów i książąt. Złota na to nie żałuje. Ma swoich płatnych w Rzymie i w Rawennie, wszędzie!!

— Lecz papież mu korony dać nie może — odezwał się mnich — cesarz zaprzeczy. Jemu korona! Lecz myśmy z matką gnieźnieńską i poznańską kraje złożyli w darze apostolskiej stolicy, która nam je, a nie komu innemu nadać przyrzekła. To nie może być.

— W Rzymie! nie może być? — ruszając ra-

mionami szepnął ks. Petrek niedowierzająco — wy to mówicie? Zmienia się panujący, zmieniają widoki.

Pochmurno wejrzał mnich.

— Bezpieczniej mu korony nie dopuścić, gdy zostanie wysłana, niż jej zaprzeczać w Rzymie — mówił ks. Petrek — a więc... niech cesarz baczność ma, niech pilnować każe. Znałe są gościńce...

— Do Rzymu one wszystkie prowadzą! — odparł mnich — waszym obowiązkiem wyszperać kto i którędy pojedzie, dać znać, wysłać natychmiast.

Sparty na stole ks. pisarz zadumany był smutnie...

— Myślicie, że mi to łatwo? — zawołał śmiejąc się ponuro i szydersko — pisać nie mogę... pismo jest najstraszniejszym zdrajcą. Wysłać nie mam kogo, komu zaufać? Oba milczeli długą chwilę.

— Mamże ja na to czekać, abym się tu o czemś więcej dowiedział? — spytał mnich — gotowym.

Rękami podniesionemi ks. Petrek zaprotestował.

— Pocóżście królowi w oczy wpadli? nacoście na siebie ściągnęli podejrzenie? Wam nie pozostaje nic, tylko jak najspieszniej, suknię zrzuciwszy uchościć. Kto wie — po gościńcach już mogą być dane rozkazy do ścigania mnicha z Korbei.

Nie zdawała się groźba ta ustraszyć bynajmniej przybyłca.

— Będę wiedział co poczynąć — rzekł chmurno — ale wy — wy — mówcie co mamy czynić?

— Powiedziałem wam to co mogłem, dość — byście się na baczności mieli, reszta nie do mnie należy. Cesarz silnym jest dość by środki obmyśleć, o co chodzi wy wiecie. Koronę ma na myśli, do niej wzdycha, chce ją zostawić synowi Ennildy choć ma starszego syna węgierskiej Judyty, który marniej zamknięty.

— Pamięta o nim cesarz i my! — mruknął mnich.

Rozmowa pczęta trwała długo jeszcze, a gdy naostatek mnich, nie mówiąc dokąd i jak ma się oddalić, pożegnał ks. Petrkę, pisarz bojaźliwie wyszedł obejrzeć się do koła, aby upewnić, że nikt nie postrzeże wymykającego się z jego mieszkania.

Jakoż nie było nikogo w tej stronie podwórza, bo gdy król wyjeżdżał, przerzedzały się tłumy dworskie — i folgowała sobie czeladź pańska, siedząc po komorach.

Byстрыm okiem obejrzawszy wszystkie kąty, ks. Petrek powrócił przekonany, że mnich bezpiecznie ujść może — ale nie dopatrzył ukrytego za węglem Zyga, który może przypadkiem się tam znajdował. Zobaczywszy wychodzącego duchownego, nieznanego sobie, Zyg natychmiast się wyrwał ze swej kryjówki i zabiegł mu drogę, domagając się pocałowania ręki i błogosławieństwa.

Nie stwożyło to mnicha, który zadość uczynił prośbie karła, chcąc się go pozbyć coprędzej. Nie przyszło to łatwo, Zyg był natrętny, a nie miał co robić, był nadzwyczaj ciekawy i gadatliwy, zwłaszcza z ludźmi nowemi.

— Jaka to szkoda, mój ojczel! — zawołał skacząc przed nim — że króla pana nie ma doma! Przyjętoby was na dworze, napojono, nakarmiono, i naładowano kieszenie... ale możebyście poszli do królowej?

— Jestem pielgrzymem, zwiedzam kościoły, do dworów nie zachodzę — odparł mnich przyspieszając kroku.

— To źle czynicie... źle... — mówił Zyg — grosz by się przydał! Suknię macie wytartą!

Widzę żeście po jałmużnie byli u ks. Petrka, ale on nikomu nie da nie. Wziąć, weźmie od każdego — ale obdarzyć! E! e! mądry to czeczyna. U nas tu mędrszego nie ma. Mówią, że opat Aron rozumny, ale ks. Petrek i tego za nos wodzi, ani się spostrzeże.

Próżno zaskakującego mu drogę karła, chciał wyminąć mnich, prowadził go tak wesolek królewski aż do bramy w okopach — usiłując namówić do zamku lub do katedry i księży. Wreszcie u mostu karzeł przystał, stanął, pożegnawszy przychodnia i tu na nową jakąś czatował zabawkę.

Ks. Petrek widział Zyga idącego za mnichem i ręce załamał.

II.

W oddalonej części dworca starego nad Cybiną, znajdowało się opuszczone dosyć i zaniedbane teraz mieszkanie, które niegdyś część niewieściego dworu Mieszka pierwszego zajmowała... Osobny dziedzińczyk z furtą, na drąg nocą zamykaną, poprzedzał je. W podwórku tem niechlujno było i nie baczono widzieć, aby oku miło spocząć było na niem. Psy wylegiwały się tu na rozrzuconej słomie. Pod daszkiem z jednej strony, siedziało na grzędach kilka krogulców, jastrzębi i białozorów zasępionych, z najeżonymi piórami.

Kiedy niekiedy przemyskał się jakiś pachol niedarny z głową ostrzyżoną, w odzieniu lichem, w skórzniach starych, w kozuchu podartym, i jakby znużony, zwłókłszy pod dach zniknął.

Wszedłszy przez sień do wnętrza, kilka izb napelnionych służbą niepoczesną przejść było trzeba, nim się do głównej świetlicy dostało. Chociaż zamek był i dworzec pański, nigdzie tu przepychu Bolesławowskiego znać nie było.

Dostatek wprawdzie znać było wszędzie, lecz ładu i ochędóstwa brakło. Czładź jakby uspiona, jak

wpół drzemiąca nudziła się przy ogniskach wraz z psami, które pywyciągane były na ziemi...

Wśród niej ogromnego wzrostu człek stary, z samych kości zbudowany, obciążonych skórą grubą, pomarszczoną i czarną, zdawał się pierwsze miejsce zajmować. Odziany w krótki kożuszek, niegdyś suknem niebieskiem, teraz splowiałem pokryty, w obciśniętych spodniach i skórzniach sznurowanych, z brodą posiwiałą krótko postrzyżoną, siedział stary wpatrzony w ogień, obie ręce sparłszy na kolanach, a głowę na rękach...

Opieszale i lichy mruczająca gawiedź, co go otaczała, nie zdawała go się wcale obchodzić. Nie słuchał jej żartów, śmiechów, przedrzwian i ziewania. Myślami widocznie był gdzieindziej.

Wieczór nadchodził, i w izbach zaczynało być ciemno. Stary siedział na pieńku, grzał się, ale choć nieruchomy, nie usypiał, czarne oczy z pod brwi nawisłych mu błyskały, ogniem młodzieńczym niemal. Wśród czeladzi, którą był otoczony, olbrzym ten starzec wychudły, na pierwszy rzut oka, obcym się wydawał. Twarz miał jakby ogorzałą, czarniejsze gałki oczów wypukłych, budowa ciała twardsza była, potężniejsza inna. Choć mu włos siwiał, gdy otworzył usta, zęby mu błyszczały białe jak u zwierzęcia dzikiego, ostre, do kłaniania stworzone. Wejrzenia też, którymi rzucał na swych towarzyszy, łagodnymi nie były... malowała się w nich złość i pogarda razem.

Czeladź leżąca na ziemi i po ławach, czasem ku staremu spoglądała z pewną trwogą, a zarazem nienawiścią. Nie okazywali mu poszanowania pacholkomu, lecz bać się musieli jego siły. On też na nich nie zważał i jakby wstręt miał do obcowania z nimi... sam z sobą coś dumał, czy przypominał, i o to co go otaczało nie zdawał się troszczyć.

Gdy wreszcie z pionka, na którym siedział powstał—nie obrócił się też do zalegających izbę pacholków, dwu z nich na ziemi leżących przestał

ogromnymi nogami, kilku rozepchnął i skierował się niedbale wlokąc ku drzwiom wiodącym do świetlicy.

Wstawszy olbrzym ten wydawał się ogromniejszym jeszcze... lecz z pod odzieży kości mu sterczały...

Chudy był straszliwie. Policzki też miał wpadłe, a na szyi skóra marszczyła się i fałdowała w najdziwniejsze zwoje.

Drzwi do świetlicy wiodące, prowadziły do wąskiej sionki, która izbę czeladzi od niej przedzielała.

Drugie dopiero otworzywszy starzec się znalazł w obszernej komnacie. Tu nieład prawie tak jak na podwórzu panował. Psów kilka leżących na ziemi, gdy wchodzącego posłyszały, podniosły głowy, i poznawszy go legły znowu spokojnie... W kącie na berle siedział ptak zasepiony... widać ulubieniec pana. Chowane wilcze szczenię wystawiło łeb z pod ławy i znikło.

U okna na pokrytej skórą ławicy szerokiej, pół siedział, pół leżał, młodzian wysokiego wzrostu, który spojrzał też na wchodzącego zwróciwszy doń twarz, i pozostał tak wpatrując się w gościa. Starzec widocznie tu był domowy, szedł powoli rozglądając się. Tu i owdzie porozrzucone szaty zmięte zbierał i składał, kubki na stole stojące ustawił inaczej, do próżnego dzbanka zajrzał i postawił go w miejscu gdzie znalazł.

Czynił to jakby z bezczynności, aby czemś zająć ręce.

Młody człek patrzył na to milczący. Odziany w suknię szarzaną, która niegdy była piękną i kosztowną, z piersiami na pół obnażonymi, niedbale podpasany, znać nie ruszał się dnia tego z pod dachu. Twarz jego śniada, nie bez wdzięku, wybladła była i zmęczoną. Oczy miał jakby nalogiem ukrywania wzroku, wpadłe pod brwi i skryte, usta zacięte, wyraz cały ponury i srogi razem.

Na wchodzącego spoglądając łagodniał widocznie...

Był to bezprym starszy syn królewski z Judyty węgierki — odepchnięty przez ojca na korzyść Mieszka, niegdy do duchownego przeznaczony stanu, dziś nie pewien jakie go czekały losy...

— Co ty tu tak błądzisz Gheza? — zapytał głosem głuchym królewicz — czego szukasz...?

Stary, ręce założywszy spuszczone, stanął na przeciw Bezpryma, głowę przechylił i wpatrzył się w niego milczący.

— A kogoż i czegożbym ja szukał? — odezwał się Gheza po węgiersku — bo Bezprym go w tym języku matki zagadnął — kogo? czego? szukam ciebie — królewiczu mój. Co ty? co tobie? jak?

— Jak? mnie? dziesięć razy na dzień pytasz o to? pocziwy Ghezo, jakże mi ma być? jako tym, co w ciemnicy siedząc, czekają wyroku śmierci...

— Rzućcie to — rzućcie! — zawołał Gheza. — Myśli tych mieć nie trzeba, a siły zbierać i czekać. Hej! hej! przyjdzie i nasza godzina — przyjdzie! Znajdziemy i my przyjaciół, będziemy i my panowali.

Bezprym słuchać się zdał z przyjemnością powolnego marzenia swego sługi, a oczyma jakby doń mówił — praw no dalej — co więcej?

Gheza też ciągnął głosem cichym i niespieszącym...

— Albo to królewicz mój, nie jest prawnym, pierworodnym synem królewskim? albo to jemu nie należy się państwo? Ma kto iść do klasztoru i w mnichy, toć chyba Mieszko... a piękną Ryksę po nim dostanie mój pan! I królestwo, i skarby i koronę!

Stary klasnął w ręce.

Podparty na dłoni słuchał Bezprym.

— Praw, praw stary — szepnął — tyle mojego, że w tej niewoli mam ciebie, co mi jak piastunka dziecku bajki prawisz! Tyle mojego. Tyś mi został jeden... Mam ojca, który mnie na oczy nie dopuszcza, mam brata, co mnie znać nie chce, no — i więzienie, trochę

tylko jaśniejsze i przestronniejsze od tego, w którym trzymają skazanych...

— Gołębiu ty mój, sokole mój biały! orle złotopióry! — począł stary Gheza — nie narzekaj, a karm się abyś silny był, gdy ci z klatki przyjdzie wylecieć; przyjdzie ta godzina, przyjdzie! ja ją widzę oczyma mojemu... hej! hej Eljen! słyszę jak cię królem witają...

Zbliżył się kroków parę i rzekł ciszej.

— Pytałem starej wieszczki. Te baby czarownice, one wszystko wiedzą. Kazałem jej wróżyć przyszłość. Lała wosk... wylała z niego koronę! Królem będziesz!

— Pleć stary — śmiał się Bezprym — a no czarownic co ze złym duchem mają do czynienia nie pytaj...

Splunął Gheza i ręką w powietrzu zamachnął nad głową.

— To moja sprawa...

— Co dziś we dworze? — pytał Bezprym.

— Co? co zawsze... Królówna Emnilda się modli i płacze... Król kędyś na łowach... Młoda pani Ryksa zasępiona w krośnach szyje, na małżonka czekając. Mieszka król kędyś na pomorców wyprawił. Spocząć mu nie daje... wojować musi choćby nie chciał.

— A maż on w sercu wojnę? — spytał Bezprym.

Gheza głową potrząsał.

— Woli u spódnicy siedzieć, w jedwab się ubrać, i słuchać pieśni — rzekł powoli. — Juści w polu, gdy człek zobaczy nieprzyjaciela, żeby w nim kropli krwi nie było, ruszy się... i bić będzie! Mieszek się bije a prowadzą go tak, aby ochoty do tego nabral, ale to pieszczony syn Dobromirowej córki, a nie krew mojego królewicza.

Bezprym się zerwał z ławy... z zapalem jakimś dzikim, dłonią zdawał się szukać miecza i począł szybko do Ghezy.

— Oni myślą, prawda? oni myślą, że ja do niczego niezdatny? że ja zgnił i zwiadł i zapłakał się i zameczył. Gheza prawda? że ja dobrze udaję przed niemi...

Patrz... ot jakim...

To mówiąc ręce na piersiach złożył, głowę spuścił, wzrok utopił w ziemi... zmalął i skulił się pokornie.

— Ale gdy na swobodę wylecę — Ghezo... gdy mi wolno będzie o moje się upomnieć prawa, dopiero poznają kim ja jestem!

Odprostował się, czoło wznosił do góry, długie odrzucając włosy, usta mu się dumnie uśmieknęły, ujął się ręką w bok jedną, a drugą dźwignął w powietrze.

Stary sługa uradowany przypadł mu do kolan i pocałował w nogi całować.

— Tak! Tak! królewiczu mój! orle mój złoty! takim ci trzeba być, takim cię jeszcze stare moje oczy zobaczą... Przed niemi milczmy, ja i ty... o! usta zszyte mieć. mieć trzeba. Pytają mnie często chytry ludzie — co Bezprym? Ja tylko ruszam ramionami. Ginie marnie, tęsknota go zżera! mówię — a no, niech uchwata Bóg, aby to prawda była.

— A jednak ot tak żyć — Ghezo — tak — czekać, tak nasłuchiwać — zawołał Bezprym — ciężko! Są godziny...! chce się iść wydusić wszystkich i choćby zginać samemu...

— Niech Bóg uchwata... tysi! nie mówcie nawet tego — odezwał się stary w rękę go całując — nie mówcie. Trzeba żyć... trzeba żyć, aby piękną królową mieć i koronę złotą... i...

Machnął znów ręką po swojemu.

Na wspomnienie królowej dziki wzrok Bezpryma rozplomieniał. Grała w nim gorąca krew matki i namiętna dziada i ojca, w marzeniach swych sennych i dziennych widział białe królowe i czarne oczy wlepione w siebie.

Z dziecinną jakąś lekkomyślnością chwytając za rękę Ghezę, rzekł mu śmiejąc się.

— Wezmę Ryksę Mieszkowi... piękna jest! piękna!... Widziałem ją małą, gdy cesarz Otto przysłał na nasz dwór, żeby się chowała na żonę dla tego... (wyraz dodał plugawy). Naówczas już była piękna, ale czy ty widziałeś Ghezę, jaka ona dziś... jaka ona wybujała, rozkwitła... jaka z niej królowa?... Zakradałem się w kościele, żeby się tych niewiast pięknych do syta napatrzeć...

Gheza ręką uderzył po czole.

— A ksiądz na to co mówi?

Bezprym nie odpowiadając ciągnął dalej.

— O! piękne króla niewiasty... i niewolnice, i dwór, i żony żupanów, gdy się postroją do pana... ale piękniejszej nad Ryksę nie ma żadnej... Gheza, ja mu ją wezmę! he.

Stary głową kiwnął.

— On mi moje prawo pierworodztwa chce wydrzeć!... Mogę go zabić, a ją... zabrać.

— Bratowę? — niedowierzająco spytał węgier.

— W Rzymie rozgrzeszą... ja wiem. Gorzej niż bratową, Oda druga żona Mieszkowa była Chrystusową oblubienicą, a wziął ją i nie było mu nic...

Mówił z taką gorączką, że Gheza przerywać nie śmiał, a zresztą wierzył wszystkiemu i pochwalał wszystko, co ukochany pan powiedział.

— Po świecie jeszcze piękniejszych nad Ryksę i młodszych dużo... szepnął.

Tu chwilę pomilczawszy Gheza dla zabawy znać biednego więźnia do ucha mu szeptać począł.

— No... a wówczas w kościele, jakżeście to babom się przypatrywali, nie widzieliście markgrafiarki Ody, he? To dopiero kobieta...

— Widziałem — żywo zawołał Bezprym — piękna jest... Juściłbym ją wziął, ale nie na żonę... Na królową się nie zdała, bo oczyma bardzo strzela po ludziach...

— O! strzela... strzela...—śmiejąc się dodał Gheza—i już sobie tura upolowała... he! he!

Bezprym uderzył go po ramieniu.

— Kogo?... myślę, że nie jednego?—zapytał.

— Ma ich dostatkem co za nią chodzą i śmieją się do niej, a co jeden ten... za wszystkich stanie.

— Kto? kto? mów..

— Czyż nie wiecie? Mnie bo wam mówić trudno...

Zawahał się nieco, dodał zaraz.

— A... króla!... króla!... wysoko patrzy młoda markgrafówna... wysoko sięga... śmiała dziewczka, bo myśli, że starą królowę jeszcze wysadzi i nam zapakuje.

Zadumał się bezprym, a w końcu głowę potrząsł.

— Ojciec może ją sobie wziąć, boć nie żałuje, gdy mu co po myśli. Miał ich i ma dosyć... a no... do korony jej daleko.

— Ludzie mówią, że blisko — szepnął Gheza — a co ja wiem...

— Dosyć nas już jest — zawołał Bezprym — Mieszko, ja, Dobromir... toby nam jeszcze braci naprowadził...

Potrząsł głowę.

Gheza pomilczawszy, począł znowu zcicha.

— E... na dworze napatrzeć się i nasłuchać jest czego. Na mnie oni niebardo zważają, nie strzegą się, dziwy czasem plotą. Wszyscy Odzie panowanie przepowiadają... ma ona tu swoich... królowa by się jej rada ze dworu pozbyć, a nie śmie... Nie spojrzysz nawet na nią... przecie ona nie nie zważa na to... A gdy króla ma przed sobą, to go tak oczyma łapie, że gdyby i starszy jeszcze był i nie tak gorący jak jest, nie obroniłby się...

Różne prawią też rzeczy—ciągnął dalej Gheza. — Słyszał pan mój o Jaksach, co ich tracić mieli... Mówią, że królowa ich gdzieś schowała... ludzie pro-

rokuja, że się to wyda i król skorzysta, by w gniewie starą porzucić a wziąć młodą...

Bezprym się wstrząsł.

— Co mi tam!—zawołał—mnie z tego nic! mojego losu to nie poprawił!

— Kto wiel!—szepnął Gheza.

Gdy tak rozmawiali, a w izbie ciemniało, przez okna, które ku okopom wychodziły na gościniec, dosłyszeli szumu i wrzawy. Bezprym spojrzął!

Orszak wojenny zbliżał się powoli. Na czele jego jechał na koniu siwym, wykwinicie rycersko ubrany młodzieniec, pięknej i wesołej twarzy. Na głowie miał szyszak z piórem czerwonym, lśniący od złotej blachy, którą był w części okryty na piersiach pancerz łuskowy, na nim płaszcz z futrem. Pas nasadzany kamieniami, trzymał miecz w złoto okuty u boku. Twarz jeźdźca z dumą zwracała się ku zamkowi, do którego jechał. Za nim dwu starych wojewodów konno i świetny orszak postępował; pancernicy wszyscy ludzie dorodni i doborni. Przez okno wysoko umieszczone, tylko głowy ludzi i koni mógł dojrzeć Bezprym. Zobaczywszy na czele jadącego Mieszka pobladł i pięści zacisnął. Zerwał się z ławy, aby uniknąć tego widoku, nic nie mówiąc, ale cały drżący. Gheza, który dojrzał przyczyny tego wzruszenia, starą głowę potrząsał w milczeniu.

Dopiero gdy cały ten orszak powracających z prawy, przesunął się przed oknem, Bezprym gwałtownie okiennicę zasunął i krokiem żywym po izbie się zaczął przechadzać. Zafrasowany piastun podłożył ognia, zakręcił się po komnacie i do kolan się mu pokłoniwszy, szepnął:

— Niechaj! niechaj!... będziemy i my tak jeździli! będziemy i my tak powracali... albo jeszcze lepiej... Orle ty mój złoty, będziemy...

Nic nie odpowiadając na tę zwrotkę codzienną, z którą obył się do syta, Bezprym dał rozkaz Ghezie,

aby się dowiedział, z kąd Mieszko i z czym powracał. Bolało go to, iż czuł w nim zwycięzcę.

— Znowu pobili!... znów cały i zdrow wraca! — mruzczał.

— Przyjdzie nań godzina... jak w Czechach! jak w Czechach! — szepnął odchodząc Gheza i ze drzwi ruchem głowy przepowiednię tę potwierdził!

W podwórce wyszedłszy stary Gheza, znalazł tu wszystko w ruchu. Istotnie Mieszko jak zwykle wracał z łupem i niewolnikiem. Wycieczka ta zimowa była jakby rodzajem polowania na upatrzonego. Mszcząc jakieś napaści nadgranicznej, Bolesław posłał syna spalić kilka siół i nabrać jeńców, aby rozbójniczych sąsiadów pogan nastraszyć. Wysłani przodem szpiegowie opatrzyli miejsca, czas oznaczyli i Mieszko jak burza spadł na pomorców, którym stada całe, mienie i mnogo jeńców nabrano.

Jak tylko oznajmiono o przybyciu jego, stara królowa pierwsza wyszła na spotkanie, pierwsza go uściśnęła płacząc z radości.

Mieszko wiedział już, że ojca na zamku nie było, a nim żona pospieszyła przeciw niemu, on sam już był w jej komnacie. Matka mu towarzyszyła.

Z małym Kazimierzem na rękę, Ryksa w progu męża witała.

W istocie siostrzenica cesarska była niewiastą uderzającej piękności, ale twarz jej młoda i wdzięczna, miała na sobie wyraz powagi jakiejś niemal surowej i chłodnej. Coś zakonnego w ubiorze, w obejściu się, coś wyniosłego i zdającego się w dali świat trzymać od siebie, miała piękna Ryksa.

Miedzy młodzieńczym Mieszkiem wesołej twarzy, niemówiącej wiele, a żoną jego, której każde poruszenie i słowo obrachowane się być zdawało, trudno było zrozumieć węzeł, co łączył dwa tak ważne charaktery.

Królewicz wyglądał na lekkomyślnego żołnierza, nawykłego do obozowego życia, Ryksa miała oblicze

i wyraz świątobliwych niewiast, karmiących się tylko modlitwą.

Wszystko co otaczało w jej mieszkaniu młodą panią, było wytworne, świetne, lecz zarazem poważne jak ona. Stała przed mężem w sukni czarnej, w czepcu mężatek, sama krzyż mając na piersi i dziecię trzymając uśmiechnięte, na którego białej szyi także krzyżyk złoty był zawieszony.

Mieszko ku obu wyciągnął ręce na powitanie.

Ryksa wedle zwyczaju schyliła się do ręki swojego pana, on usta zlekka przyłożył do jej czoła, dzieciaka pocałował i wnet królowna oddała go stojącej za sobą niewieście.

Emnilda niechęć w tej pierwszej chwili synowi być i synowej natrętną, do wnuka poszła i z nim razem znikła w bocznej izbie. Na twarzy Mieszka nie tyle znać było radości co znużenia.

— Zwlec się muszę z tych żelaznych pęt! — zawołał do żony — głodny jestem... spragniony... Idę zbroję złożyć i powrócę...

Ryksa chciała go o coś spytać; ręką dał znak, jakby słuchać nie chciał i wyszedł.

Gdy jej z oczów znikł, jakiś czas stała z wzrokiem w ziemię wlepionym, potem zwróciła się ku stronie, w którą wyniesiono dziecię i spokojna, chłodna wyszła za starą królową.

W izbie, w której się królewicz rozbierał, gwaru było. Komnata sypialna cała na zbrojownię wyglądała; obwieszona tarczami, siekierami bojowymi, włóczniami, pancerzami wytwornymi. Ogień, który się na kominie palił, błyskał na żelaznych i złotych blachach, które ściany okrywały.

Rzeźwa młodzież otoczyła królewicza, spiesząc porozwijać rzemyki, porozpinać sprzączki, uwolnić z tych pęt, które go długo więziły. Ówczesne wojenne uzbrojenie już niepospolitej wymagało siły i wprawy do dźwigania. Pod pancerzem z łuski żelaznej,

który całe ciało okrywał, noszono jeden lub dwa skórzane kaftany. Pancerze były grubo kute, aby mieczom i dzidom przeciwników opór silny stawić mogły. Broń też, którą dźwigać zmuszony był rycerz, tarcza, włócznia, miecze, młoty, łuk, oszczep, przyczyniały brzemienia.

Czeladź pańska znać ulubiona Mieszkowi i spoufalona z nim, śmiejąc się i żartując rozdziewała młodego wojaka, który z uśmiechem jej odpowiadał. Widać było w Mieszkowi żołnierza dzielnego, lecz niezbyt rozmiłowanego w swem rzemiośle i nie wiedzionego do boju jak ojciec myślą wielką. Walka była dlań rozrywką rycerską, bo brzemień panowania jeszcze na innych spoczywało barkach i synowi nie było pilno je odziedziczyć.

Gdy pancerz z niego ściągnięto, odetchnął królewicz i rzucił się na posłanie z wyrazem widocznego zadowolenia.

— Hej Michno! — zawołał do jednego z czeladzi—idź mi zobacz, czy łaźnia napalona... Nie pocznę nie, dopóki się w niej nie wyparzę... i zimną nie obleję wodą. Dopiero siły mi powrócą!

Łaźnia była naówczas, niemal tak jak chleb, nieodzowną potrzebą, należała do nawyków życia, iż się nikt bez niej, jak bez jadła nie obchodził. Po całych dniach na królewskim zamku łaźni dla dworu i dla panów musiały stać pogotowiu.

Urządzono je zprosta, rozpalając ogromne glazy utrzymywanym ciągle ogniem pod niemi i lejąc na nie wodę. Drewniane ławy, sięgające niemal do stropu, na których stawano, siadano lub legano wedle upodobania i od których poszło przysłowie: „im kto wyżej siedzi, tem mocniej się poci“, kubły z wodą zimną, winniki brzozone... cały przyrząd łaźiebny, wielce niewykwintny składały. Nie miał i król Bolesław wytworniej urządzonej łaźni, a chadzał do niej, jak wiadomo, chętnie i chętnie z sobą drugich prowadził.

Mieszko też nie wątpił, iż łaźnię napaloną i gotową znajdzie, pilno mu było do niej, aby pozbyć ostatnich znużenia.

W tem nadbiegł wysłany Michna, lecz z twarzą, na której widać było, że się nie tak sprawił jak się spodziewał.

— Łaźnia?...—zapytał Mieszko.

Michno po głowie tarł ręką.

— Łaźnia? — powtórzył królewicz — daliż jej stróżę zastygnać? to nie może być!...

— Al! nie... nie!...—pośpieszył chłopak.

— Więc do łaźni...—zawołał królewicz zrywając się z posłania.

— Ale... łaźnia, miłościwy panie... łaźnia... zajęta—wyszeptał chłopiec.

— Przecież niewiasty swoją mają? — rozśmiał się królewicz—a któż śmiał królewską zajmować?

Michnie wyrazy na ustach zastygły.

— Mówże!—krzyknął zniecierpliwiony pan — kto śmiał...

Michno spuściwszy głowę zaniemiał.

— Wygnać precz!...—wołał Mieszko i popatrzywszy na chłopca, ręką go chwycił za ramię, trzęsąc nim.

— Będziesz ty mi mówił! kto wlażł do mojej łaźni?

Oczy podniósł błagając Michno i jeszcze się nie zebrał na wyznanie.

— Królewicz Bezprym jest w łaźni! — krzyknął wreszcie czując, że go Mieszko chwycił silniej.

— Kto? królewicz? jaki?... Tu nie ma innego nademnie!...—ofuknął Mieszko. — Słyszysz ty to? Bezprym! Nie mógł się pójść myć razem ze służbą? kto mu pozwolił do królewskiej łaźni?... won go wygnać!... Cóż to! ja na Bezpryma łaskę będę czekał!...

To mówiąc kożuch na siebie wdział królewicz i przez podwórze do sąsiedniej łaźni pośpieszył. Zdala drzwi jej poznać było łatwo po buchającej z nich

parze. Mieszko kroczył wprost, służbę prowadząc za sobą.

Bracia choć w jednym żyli dworze, nigdy się prawie z sobą nie spotykali. Dawniej Mieszko się próbował zbliżyć do Bezpryma, lecz ten go pogardliwie zbywał milczeniem, przyszła później tajemnie tlejąca braterska nienawiść i rosła z dniem każdym. Spotykając się w dziedzińcu omijali się jakby nie widzieli.

Zmuszono Bezpryma do oddawania czci młodszemu, ale wybranemu bratu; król jeden tylko twardym rozkazem mógł to na nim wymódz, nikt inny. Syn Judythy miał prawo starszeństwa i pierworodztwa wedle europejskiego zwyczaju, dziecię Emnildy słowiańskim obyczajem młodszych czuło się powołane do spadku władzy po ojcu. Do nienawiści obu przyczyniło się może, iż w Bezprymie czuł Mieszek wolę niezłomną i rozum bystrzejszy, że się go obawiał. Nieraz może przyszło mu na myśl, co słyszał o kneziach ruskich, na co patrzył w domu, że się współzawodnika krwawo przyjdzie pozbywać. W barbarzyńskich tych wiekach chęć panowania, przykład drugich, usprawiedliwiała te krwawe zapasy nawet w rodzinach.

Z gniewem w piersi wszedł królewicz do łaźni, u której drzwi dwóch ludzi smolne trzymało pochylnie. Pomimo ich światła, we wnętrzu, pełnem pary gęstej, nie widać nie było. Bezprym, któremu oznajmiono o Mieszku, nie myślał się ruszać z górnej ławy. Stanąwszy w progu gniewny pan, zawahał się wszakże co miał czynić. Brat mu ustąpić nie chciał, gwałtem go wyrzucić i rozjątrzyć, a niepotrzebną we dworze czynić wrzawę, nieżyczył sobie królewicz.

Z za obłoków pary w tej chwili ujrzał nagiego Bezpryma na górnej ławie, z rękami pod głowę podłożonemi, z nogami podniesionemi do góry, zdającego się czekać i wyzywać gwałt.

To zuchwałstwo rozniewało Mieszka.

— Precz! do łaźni czeladnej! słyszysz!.. — krzyknął rękę podnosząc.

— Każ mnie wyrzucić! — odparł chłodno Bezprym — jeśli się ważysz na to, ale twojej czeladzi łby porozbijam, jeśli się mnie tknąć waży...

— Mamli ja czekać na ciebie? — począł rzucając się Mieszko.

— Wolno ci się parzyć... ja nie bronię... — sztydersko mruknął Bezprym.

Nie mogąc wytrzymać dłużej, idącym za sobą wskazał królewicz nic nie mówiąc na brata.

Śludzy zawahali się. Stali spoglądając jedni na drugich. Bezprym był silny i odważny, mógł dotrzymać co obiecywał. Pachołkom nie bardzo się chciało głów nadstawiać. Po za niemi stało jednak dwóch z czeladzi łaźiebnej, na pół nagich drabów ogromnych i silnych, niewolników wojennych, stworzeń na pół dzikich, dla których walka była niemal pożądaną. Na dany znak ruszyli się oni ku ławie.

Bezprym ujrawszy to chwycił za ławę i zdarł z niej lekko przybity kawał drzewa, który ujął w dłoń silną, usiadł i gotował się do obrony. Dwaj niemi łaźniennicy trochę się wstrzymali, popatrzyli na się, ruszyli nagle ku rusztowaniu i zręcznie podźwignawszy je na barkach, obalili na ziemię. Razem z ławicą, na której siedział, uczepiwszy się jej oburącz, spadł i Bezprym, a nim miał czas, potłuczony, dobyć się z pod desek, naskoczyli łaźiebni pachołkowie i chwyciwszy go na ręce, choć im włosy darł z głowy, pędem lecąc wynieśli i rzucili na podwórzec nagiego.

We drzwiach stojąca gawiedź poczęła się śmiać z nieszczęśliwego Bezpryma, który leżał w śniegu. Drzwi od łaźni natychmiast zawałono drakiem i nim się do pomsty zebrać mógł pokrzywdzony, nie miał już przed sobą nikogo. Klęczał tylko u nóg jego stary Gheza i obejmował go rękami; trzęsąc się z gniewu cały, ciągnąc swojego pana, na którego własną opończę narzucił, na jego podwórze. Bezprym powstał,

obejrzał się obłąkanym wzrokiem ku łaźni i podtrzymywany przez sługę wiernego, znikł w furcie wiodącej do jego dworca. W podwórku cicho było i pusto, dopiero po oddaleniu się Bezpryma wyjrzała czeladź Mieszkowa z łaźni, rozglądając się bojaźliwie.

Królewicz zwyciężył wprawdzie, lecz sam nie rad był swojemu zwycięztwu. Czuł to dobrze, że do mnogich uraz dodał jeszcze jedną nieprzebaczoną. Pozostało w nim niepokojące trwogi jakiejs uczucie.

Ze sromem i spuszczoną głową, milczący jak kamień, Bezprym się przywłókł do izby swojej.

Tu Gheza przykleknawszy, począł go ocierać, rozgrzewać, pieścić jak dziecko, przemawiać doń wyrazy słodyczy pełnemi obrazami. Syn Judythy siedział głuchy, niemy jak posąg. Lza mu nie pocięła z oka, wyraz z ust się nie dobył, pięści miał zaciśnione, zdawał się skamieniały z bólu, zabity...

Głowa opadła na piersi wisiąca bezwładnie.

Jak dziecko dał się oblec, jak nieprzytomny położyć. Piastun mu przyniósł kubek jakiegoś napoju ciepłego i wlał w usta, prawie siłą. Próbował on napróżno rozmaitemi pytaniami wywołać z niego choć wyraz, choć westchnienie, Bezprym usta miał zaciśnięte i nie otworzył ich nawet do pocziwego sługi. Ręką tylko zimną pogłaskał go po głowie na odpowiedź całą. Gheza mówił za dwu:

— Sokole mój, orle mój złoty! zobaczysz doczekamy, wybije zemsty godzina! Odplaci nam za to Mieszek, weźmiemy mu królestwo, zabierzemy żonę... wyżeniam go z tej ziemi, tak jak on śmiał...

I Gheza nogi wychowanka swojego obejmując rękami, tulił, osłaniał, aż póki znużenie i ból zdrętwienia okrutnego nie zmieniły w sen gorączkowy.

Gdy Mieszko po łaźni przyodziałwszy się powrócił do żony i matki, Ryksa łatwo poznać mogła po twarzy jego, która nigdy nic ukryć nieumiała, że nim jeszcze jakiś niedogorzały gniew miotał, ale pytać go

nie śmiała. Posepnym był królewicz i milczącym, a zwierzać się nie chciał z tego co uczynił.

Nie mogło to pozostać w ukryciu, tajemnicą dla nikogo. Z okien owego podwórka wielu na to patrzyło ludzi, czeladź królewicza była świadkiem wypadku, natychmiast wieść się rozbiegła do dworze, doszła do królowej, która ją przyjęła z przerażeniem, do Ryksy, wcale nie myślącej ujmować się za Bezpryma, naostatek do Ody, która się tem uradowała.

Tegoż wieczora, późno już do celi ks. Petrka, który jeszcze odprowadził modlitwy, zapukał zdyszany Harno. Z twarzy zaraz poznał ksiądz, że mu wieść jakąś ciekawą przynosił, i posunął się naprzeciw niemu.

— Królewicz powrócił!—ozwał się przybyły.

— Nie miałeś z czem przychodzić; bo to dla mnie nie nowina—przerwał kwaśno ks. Petrek.

— To nic—dodał komornik—to nic... ale zaraz przybywszy zachciało mu się do łaźni. Tam parzył się Bezprym i ustąpić mu nie chciał... Kazał go precz na dwór, na śnieg wyrzucić... i łaźnienicy ledwie mu dali radę...

Ks. Petrek słuchał z widoczną radością, której w pierwszej chwili zapomniiał nawet ukryć. Harno też, jako człowiek prosty, co się z każdej psoty śmieje, niemal się cieszył z tej przygody.

I Bezprym to zniósł?... tak?... — zapytał księżyna—i nic?...

— A co miał czynić? Zamknięto drzwi łaźni wewnątrz drągiem... Gheza go wziął, otulił i niemal zaniósł do izby, bo ledwie mógł iść potłuczony...

Uśmiechu błogiego jakiegoś uszczęśliwienia, który się po ustach ks. Petrka prześliznął, niepodobna opisać. Rad był widocznie tej katastrofie, lecz przed Harnem nie chciał się zdradzić, wprędce więc twarz zasepił i rzekł pocichu.

— Wielkie to nieszczęście, gdy się ludzie blizy

tak nienawidzą... i takich dopuszczają gwałtów na sobie... A byli świadkowie?

— Łaziebnicy, czeladź, pełno ludzi.. srom widzieli wszyscy.

Książd Petrek głową litościwie potrząsał. Har-
no ucałowawszy rękę jego, rad, że pierwszy mu przy-
niósł wiadomość tę tak ważną, pokłonił się i z izby
wysunął.

Tegoż wieczora wiedziano o tem na podzamczu,
mówiono w całym grodzie. Ludzie jedni brali stronę
królewicza, mniejsza liczba litowała się nad Bezprymem.
W tych wiekach panowania siły, uczucie chrze-
ścijańskie nie było jeszcze tak wyrobionem, ażeby po
stronie słabszego stanąć miało. Cieszyło się, że spad-
kobierca Bolesława takie męstwo okazał.

III.

Gdy się Jaksowie znaleźli w nowem więzieniu,
do którego dalekie jakieś dochodziły mrużenia i gło-
sy, nie byli jeszcze pewni ocalenia. Zdało się im,
że śmierć mogła być tylko odroczoneą. Wśród ciem-
ności poczęli szukać, na czem by się zeprzeć lub po-
łożyć mogli, lecz izba była pustą. Legli więc przy
ścianie na ziemi z obojętnością ludzi, co nie do stra-
cenia nie mając, nie troszczą się jak ostatnie chwile
przeciągniętego życia przepędzą.

Upłynął czas długi, a nie ciszy i mroku nie
przerwało.

Naostatek usłyszeli klucz chodzący w zamku
drzwi, nie tych którymi ich wprowadzono, lecz w in-
nej umieszczonych ścianie. Ukazało się w nich świa-

telko i wszedł małeńki, przygarbiony człowiek niemło-
dy z lampką w rękę, którą osłaniał. Okryty był su-
knią czarną, kroju jakim ją duchowni nosili, z sukna
grubego. Na głowie miał czapeczkę z futrem, która
mu uszy i część bladych okrywała policzków.

Wszedłszy jakby z obawą i wahaniem, wzrokiem
niepewnym, strwożonym, popatrzał na dwu braci, pil-
no się im przyglądając. Być może, iż inaczej wcale
wyobrażał sobie zbójców na śmierć skazanych. Gdy
zobaczył łagodne a smętne twarze Jaksów, którzy za
ręce się trzymając powstałi z ziemi, mocno zdziwionym
się zdawał. Palec położył na ustach. Zawrócił się
tylko ku drzwiom którymi wszedł i z za nich wydo-
był kosz zostawiony. Było w nim jedzenie, jakiego
dawno już dwaj skazani nie kosztowali, był dzbanek
z napojem.

W milczeniu starowina koszyk postawił przed
niemi, ruchem ręki zachęcając ich do jedzenia, lampkę
postawił na przymurku. Sam ręce złożywszy, stał
niemy i zaciekawiony ciągle się w nich wpatrując.

Andruszka pierwszy się odezwał pocichu.

— Mój ojcie, kiedy nas tracić mają?

Usłyszawszy głos, jakby się go uląkł przybyły,
znowu rękę na ustach położył.

— Nic—nic—nie wiem nic.

— Lecz.

— To wam powie kto inny, nie moja rzecz.
I ręką na kosz pokazał.

Chociaż nie pewni przyszłego losu swojego Jak-
sowie, tak byli zgłodniali, że Jurga wyciągnął rękę do
kosza. Zobaczywszy ich jedzących, stary postął chwilę,
zostawił lampkę, mało co dającą światelka i wyszedł
drzwi zamykając za sobą.

W dzbanie był miód, jadło z mięsiwa i chleba
złożone, wydało się ono zgłodniałym dziwnie dobrem.
Zapomnieli, że może wkrótce przyjdzie umierać. Sro-
gi głód miał swe prawa, które zmuszały zapomnieć
nawet o niebezpieczeństwie. Przygotowani na śmierć

z rycerską obojętnością, czekali godziny wyroku. Jakąś siłą nową wlał w nich napój i jadło. Andruszka się uśmiechnął.

— Po co nas karmią na śmierć? — zawołał.

— Kto wie? — rzekł Jurga — coś się stać musiało. Wyrok królewski śmierć przededniem zapowiedział, a to już dzień, biały dzień.

Jurga wskazał okno w górze wysoko, przez którego okiennicy szczeliny widać było przedzierający się blask dnia jasnego.

— Tak! dzień! — potwierdził Andruszka.

— Może się na jednym wreszcie zlitują — dodał młodszy. Jeżeli ważą jeszcze którego mają tracić, to jam gotowy.

Starszy go po rękę uderzył i głową potrząsł, w tejże chwili klucz się w zamku obrócił. Otworzyły się one, i schylając się wszedł inny duchowny, nieznaany obu braciom, mąż poważny, z krzyżem na piersiach, na ciężkim złotym zwieszonym łańcuchu. Za nim widać było staruszka, co przyniósł kosz, ale ten wpuszciliwszy go, sam nie wchodząc, zewnątrz pozostał.

Bracia powstali na widok księdza. którego rękę poszli ucałować wedle zwyczaju.

Piękna twarz duchownego, choć surowa, nie zdawała się im nic złego zwiastować. Szedł jakby pociechę niosąc z sobą, a nim mówić począł, zmierzyl też wejrzeniem baczem Jaksów.

Ci stali przed nim milczący.

— Przyszedłem wam, dzieci moje. zwiastować jeżeli nie ocalenie, to nadzieję jego. Nie mogę, bo prawda nie mam, powiedzieć wam, ani komu to winni jesteście, ani co wam przeznaczono. — Uczyniono wszakże tyle, iż z pod gniewnej ręki króla, miłościwa opieka was wyrwała. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ulagodzi pana i możecie być ocaleni. Lecz w bożej to woli, w bożej łasce. Módlcie się o nią.

Tu zamilknąwszy nieco duchowny mówił dalej.

— Na swobodę wynijść, choćbyście rycerskim

słowem byli związani, nie możecie. Ktoś nieopatrzny zobaczyłby was, wydałaby się przed czasem tajemnica. Są dobrzy, ale i złych ludzi jest wielu. Musicie więc pozostać w zamknięciu, tu — lub może gdzieindziej. Dla świata umarli jesteście, nikt wiedzieć nie powinien, że żyjecie.

Macie żal na pokutę i żal za grzechy.

Sluchając tej mowy, choć otucha w serca ich wstąpiła, dwaj Jaksowie, mniej daleko radości okazali, niż spodziewać się było można.

Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody, do ruchu, do nieustannego zajęcia, niewola wśród czterech murów wydawała się niemal śmierci równą. Siedzieć tak w tej ciszy, niewidząc nikogo, nie wiedząc co się w koło działo, nie mogąc rozkurczyć, chwycić powietrza, pocieszyć światłem, karą było okrutną.

Pocieszało ich to może jedno, że rozdzielonemi być nie mieli. Tak się przynajmniej spodziewali.

Andruszka rzekł z westchnieniem.

— Ojcie przewielebny — zostawcie nas przynajmniej razem. Srogaby rzecz była.

— Będziecie z sobą — odparł duchowny — nie zbędzie wam na niczem, oprócz niestety — swobody i ludzi.

Ażebyście zaś o Bogu nie zapomnieli. parę razy w tydzień, możecie z za kraty do której was zawiedzie stróż, wysłuchać rannej mszy świętej. Powtarzać wam nie trzeba, iż gdybyście na nieszczęście poznani i natrzeni przez kogo byli, życiem to przypłacić możecie. Więc idąc na msze i w kościele twarze zakrywać musicie i do nikogo nie mówić słowa.

Ksiądz dodał: Bóg z wami!!! skinął głową i z powagą, krokiem wolnym wyszedł z izby. Drzwi zaryglowano za nim. Bracia padli sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęli radośnie.

Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały ten dzień szeptali z sobą, gubiąc się w do-

myślach, kto ich mógł od zguby uratować, czyjej odwadze winni byli to przechowanie. Znali oni dobrze Bolesława i wiedzieli na jakie narażał się niebezpieczeństwo ten, co się śmiał woli jego przeciwieć. Jurga wpadł na myśl, iż ojcu Teodory nie mógł być winien tę łaskę, a łzom jego córki. Andruszka posądzal raczej opata Tynieckiego, którego przybycie do ciemnicy, było jakby obietnicą lepszego losu. Żaden nie sięgnął nawet myślą do królowej, której pośrednictwa w sprawie swej nie przypuszczali.

Tegoż dnia stary kleryk przyniósł im słomę na posłanie i dzban wody. Zdawał się przeznaczonym na ich usługi, lecz gdy się z nim rozgadać próbowali, kładł palec na ustach i przestraszony zaklinał się, iż o ničem nie wie.

W niedzielę, która w parę dni potem nastąpiła, ten sam staruszek przyniósł im dwie czarne z kapturami opończe i kazawszy się w nie odziać, korytarzami poprowadził z sobą, zakazując rozmowy. Ciemnymi przejściami dostali się do izdebki pustej nad zakrystią, z małym oknem kraciastem na kościół wychodzącem.

U wielkiego ołtarza kapłan wychodził właśnie z prymaryą, odprawianą o dnia brzasku.

Kościół był mało oświecony i prawie pusty. Poznali łatwo, że byli w tumie poznańskim, w którym tylekroć z orszakiem króla nabożeństwu uroczystemu byli przytomni. Kilku duchownych tylko widać było w chórze i kilka jakichś pobożnych osób świecików w głębi.

Jak tylko nabożeństwo się skończyło, stary ich stróż otworzył izbę i nazad przeprowadził do więzienia. Srogo się ono już dwom Jaksom czuć dawało. Cisza, milczenie, próżnowanie, niewiadomość jak długo potrwać może ta niewola, czyniły ją nad wyraz srogą i ciężką. Jurga, którego już i sen nawet nie brał, rzucił się z razu jak dziki zwierzę, potem zboląły opadł na siłach, zateśknił, zachorzał.

Nie wstawał z posłania, milczał, zdawał się śmierci wyglądać. Wytrwalszy brat czuwał nad nim, i widząc go tak w oczach ginącym, zaklął stróża, aby o tem starszego duchownego uwiadomił.

Tegoż dnia nadszedł on do więzienia. Jurga ledwie, zobaczywszy mógł podnieść głowę, która zaraz na posłanie opadła bezsilna, Andruszka zwlókl się do księdza.

— Mój ojciec—rzekł—winniśmy ocalenie nas od śmierci gwałtownej, dobroczynności, łasce, niewiemy czyjej. Lecz zgnijemy tu z tęsknicy, natura nasza nie znosi zamknięcia i więzienia. Jurga mi w oczach ginie. Umrze on—umrę i ja po nim. Tyle tylko, że się pomęczymy dłużej.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć co z nimi począć. Zbliżył się do Jurgi i przekonał sam, iż go choroba trawiła. Nie mówiąc nic, uczyniwszy tylko nadzieję powrotu, odszedł. Drugiego dopiero dnia powrócił nie sam. Znany braciom opat tyniecki Aron mu towarzyszył, któremu tamten wielkie okazywał uszanowanie.

Opat począł od rozpatrzenia się i wybadania Jurgi, i przekonał, że mu istotnie groziło niebezpieczeństwo... zdawał się jednak i on nie wiedzieć co począć, jak radzić.

— Idzie o życie wasze—rzekł—ktokolwiek was na swobodzie zobaczy, wyda... naówczas nietylko wy zginiecie, ale zgubicie osoby, które ocalić was chciały.

Nie widzę ja nic innego... tylko przeprowadzenie was do szerszego więzienia, do mojego klasztoru w Tyńcu, gdzie w celach zakonnych przynajmniej na słońce patrzeć, z braćmi co was nie wydadzą, obcować będziecie mogli.

Lecz jakże się wam niepostrzeżonym, niepoznanym dostać do Tyńca??

Andruszka podchwycił żywo, poręczając, że gotowi będą nocami, manowcami przedzierać się na miejsce, ludzi unikając, nie mówiąc do nikogo, bodaj twa-

rze osłoniwszy. Jurga nawet zasłyszawszy o tem, podniósł głowę i słabym głosem poręczył, że raczej umrzeć go to wi, niż dobroczynców swych zdradzić.

Poczęła się tedy narada długa i wielka, jak podróż tę, na owe czasy niemając, przyprowadzić do skutku. Ułatwiło ją to jedno, że obu braciom nawykłym do wycieczek i wypraw wojennych, kraj cały dobrze był znany, że umieli i w obcych stronach dawać sobie radę, a ówczas lasy i puszcze połowę znaczniejszą ziemi zalegające, i pora nawet zimowa, podróż tajemną możliwą czyniły.

Opat Aron nie przyrzekając nic, brał to do namysłu, a gdy towarzyszacy mu duchowny wyszedł, dodał z pewnem wahaniem...

— Znajdziecie w Tyńcu bracią moją z różnych stron i języków świata tam zebraną. Moglibyście z tego korzystać. Do stanu duchownego nie myślę was namawiać, bo wiem, że to nie dla takich rycerzy jak wy powołanie. Moglibyście wszakże rozpytawszy się i objaśniwszy u ojców przygotować do podróży większej daleko, któraby wam ocalenie zapewniła.

Tu spojrzawszy na ciekawie go słuchających, ciągnął opat dalej.

— Król a pan nasz miłościwy potrzebę mieć będzie wielką, wysłać ludzi zręcznych i pewnych, w sprawie ważnej... daleko... kto wie? do Rzymu może? do samego ojca świętego. Zręczności do niej i męstwa wielkiego potrzeba, niebezpieczeństw do przebycia znajdzie się dosyć. Moglibyście mieć w pomoc dodanego braciszka włocha.

Na samą wzmiankę o wyprawie podobnej, Andrzejka rzucił się ręce opata ucałować, a Jurga podniósł jakby mu sił przybyło.

Lecz dnia tego na kilku się słowach skończyło. Natychmiast prawie odżył młodszy. Uradowany Andrzejka ujrzał go tego wieczora znacznie orzeźwionym, noc przespał spokojnie, obudził się silniejszy, smak mu do jadła powrócił i, gdy trzeciego dnia opat

Aron przybył do nich, znalazł go już trzymającego się o swej sile.

Stało się tedy na tem, iż przygotowania do podróży uczynione być miały, ale że się to wszystko tajemnie odbywało, czasu więc trochę zabrać musiały. Jurga i Andrzejka raz nocą wydobywszy się za bramy zamkowe, co opat ułatwić obiecywał, nie potrzebowali już przewodnika. Nadchodziły pod pełnię noce księżycowe, mieli więc jechać lasami i nocami, odpoczywając w szalasach, w gąszczach przez dzień i nigdzie nie zajeżdżając. Na to Jaksowie uroczyste dać musieli słowo rycerskie, a co rzekli na to się spuścić było można... Ofiarowali się zresztą choćby uroczystą stwierdzić swe przyrzeczenia przysięgą.

— Tem ważniejsza to rzecz—dodał opat—iż nie wiem w jaki sposób i z jakiego powodu, obudziły się w ludziach podejrzenia, iż nie zostaliście straceni. Nieprzyjacielem tych... którym winniście ocalenie, (opat wymienić nie chciał nikogo) mogliby z najmniejszej korzystać poszlaki, aby przed królem ich oskarżyć. Ostrożności więc potrzeba nadzwyczajnej.

Chociaż opat Aron, chciał czekać na to, aby Jurga, który przychodził do siebie, sił więcej nabrał. Zaręczyli mu oba, że podołają i najcięższej podróży, gdy się na swobodę, powietrze i światło wydobędą.

Dnia jednak nie wyznaczono do wyjazdu. Oba bracia z gorączką niecierpliwą go wyczekiwali.

Jednego wieczora, gdy każdy szelest ich poruszał tak, że się natychmiast zrywali, sądząc, iż już nadeszła godzina, w istocie, później niż zwykle we drzwiach klucz dał się słyszeć. Otworzył go kleryk stary, ale za nim widać było w progu stojące i jakby wachające się, czy wniknąć mają dwie jeszcze osoby.

Potwierdziły się domysły Jurgi, gdy zdala we drzwiach poznał naprzód starego Sieciecha, ale za nim szła z zasłoną na twarz zapuszczoną niewiasta... Serce powiedziało więźniowi, choć się tego nie mógł nigdy spodziewać, że to była Teodora.

I ona to była w istocie. Pieszczona ojca jedy-naczka, wyblagała u niego tę nadzwyczajną łaskę, by Jurgę, którego za narzeczonego swego i męża przy-szłego uważała, mogła widzieć nimby na niepewne puścił się losy.

Długo opierał się stary, nie chcąc dozwo-lić na to, ubłagała go córka, dopuściła królowa, ażeby z ust jej Jurga posłyszał wyrazy do poprawy życia pobudzają-ce. Piękna Sieciechówna, która tyle męztwa oka-zała napraszając się, by jej narzeczonego widzieć do-zwolono, gdy się znalazła w progu tej izby strasznej i ciemnej, gdy zobaczyła Jurgę tak chorobą i niewo-lą zmienionym, w nędznej odzieży, rozplakała się i osłabła.

Ukląkł przed nią po rycersku Jaks... ale wnet też chwilowa owa słabość minęła i odważne dziewczę odzyskało przytomność.

Słów tam wyrzeczono mało.

Sieciech po ojcowsku napominać zaczął, Teodora prosiła obu, aby się nie narażali na to, by zdradzo-nemi być mogli. Przyniosła ona od siebie poświęco-ny krzyżyk narzeczonemu, który go miał bronić od niebezpieczeństwa.

Jurga stał się wesołym niemal.

— Al wiedziałem ja! — zawołał — komu ocalenie nasze mieliśmy zawdzięczać.

— Jeżeli myślicie, iż mnie lub ojcu mojemu je winniście — odpowiedziała Teodora — mylicie się. Prosiłam ja i on za wami, lecz!... lecz ocalił was kto inny, czyjego imienia wyrzec mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz jeszcze kró-lową im na myśl nie przyszła. Wiedzieli, że pro-siła i ona za nimi, ale prośba odrzuconą zo-stała.

Dopytywać nie śmieli.

Po krótkim pożegnaniu, z którego dowiedzieli się, iż tejże nocy wyruszyć mają, Sieciech z córką opuścił więzienie, a bracia żywo poczęli się gotować

do drogi, do której już odzież i oręż mieli przez opata dostarczony. Stary kleryk im pomagał.

Późna już była noc, gdy wszedł opat Aron... Z nim razem opuścili celę w Tumie, i zeszli w podwó-rze, gdzie na nich dwa konie czekały. Kazano im je aż do wrót, w których straż stała, prowadzić w rękę. Niedaleko od tumu furta wiodła na pole. U tej jak u innych, choć czasu pokoju było to zbyt, straż stała.

Lecz Bolesław wszelakiej zdrady, podejścia i na-paści się obawiał.

Opat Aron pierwszy, dając się poznać straży wy-szedł ztąd na pole i opowiadając swoich dwu posłań-ców, braci za sobą wyprowadził.

Ucałowawszy rękę, jego, dosiedli koni, z niewy-słowionem tem uczuciem, jakiego doznaje człowiek długo zamknięty, gdy nagle wydobędzie się na swo-bodę... Nie mówiąc do siebie słowa, poparli konie, co żywiej oddalając się od grodu, którego okolice szcze-gólniej były niebezpieczne. Lecz zimową nocą, spot-kania czyjegokolwiek mało się mogli obawiać, a po zmarzłej ziemi i wodach, na wprost skierowali się ku najbliższym lasom.

Obu okolica doskonale była znaną, bo nieskoń-czoną liczbę razy w niej z królem polowali. Zbłąka-nia się więc obawy nie mieli.

Jeszcze opat stał w furecie, aby się naocznie upe-wnić o ich oddaleniu, gdy puściwszy konie Andruszka i Jurga znikli mu już w zaroślach.

Sledzący pilnie sprawę Jaksów, ksiądz pisarz Pe-trek nabierał przekonania silniejszego coraz, iż coś w tem było ciemnego. Doszedł on z pomocą Harna, że stracenie Jaksów było niepodobieństwem. Daleko trudniej mógł się dowiedzieć, co z nimi uczyniono, i kto był główną tej sprawy sprężyną. Opat Aron, którego zaufanie posiadał, (jak mu się zdawało) — z różnych stron z ręcznie badany, nie dał z siebie ani słówka wydobyć. Sądził więc ks. Petrek, iż nie wie-

dział chyba o niczem. Posądził starego ojca Teodory, ale ten okazując mu wielkie uszanowanie, jakie się każdemu należało duchownemu, trzymał się od niego zdala.

W Tumie księza byli w dobrych z ks. Petrkiem stosunkach, który ich sobie jednał przepisując im na kawałkach pergaminu, rozmaite hymny i sekwencye kościelne.

I ci jednak, przyjmując ks. Protonotarjusza gościnnie, bliższych z nim nie zawierali stosunków. Umiał on zręcznie i tu i gdzieindziej rozmowę naprowadzać na smutną tragedję Jaksów, rzucał dwuznaczne wyrazy, pragnąc dać do zrozumienia, że coś wiedział, i że był do tajemnicy przypuszczonemu — to mu jednak do wydobycia jej nie pomogło.

Z rozmaitych poszlak zdawało się ks. pisarzowi, iż Jaksowie gdzieindziej schronienia znaleźć nie mogli, tylko u tych księży. Tu więc skierował swe kroki, już nie do starszyny się zwracając, ale do kleryków i posługaczy kościelnych.

Milezący staruszek, który miał klucz od więzienia Jaksów, i w ogóle od wszystkich izb na tumie, dla gości obcych i dla winowajców przeznaczonych — zdał mu się najpewniej rzeczy świadomym. Był to milezący starowina, pobożny służka kościoła, który nad jedno święcenie więcej nie miał i mieć nie pragnął, przy katedrze gorliwie chodził, szanował starszych, rozkazy ich spełniał i daleko nie widział. Zwano go bratem Ruprechtem. Przy pierwszej swej bytności około tumu, ks. Petrek rozmowę z nim przyjazną zawiązał. Brat Ruprecht, któremu pochlebiało to, że kapłan tak wysoko u dworu położony, poufale się z nim obchodził — chętnie się wdał w gawędę, nie sądząc, ażeby dla ks. Petrka mogły być jakie tajemnice.

Sam on nie wiedział dobrze co to byli za winowajcy, których mu strzedz kazano, miał ich za grze-

szników srogą kościelną odbywających pokutę. Ciekawość wiek już w nim przytępił.

— Dużo masz i roboty i zachodu, mój bracie — mówił doń pisarz — na twe stare lata, ciężko ci już być musi.

— Nie — soli Deo gloria. — rzekł braci-szek, bo zwykł był ten pobożny wykrzyk często powtarzać. Już się człowiek wdroył i drepcze, nie czując znużenia...

— Macie bo pewnie i więźniów w kunie do pilnowania...

— A zawsze ich tam coś jest — rzekł stary — ludzie nie anioły — toć to jeszcze pół — poganów dużo.

— Tak — tak potwierdził ks. Petrek — a z temi więźniami ciężka sprawa, bo to butne i zuchwałe...

— Nie wszyscy — kaja się wielu.

— Teraz ich tam dużo u was? — zapytał nawiasowo ks. Petrek.

— Było więcej, dwu mi wczoraj ubyło.

— Wczoraj na raz dwu! ulga wielka — cóż to za ludzie byli?

— Pono wojenni jacyś... na rycerzy wyglądali — a no dziwnie łagodni i cisi byli.

— Młodzi — starzy?

— Młodzi jeszcze oba. Jeden mi tu chorzał z tęsknoty, czy zamknięcia, a no odszedł.

— Cóż to za jedni mogli być, boć ja tu o wszystkich wiem, a takich dwu, przypomnieć sobie nie mogę.

— Jam też nazwisk i imion nie był ciekawy. Zdało mi się, że braćmi chyba być musieli, gdyż się z sobą kochali bardzo.

— Na wolność ich puszczone? — zapytał ks. Petrek — który był już pewien, że za nic chwycił i chciał dotrzeć do kłębka.

— Pewnie — pewnie — ja tam nie wiem — nie moja to rzecz — nie moja — rzekł stary — nocą ich wyprowadzono odemnie.

— Wczoraj?

— Tak jest — rzekł dobroduszny Ruprecht.

To mówiąc, ponieważ go już kędyś powoływano, pożegnał pokornie ks. protonotaryusza i pośpieszył z powrotem. Jeden z komorników znać widział go na rozmowie z ks. Petrkiem, i uląkł się, aby go nie badał. Zaledwie stary podszedł ku niemu, zapytał czy pisarz nie wyciągał go na rozmowę o więźniach. Zdziwiony niezmiernie nie przyznał się winowajca do tego, co mówił z ks. Petrkiem któremu niedowierzano i lękano się go powszechnie. Już pisarz, rad z pochwyconej wiadomości, miał powracać do swej celi, gdy go zaproszono, aby wstąpił i spoczął. Trzeba było naprawiać, co pocziwy popsuł starowina, i zbieć z tropu ks. Petrką.

Dosyć zręcznie się do tego wzięto, nihy z wypadku rozmowę zwróciwszy na dwu braci, zmyślonego nazwiska, którzy za życie rozwiązłe świeżo więzieniem i postem byli karani, a wczoraj wypuszczeni... po odbiciu pokuty.

Opowiadanie miało wszelkiego prawdopodobieństwa cechy, zachwiało nieco ks. protonotarjusza, lecz po rozmyśle uznał on to czem było... podejściem tylko. Stał przy swoim.

Jakiś czas przebywszy na obojętnej rozmowie w tunie, powrócił ks. Petrek do swej celi. Tu począł dopiero rozmyślać jak miał postąpić, aby trudów swych nagrodę osiągnąć.

Wszystko co mogło królowi Bolesławowi przyczynić trosk, gniewu, niepokoju, pożądanem było dla skrytego sługi arcybiskupa mogunckiego i cesarza. Zasiać we dworze waśń, podejrzenie — pobożną królowę usunąć, którą za opiekunkę i orędowniczkę uważano... celem było dla ks. Petrką.

Opat Aron nazajutrz wyjechał był do jednego z podległych mu pomniejszych klasztorów, które naówczas zakładali możni. Spodziewano się powrotu króla. W czasie niebytności powiernika duchownego — ks. Petrek miał dobrą zręczność docisnąć się do

niego — i — gdyby się udało — rzucić jakie ziarnko, coby kielkowało w przyszłości.

Czekał więc niecierpliwie, ażeby król z Gniezna powrócił — a modlił się o to, aby opata z sobą nie przywiózł, lub by go ten nie uprzedził do Poznania — prośby te zostały wysłuchane, następnego wieczora król w licznym orszaku, weselszy niż wyjechał, rad, że syna ulubionego zobaczy — stawił się na gród nad Cybiną.

Ciche dworce natychmiast nowem życiem zakipiały. Co żyło ruszyło przeciw panu i na jego posługi.

Rozjaśniły się lica — Bolesław powracał dobrej myśli...

Ks. Petrek już przez swoich wiedział że w Gnieźnie narada była pańskiej drużyny, że godzili się na to wszyscy, iż król uroczyście koronowanym być powinien, że wszelkimi sposobami o koronę, choćby ofiarą największą, starać się było potrzeba.

Wieczora tego, król był tak otoczony i domownikami, i rodziną i posłami, którzy tu nań czekali — iż się doń docisnąć było prawie niepodobieństwem.

Gdy król do dworca się zbliżał, złożyło się jakos tak dziwnie, iż nim o przyjeździe dowiedziała się, i wyjść mogła na spotkanie królowa Emnilda, już Oda miała wiadomość o powrocie króla, i pierwsza w przedstawieniu powitać go wybiegła.

Król się rozśmiał do niej, rzucając na nią ognistym wejrzeniem, bo namiętności swych, niestety — nigdy nie nawykł był hamować.

Wybiegnięcie to naprzeciw Bolesława, wkraczało niejako w prawa królowej i mogło gniew jej, choć cichy i milczący wywołać, markgrafówna więc Oda, nie czekając aż się pani ukaże, skinęła tylko królowi, dała mu znak jakiś i skryła się natychmiast. We dworze to postrzeżono jednakże, i głowami potrząsano.

Król, gdy się ukazała Emnilda, niemniej ją z wielką czułością i poszanowaniem powitał. Oda, kusila

go po szatańsku, a swawolnego i nawykłego chuciom puszczać cugle człowieka, łatwo było jej pociągnąć — nie zmniejszało to jednak czci Bolesława dla niewiasty, którą i on i duchowieństwo i wszyscy za świętą niemal uważali. Korzył się przed nią i sromął król, a im czuł się winniejszym, tem powolniejszym okazywał się dla niej. Duchowieństwo, szczególnie opat Aron, nieraz z tem sumieniem szukajacem wybiegów różnych, aby się oczyściło — niemałe trudności mieli. Każdy grzech jawniejszy sowitemi dary opłacał król dla kościołów — lub pokutą jakąś, a nazajutrz znowu weń wpadał. Chrześcijaństwo z duchem swem całem, ze znaczeniem głębszem, nietylko jemu, lecz większej części europejskich władców i najprzedniejszego rycerstwa — obcem było. Formy jego zewnętrzne ledwie im dostępnymi być mogły. Oświata wogóle w X i XI wieku, z wyjątkiem duchowieństwa i klasztorów stała bardzo nisko. Zwolna usiłowano krzewić wiarę, wiele przebacząc z razu tym co ją przyjmowali i przykładem swym lud wiedli.

Ks. Petrek, czyhający na króla, dnia tego nie mógł doń dostąpić — nie było powodu, a prócz tego, nadziei aby z nim sam na sam mówić miał zrzeczność.

Nazajutrz, rosła obawa, ażeby opat Aron nie nadjechał — bo wówczas ks. Petrek nie miałby nawet pozoru do nastręczania się panu.

Harno przyszedł wedle zwyczaju, donieść księdzu, że król wrócił weselszy, że u wieczerzy wesółych nawet do zbytku, przy niewiastach żartów sobie pozwalał, tak, że oprócz Ody, co się ich nie lękała i przyjmowała je uśmiechem, inne oczy sobie zakrywać musiały.

Różnych tego rodzaju plotek dosyć przyniósłszy swemu duchownemu opiekunowi, Harno także oznajmił, że król nazajutrz na przedsienu dworca przypatrywać się ma, jak niemiec pewien z młodym Sądkiem, sławnym siłaczem, o lepsze się potykać w podwórzu będą.

Gonitwy takie i rodzaje turniejów, odbywały się za każdym przybyciem cesarzów do Quedlinburga, Dziewina, Merseburga, Akwisgranu.

Występowali w nich najdzielniejsi, król sam nawet, gdy młodszy był, nieraz w nich uczestniczył i u siebie je też mieć lubił, a zwycięzców sam nagradzał.

Gdy się podobne trafiło widowisko, dwór cały, mężki i niewieści, pacholki i czeladź zalegali podwórce... ciekawi byli wszyscy. Duchowieństwu też wzbronionem nie było przypatrywać się popisom dzielności rycerskiej, na której stał świat ówczesny.

Ks. Petrek zamierzył więc sobie ustawić się tak, gdzieś blisko Bolesława, aby mu wpaść w oczy i korzystając z chwili, wciągnąć go w rozmowę.

Król w istocie siadł patrzeć na dwu zapaśników, co się byli w obecności jego wyzywali. Protonotaryusz, z właściwą sobie zrzecznością, na oczy mu się nasunął — a gdy go pan dostrzegł, powitał go pokłonem do ziemi.

Zaczem już miał powód przybliżyć się, zagadnąć i próbować, azali król, stęskniony za opatem, zawsze rady duchownych chciwy — nie zażąda się z nim rozmówić.

Stało się nadspodziewanie dla księżyny szczęśliwie. Surowym był bez miary opat Aron dla króla, zaledwie w ten sposób mogąc cokolwiek namiętności jego pohamować wybuchy. Petrka Bolesław nie lubił, ale kunszt czytania i pisanie w oczach króla wysoko go podnosił.

Za uczonego miał go i w kanonach biegłego. Przyszło więc na myśl panu, gdy się walka skończyła, że oba zapaśnicy z niej wyszli nie cali, a zwycięstwo wątpliwem zostało. Skinął na ks. Petrka i poprowadził go za sobą do sypialni.

Z bijącym sercem, skulony, szczęśliwy szedł kroki cichymi za panem ks. pisarz. Gdy się w izbie sami

znaleźli, bo komornikom król za progiem kazał pozostać—począł od tęsknicy za opatem Bolesław.

— Gdyby, miłości wasza mi co do rozkazania miała—odezwał się ks. Petrek — choć tak wielkiego męża nie potrafię nigdy zastąpić, i nie godzien jestem rozwiązać rzemyska jego... starałbym się.

— Słuchaj no, mój ojcie—rzekł król—opat mnie straszy wielce grzechami mojemu... są w istocie przepisy życia tak srogie, aby za najmniejsze przestępstwo piekło zaraz otworem stało?

Ks. Petrek głowę w ramiona wnurzył, ręce rozłożył, milczał długo.

— Miłościwy panie — rzekł — kościół zna słabości ludzkie i folguje szczególnym osobom, gdy ich położenie, krewkość, stosunki, popełnione wykroczenia tłumaczy. Tym na których ramiona włożone jest brzemie wielkie — więcej też odpuszcza prawo.

Część i padam na twarz przed wielką światłością i dobrotliwością mojego dobroczyńcy przewielebnego Arona—ale surowym on jest nad miarę, jak dla siebie, tak dla drugih.

A tak mi się zda — rzekł król.

Ks. Petrek drżąc czekał, ażeby Bolesław szczególny jakiś wypadek wymienił z czemś mu się zwierzył—lecz do tego nie przyszło.

Spytał tylko król niewyraźnie i niejasno, o różnicę jakiegoś grzechu śmiertelnego od powszedniego, i wysłuchał odpowiedzi umiejętnej bardzo, ks. pisarza, który wprawdzie nie skłamał, bo mu na to nie dozwalało sumienie — lecz śmiertelnego grzechu rozgrzeszenie wskazał jako możliwe i naturalne.

Innych parę pytań zadawszy, zamyslił się król i zamilkł.

Ks. Petrek tymczasem umiał naprowadzić rozmowę, na sprawy dworu. Wiedział, że król rad powieści słuchał o tem, co się u niego w domu działo. Począł ubolewać nad złośliwością ludzką, nad dziwnymi

często baśniami, jakie sobie ludzie roili — i — dodał — (szło mu najwięcej o to).

— Nie obeszło się i teraz, gdy miłość wasza, tak sprawiedliwie skarcił zuchwałych i niewdzięcznych Jaksów... bez różnego o tej sprawie gadania.

Król chmurno spojrział, lecz poczętej rzeczy wstrzymać już wcale niepodobna było... Mówił więc pisarz, ciągle króla oczyma badając.

— Po dworze chodzą najniedorzeczniejsze pogłoski, jakoby mimo rozkazu i wyroku pańskiego, Jaksów czyjaś opieka ocalić miała... Wiadomo to wszystkim, iż młodszy z córką Sieciechową był zaswatany, więc jego, a nawet świętą, miłościwą panią naszą... posądzają o nieposłuszeństwo i bunt przeciw woli twej—panie.

Bolesław słuchając podniósł zdziwione oczy i wlepił je bacznie w mówiącego.

— Co ty mówisz? — zapytał. — Gorzki, dziwny jakiś uśmiech przebiegł mu na usta.—Co mówisz?

— Wiem, miłościwy panie, żeć tak nie jest i nie może być — bo któżby śmiał stanąć przeciwko twej woli wszechwładnej, lecz o to czem jest złość ludzka!

Rzucając królowi tę wiadomość do serca, sądził ks. Petrek, iż zasieje nią nieufność, podejrzenie i gniew może, lecz z twarzy króla rozpoznać nawet nie umiał co myślał i czuł.

Bolesław nie rzekł słowa — zwrócił mowę na opata i klasnąwszy na komorników, wrędcę pisarza odprawił.

Wyszedł on drżący. Wiodło mu się aż do ostatniej chwili szczęśliwie—lękał się aby teraz nie pośliznęła się noga.

Skutek wiadomości zdał mu się chybiony — król ją lekceważył, i nawet nie wziął do serca. Ks. pisarz odszedł wielce niespokojny, pocieszając się tem, że ziarno później może zacząć kiełkować.

IV.

Tyniec, którego opactwo pierwszy król Bolesław z Judythą węgierską, matką Bezpryma, założył i uposażył, starą był osadą i gródkiem. Podanie powiadało, iż nie jeden, ale trzy warowne zameczki stały tam niegdyś u brzegu Wisły. Okolica leśną była i choć o półtorej tylko mili od chrobackiej stolicy Krakowa odległą, spokojną tak jak zakonne wymagało życie.

Jak w całej Europie naówczas i w Polsce zakonnicy św. Benedykta przynosili ze sobą światło. Od tych ognisk klasztornych, przy których pierwsze szkoły powstały, miało się ono zwolna po na pół pogańskim jeszcze rozchodzić kraju.

Nie starczyły rzadko rozsiane katedry i biskupstwa, ani duchowieństwo świeckie, wielkiemu dziełu nawracania i cywilizacji. Wszędzie zakonnicy, mnisi, najdzielniejszą im, niezbędną byli pomocą. To też za Mieszka, a więcej jeszcze za Bolesława Wielkiego, wznosiły się z kolei pustelnie, klasztory, kościoły w Sieciechowie, na Lysej Górze, w Tyńcu... Potrzeba było przysposobić duchowieństwo krajowe, któreby językiem zrozumiałym do ludu mogło przemawiać. Zdaniem było mnichów ściągniętych z Klunjaku, z Monte Cassino z innych już kwitnących i rozwiniętych monasterów Zachodu, stać się kolonistami chrześcijańskimi, na dziewiczej jak nasza ziemia. Tu wszystko było do zrobienia. Benedyktyni nieśli z sobą szkoły, rękopisma, rzemiosła, sztuki.

Reguła św. Benedykta zrodzona z potrzeby oświecania i nawracania, oprócz ascetycznych swych prawideł, endownie praktycznie obmyślaną była. Mieścił się w niej zarówno obowiązek pracy, jak obowiązek modlitwy, posłuszeństwo i swoboda, pobożność i za-

dośćuczynienie obowiązkom życia powszechnego. Pracowali wszyscy wedle sił, nieustannie i każdy klasztor był małym światkiem, który sam musiał starczyć sobie. Szkółkę dla nowicyuszów wewnątrz, szkołę dla ludu po za obrębem cichej klauzury miał każdy.

Kapłaństwo i święcenie nie było wcale warunkiem klasztornego życia, znaczniejsza część członków miała tylko jedno święcenie i nie żądała iść wyżej, przykładem św. Benedykta, który też kapłanem nie był, choć był patryarchą zgromadzenia. Własnymi po większej części rękami benedyktyni zagospodarowywali się na nowych siedzibach. Zakon miał budowniczych, rzeźbiarzy, cieślów, murarzy, złotników, rzemieślników i artystów, a gdy tego wymagała potrzeba, illuminator od rękopismu, który złocił i malował, szedł do lasu drzewo rąbać, rzeźbiarz rzucał dłuto i posługiwał we młynie. Żaden rodzaj pracy nie był im wstrętny.

Gdy Bolesław zakładał opactwo w Tyńcu, stał tam już nad brzegiem rzeki, z drugiej strony lasem okolony zameczek, spalony, zniszczony i zaledwie lichy na przyjęcie tych gości polepiony, kościoła nie było. Lecz na ziemi nadanej mieli przybywający wszystko, co do budowy mogło być potrzebnem, mieli i ludzi a służbę oddaną im dla wyręczenia się w pierwszej chwili. Szybko więc naprzód wznosił się kościółek klasztorny na starym grodzisku, a tuż przy nim i zabudowania wszelkie. Nie wyglądało to naówczas tak wspaniale jak później, gdy opactwo „centum vilarum“ (stu wsi) rozrosnąć się miało, klęsk doznawszy wprzód.

Nie było tu wspaniałych murów, nierychło potem wzniesionych, ani wierzycy zdala widnej przy kościele, ani gmachów rozległych. Tyny po części stare, w części nowsze obejmowały znaczną przestrzeń na klasztor, ogrody i różne budowle zajęta. Większość ich była jeszcze z drzewa a nawet chrustu. Lecz pod

temi dachami z dranic i słomy synowie św. Benedykta, św. Odon i Abdon przepisywali już kanony, pisma Boēcjusza i Rabana Maura, wczytywali się w uczone rozprawy Gerberta... Chwymano już tu ubogą działwę na naukę i przysposabiano przyszłych kapłanów.

Z Francyi i Zachodu przywiezione latorośle zieleniały w pierwszych ogrodach i winnicach; sposobili się kamieniarze, aby dawnych cieśli słowiańskich zastąpić.

Nie będziemy opisywali podróży Jaksów do Tyńca, która trwała dość długo, już dla tego że miejsce wiele wymijać musieli i od oczów się chronić.

Szczęściem udało im się uniknąć spotkania z ludźmi, coby poznać ich mogli. W lasach często słyszeli łowców, psy i ugania się za zwierzem, ale bacznie się od nich chronili. Wieśniaków, których wyminąć nie było podobna, obawiać się nie mieli powodu. Podróż była męcząca, mróz i zawieje czyniły ją przykrą. Rozpalali wprawdzie ognie i klecili szałas dla ogrzania się i spoczynku, lecz sukni z siebie nigdy zwlec nie mogli. Jeden z nich zawsze czuwać musiał, aby zaskoczonymi nie byli. Nie obeszło się też bez oblędu, który czasu dosyć kosztował, nim się znowu znaleźli, gdzie było potrzeba. Gościńców naówczas mało miał kraj jeszcze; latem stały za nie rzeki i one najlepiej drogę wskazywały. Zimową porą, instynktem, rozpytywaniem ba i gwiazdami nawet kierować się niekiedy musieli.

Żaden jednak wypadek groźniejszy przez cały przeciąg podróży się nie trafił. Jurga i Andruszka, oba myśliwi namiętni, kilka razy na widok zwierza nie wytrzymawszy puścili się za nim, służył on im za strawę, bo jej kupować po osadach nie chcieli. Chleba trochę mieli w sakwach, a konie musieli karmić u cudzych stogów, gdy się u osadników nie dało owsa dostać. Rumaki zarówno jak jeźdźcy wytrzymałe, niewiele ucierpiały w podróży, lecz i one i ich panowie tęsknili już ostatniego dnia za ogniskiem,

ciepłym pokarmem i wypoczynkiem i upatrywali, rychło się ten przyobiecany Tyniec okaże...

Opat Aron dał im własną ręką zapisany zrynek pergaminowy, pod pieczętką swą, do zastępującego go ojca przeora. Wiele jednak na nim pisać nie mógł i nie chciał, zlecił więc Andruszcze, by resztę ustnie opowiedział.

Chociaż mieli nadzieję dnia tego dobić się do klasztoru, noc ich raz jeszcze w lesie zaskoczyła... gdyż Kraków chcąc pominąć, gdzie się widzianymi być obawiali, nadto się daleko w gąszcz puścili. A że przybycie po nocy do nieznanego miejsca zdało się im nieprzystojnem, musieli szalas stawić i do dnia w nim czekać.

Mróz nocą wziął ostry, lecz niebo się wyjaśniło nad podziw pięknie, i gdy zrana się do koni zerwali, nowy w nich duch wstąpił. Zaledwie wyruszyli z noclegu, z wielkiem podziwieniem swoim, o staj kilkanaście z lasu się wydostawszy, na urwistem wzgórzu nad rzeką zamarzłą teraz, ujrzeni w ogrodzeniu budowle, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Zdala słychać było odgłos klasztornego dzwonka. Słupy dymu podnosiły się nad dachami. Z niewymowną pociechą w duszy, czując się ocalonymi, popędzili konie, by się co rychlej dostać pod dach gościnny.

Nie było trudności z przebyciem lodu, a dobra droga, wyjeżdżona, którą widać drzewo z lasu wożono, poprowadziła ich do bramy.

Była ona dosyć warowną wprawdzie, nie bez myśli o jakimś nieprzyjacielu, opatrzona częstokołami i ostrem zaborolem, lecz nie wyglądała pokaźnie. Na mur czasu jeszcze nie stało. Przez te wrota na zewnętrzne dojechali podwórze, z którego furta druga prowadziła do właściwego klasztoru. Posiadali tu z koni i prowadząc je w rękach, podstąpili ku zawartym wrotkom. Te się jednak natychmiast otworzyły i stróż w odzieży ciemnej ciekawemi mierzyl ich

oczyma. Był to braciszek, który już trochę języka rozumiał, i gdy mu Andruszka opowiedział, że są od opata posłani, a z przeorem mówić potrzebują, wnet od nich konie pobrano, a ich samych do forestorium wpuszczono.

Gospoda ta dla obcych pustą była, ale gotową na ich przyjęcie. Ogień się palił na kominie i z wielkiej tej izby widać było kilkoro, do osobnych cel prowadzących.

Ogromny stół, na którym parę kaflów cynowych zapomniano, na ścianie wizerunek Chrystusa, ławy i parę stołów, podłoga matami wysłana... oto wszystko, co w gospodzie znaleźli. Zaledwie do niej weszli, gdy czarno ubrany, z wesołą twarzą, oczyma ciemnymi i pełnymi ognia, rumiany z wyrazem jakiegoś spokoju i szczęścia, którego Jaksowie dawno już nie spotykali na ludzkich obliczach, ukazał się na progu młody nowicyusz.

Widocznie obowiązkiem jego być musiało gości tu widać przyjmować. Francuz rodem, nauczył się był jako tako języka i sam dobrodusznie śmiał się z własnej mowy. Przywitawszy Jaksów, spytał czyby głodni nie byli i zarazem oznajmił, że o. przeor jest w chórze, a za chwilę, gdy się skończą modlitwy, przyjdzie do nich. Zajął się zaraz bardzo pilnie przybyłymi i z wielką troskliwością o drogę, o której niebardzo mówić mogli, rozpytywać począł.

Obowiązki gościnności zarazem i ciekawość poznania tego kraju, którego jeden tylko widział zakątek, pobudzały młodego kleryka do rozmowy, trudnej dla niego, a choć już wiele języka miejscowego się poduczył, brakło mu samemu wyrazów, a mowę Jaksów nie zawsze mógł zrozumieć. Lecz ze skromnością i pokorą dziwną, z łagodnością dziecięcą patrzył w oczy młodym gościom i usiłował odgadywać co mówili. Oba Jaksowie jak na dziwne zjawisko patrzyli na tę postać zupełnie dla nich nową, w której młodość łączyła się z takim pomiarkowaniem i rozumem.

W rycerskim stanie szumił ten wiek właśnie najgorętszą bułą. Dziwiła ich także wesołość i wyraz spokoju w kleryku, którego stan wyobrażali sobie pełnym ostrych prób i nieustannych umartwień.

Kleryk Odon zabawiał ich jak mógł i umiał, dopóki wreszcie nie zbliżył się czas wychodzenia z chóru. Z uśmiechem wymknął się żywo, oznajmując im, że idzie o przybycie ich opowiedzieć przeorowi.

Niedługo też razem z klerykiem ukazał się ks. przeor w czarnej sukui i płaszczu, jakiego benedyktyni w chórze używali. Był to niemłody już ale czerstwy mężczyzna, w pięknej postaci, w którego rysach to samo uspokojenie błogie malowało się, jakie ich na twarzy młodego chłopaka zdziwiło. Było ono jakby charakterem tej rodziny zakonnej, o czym się później przekonali. Ostre życie okrywał ten wyraz wewnętrznej ducha spokojności i wesela.

Andruszka pozdrowiwszy pocałowaniem ręki o. Benedykta, oddał mu pergaminowy zwitek opata. Odszedł z nim do okna przeor i chwilę poczytawszy, klerykowi dał znak, żeby się oddalił. Z pisma wiedział, że się na osobistości z przybyłymi rozmówić było potrzeba. O. Benedykt, acz od lat już kilku żył w Tyńcu i z językiem się obył, równie trudno jak kleryk mógł nim mówić. Nie poszło więc łatwo porozumienie, chociaż, bystry umysł wielu się okoliczności domysleć potrafił.

Zrozumiał przeor, że miał tu ukryć przysłanych, nie narażając ich na spotkanie z rycerstwem i osobami do dworu króla należącymi; w kartce stało, iż dobrzeby było, jeżeli nie obu to zdolniejszego z nich próbować jakiegoś nauczyć języka, z którymby w podróż do Włoch wybrać się było można. Jaksowie prosili, w obawie nie tak o siebie jak o tych, co ich ocalili, by się jak najmniej pokazywać mogli i pozostać w ukryciu.

— Żadne wam tu niebezpieczeństwo nie zagraża — odezwał się przeor. — Zimą zwłaszcza do klasztoru

mało kto uczęszcza z osób rycerskiego stanu... Dla niepoznaki moglibyście włożyć suknie nowicyuszów, ale i to nie jest potrzebnem. Gdyby ktoś do klasztoru przybył, zawsze się ukryć możecie i w celi waszej, którą wam wyznaczę, pozostać...

Natychmiast więc dał o. Benedykt młodemu klerykowi, powołanemu z sieni rozkaz, ażeby się zajął umieszczeniem dwu braci. A że z życiem zakonnem obeznać się i zastosować doń musieli, kazał im pokazać klasztor i objaśnić, jak dzień tu był rozłożony.

Z wielką uprzejmością młody kleryk jął się zaraz spełnić rozkazy, zabierając z sobą Jaksów, naprzód do wyznaczonego im mieszkania.

Nie pozostawiono ich jednak w celach zakonników, szczupłych i tylko na godziny pracy i modlitwy cichej, przeznaczonych, lecz w jednej z izb gościnnych, w której osobne posłanie mieć mogli.

Zakonnicy krótkie i przerywane snu godziny spędzali we wspólnej sypialni. Reguła ich zmuszała wstawać do chóru i nocą. Dla Jaksów znalazła się komnata czysta, z oknami ku Wiśle zwróconemi, w której komina nie brakło i na posłanie miejsca. Mieli też stół i ławy, a naówczas niczego już więcej nie potrzebowano. Zniesiono tu ich juki podróżne i po długiej jeździe, w ciągu której ni razu się przebrać nie mogli, pierwszy raz przeodzielili się i z ciężkich kaftanów wyzwolili. Kleryk im we wszystkim wesoło, po bratersku posługiwał, usiłując rozchmurzyć czoła i natchnąć dobrą myślą.

Kilka razy wchodził i wychodził, nim w pogotowiu byli, posiliwszy się tem, co im tu przyniosł do jedzenia, a co im się dziwnie smaczne wydało, tak byli wygłodnieli; naostatek zabrał ich z sobą, ażeby wedle rozkazu przeora całą tę osadę klasztorną obejrzeć mogli.

Wszyscy, których tu spotykali, nawet do najcięższych posług użyci, mieli na sobie suknie zakonne, wszyscy też mieli te twarze jasne i uśmiechami oży-

wione, które tak Jaksów dziwiły. Mijając nie mówili nic, gdyż milczenie panowało w ogóle w klasztorze całym, zdumiewające dla przybyszów, ale wejrzenia i oblicza zdawały się witać przyjaźnie.

Kleryk Odon, jak mógł i umiał tłumaczył Jaksom, to, co im okazywał. Naprzód wprowadził ich do kościołka, który choć mały był naówczas, choć skromny, dosyć jednak ozdobnie wyglądał, dzięki szczodroblowości króla i kunsztowi samych ojców. Tu pomodliwszy się przed wielkim ołtarzem, za którym był chór zakonny, i rzuciwszy okiem na dwa boczne, misternie złoconymi przyozdobione, wyszli naprzód do wielkiej wspólnej izby jadalnej. A trafili właśnie w chwili, gdy całe zgromadzenie w milczeniu za długim stołem siedziało. Na małym wywyższeniu młody kleryk w wieku Odon, w języku Jaksom niezrozumiałym, czytał coś z księgi.

Zakonnicy razem wszyscy zebrani byli, oprócz przeora, który miał miejsce osobne i siedzenie wywyższone, a na usługach jego stało dwu kleryków. Młodzież wdrażała się w ten sposób do karności i pokory. Na ścianie wizerunek Chrystusa i kilka innych mniejszych obrazów na złoconych deskach, zdobiły ciemną i niską jadalnię, widocznie tymczasowo skleconą.

Ztąd szli do podobnej jej izby sypialnej, jeszcze uboższej, bo to co się tu posłaniem zwało, ledwie na imię to zasłużyć mogło. Rzucona na deskę garść słomy, suknem grubym pokryta, stanowiła łoże mnisze... Wielki komin w pośrodku ściany starczył na ogrzanie izby zimą.

Przechodząc potem długie chodniki i podsienia, z których drzwi do celi zakonników widać było, kleryk im kilka tych mieszkań pokazał.

Niemal w każdym z nich znaleźli zdumieni jakiś przybór i narzędzia rzemieślnicze, których użytku nie mogli odgadnąć. Obok mnogich godeł religijnych widać było warsztaty, dłuta, siekiery, krawieckie no-

życe i t. p. Nie było i jednego z ojców, coby nie miał zajęcia.

Brat Odon tłumaczył im z uniesieniem, jakie oni tu spokojne, szczęśliwe, niczem niezamącone życie prowadzą, czas dzieląc między modlitwą a różnymi robotami.

— Latem—dodał—to wozimy, budujemy, sadzimy, siejemy, żniemy i gospodarujemy aż miło...

Pokazawszy im w głównym gmachu co było najciekawszego do widzenia, z oczyma promieniejącymi nareszcie zapytał, czyliby i najpiękniejszej a najdroższej pracowni oglądać nie chcieli? Nie zrozumieli oni tego zrazu, bo w jednej z cel już widzianych pokazywał im Odon złotniczy warsztat, srebro i złoto, które jeden z braci misternie rzeźbił i kuł z nich najpiękniejsze naczynia kamieniami nasadzane.

Zdało im się, że po złocie i klejnotach nie już równie szacownego widzieć nie było można. Odon mówił im o czemś, czego ani się domyślać, ani zrozumieć nie umieli. Tem mocniej obudziło ich ciekawość i zdumieli się mocno, gdy wpuszczeni do obszernej i światłej izby, nie dostrzegli w niej więcej nic nad kilka polic drewnianych zapełnionych czemś, co później okazało się—księgami, jakie oni tylko po kościołach widywali. Ogromny stół w pośrodku kilku pulpitemi opatrzonej, zarzucony był kartami białymi, ze skóry wygładzonej i jasnej, na niektórych z nich widać było poczęte malowania i złocenia. Obok stały małe skorupki różnej barwy, peźle i przyrządy do pisania. Kilka ksiąg dużych, które przepisywano, leżało także na stole. Młody Odon z uwielbieniem spoglądał na tę pracę, której piękności rycerze wcale ocenić nie mogli. Złocene rysunki, niektóre figury świętych wprowadzały ich w podziwienie, lecz zakrytem było znaczenie tych skarbów dla nieświadomych pisma wojaków.

Na ścianie biblioteki, gdyż tak się nazywała izba kopistów, wisiał obraz ojca zakonu św. Benedykta,

na złocionem tle, z księgą w ręku, wystawiającą regułę zakonną i oznaczoną wyrazami, od których się ona poczyną (Ausculat o fili). Odon wskazał im ten obraz i starał się go wytłumaczyć, a uśmiech jego twarzy i wesołość był najlepszym komentarzem do słów, które nad nim stały u góry:

Ipsa fundator placidue quietis.

(Sam to założyciel miłego spokoju).

Wszystko to mieściło się w głównym gmachu klasztornym, lecz otaczały go liczne zabudowania, które kleryk im z pewną chlubą chciał koniecznie pokazać wszystkie.

Tuż obok była szkoła klasztorna, gdzie klerykom wykładano nauki wyższe, między którymi już i matematyczne pisma Gerberta, jego Adacus i zabawna Rithomachia miejsce znalazły. Uczono pilnie muzyki, której wówczas wyższą daleko wagę nadawano niż dzisiaj, wprawiano się w komput kościelny, bo ten niezbędnym każdemu duchownemu był potrzebnym. Izba szkolna pustą stała o tej godzinie, ławy tylko i siedzenie nauczyciela, otoczone niemi, nadawały jej odrębny charakter.

Szkółka dla ubogich dzieci i sierot przychodzących, o które naówczas nie było łatwo, znajdowała się po za tyłem klasztornym. Żaczkowie bowiem przynosili z sobą wewnątrz klauzury zbyt wiele wrzawy, która nabożeństwu częstokroć zawadzała.

Opodal od głównej budowy widać było młyny, żarna, piekarnie, kuchnie, drewnie, wszystko w porządku największym i wszędzie czarne suknie mnisze, wesołe ich twarze, wszędzie uroczystą ciszę i ład dziwny.

Gdy tak, obszedłszy wszystko, nareszcie znaleźli się znowu Jaksowie w swej izbie sami z sobą, a brat Odon pożegnał ich wesoło, obiecując i nadal służyć za tłumacza i pomocnika, długo nie przemówili słowa do siebie.

Nie było na pozór nic tak bardzo dziwnego w tem

co im tu okazywano. Nieskończenie wspanialszy był dwór królewski, bogactwa widzieli w życiu i na wojnie stokroć więcej, a przecież to co tu oglądali, było dla nich nowem i zdumiewającym, jak gdyby świat jakiś nieznany odkryli.

Cała ta „rodzina“ wedle wyrazów Odon, złożona z ludzi obcych narodowości, różnych krajów i języków, tak doskonale jednym prawem miłości spójna, szczęśliwa, uśmiechnięta, spokojna, pracująca tak ochoczo około robót, które się Jaksom wydawały ledwie dla niewolników przeznaczone... cisza i ład pod tym dachem, tryb cały zakonnego żywota, wprawiał ich w niezmierny podziw i osłupienie.

Odon im też wytłumaczył, że się oni zwali „rycerzami Chrystusowymi“ (Milites Christi), nowe więc całe rycerstwo, którego nie znali dotąd, mieli przed sobą. Żaden z nich, choć często spotykali duchownych, nie widział dotąd klasztoru i nie znał życia jego.

Dla nich ono zdawało się karą okrutną i więzieniem nieznośnem, tu zaś spotykali ludzi co wedle wyrazów kleryka, nie tylko szli dobrowolnie, lecz gwałtem się wpraszały do rodziny i widomie w niej i z nią szczęśliwi byli. Dla wojaków Bolesławowskich, młodych a butnych, nawykłych do niepomiernej, dzikiej swobody, było to niepojętą zagadką. Żaden z nich drugiego nie śmiał zapytać o nią, badali się oczami.

— Ha!—odezwał się Jurga wreszcie, spojierając ku bratu—jeden Bóg widzieć to raczy, jak nam tu długo żyć przyjdzie... Ludzie jacys dobrzy i przyjacielscy... a no... życie?

— Tsy! lepsze niż w ciemnościach na poznańskim tumie—odparł starszy.—Tobieby się bo chciało... Sieciechównę zabrawszy w lasy gdzie ująć z nią, i siedzieć po staremu między kuflem a polowaniem i wesołemi druhami, albo na wyprawę ruszyć... Ale—nie rychło do tego przyjdzie...

— Cóż my tu z niemi robić będziemy? — spytał

Jurga. — Jeść, pić i spać?... — albo z tym młodzieniaszkiem gawędzić?... Modlić się i spać znowu... Za płot w las niewolno... do konia ani przystępu!...

— Przecie się nam opat jakiegoś języka uczyć kazał — przerwał Andruszka — a ja nie jestem przeciwnemu... to się i na wojnie przydać nieraz może...

Zadumali się oba.

— Jak ci się zda? długo to potrwać może? — spytał Jurga.

Zda mi się, że nie krótko — rzekł Andruszka — gdyby to niezbyt długo miało się ciągnąć, w Poznaniu nas przetrzymali...

— Ale juści w las chyba czasem na łowy nam będzie wolno... — dodał młodszy, któremu swoboda smakowała, i westchnął,

— Ja o to przeora nawet nie będę śmiał pytać...—rzekł Andruszka. — O półtoiej godziny od Krakowa, gdzie namiestnik królewski siedzi... a koło niego i ludzie się odedwora kręcą... nużby nas kto poznał?...

Smutna taka rozmowa pociągnęła się do wieczora. Z izby swej słuchali bracia, jak dzwoniono na modlitwy, słyszeli jak szli na nie i wracali zakonnicy. Wieczorem przyniesiono im znowu posiłek skromny, ale dostatni, taki jakiego używali mnisi sami, którzy mięsa czworonożnych zwierząt nigdy nie jedli, dwoma daniami się ograniczali, lecz mieli oprócz tego chleb, miarkę wina i owoce latem. Tu piwo i miód zastępowały kosztowny napój zachodni. Pochlebiali sobie wprawdzie benedyktyni, że klimat ostry zwyciężą i winnice zaprowadzić będą mogli, lecz szło to oporem i powoli.

Po wieczery Odon im życzył wypocząć za długą i nużącą podróż, i pożartowawszy z niemi wesoło, zostawił samych.

Nazajutrz tenże miły przewodnik oznajmił im mszę świętą i zaprowadził do kościołka na ranną,

zrozumiałwszy to, że się z obcemi spotykać nie mieli. Po nabożeństwie wezwał ich do przeora.

Miał czas o. Benedykt i w piśmie opata się rozczytać i rozmyśleć lepiej, jak z braćmi postąpić.

Mieszkanie jego, do którego weszli, obszerniejsze, bo w niem dostojnych częstokroć gości musiał przyjmować, ozdobniejsze od cel innych było tylko większą ilością godeł religijnych i świętości... Stół zajmowały pargaminy i księgi, które się rozsyłały kościołom, sprzedawały biskupom i nowo fundującym klasztorom. Tak samo obrazki i naczynia wyrabiane przez braci kunsztami zatrudnionych, szły na podarki i zamiany.

Opat przyjął ich z uprzejmością, ale powagą ojcowską.

— Dzieci moje — rzekł — widzieliście już wczora, że my tu wszyscy nie tylko usty, ale i rękami Boga chwalimy, robiąc każdy co kto umie i może. Wyście stanu i rzemiosła wojennego ludzie... Co wy tu poczynać będziecie?... W bezczynności żyć, sroga to kara, której bym wam chciał oszczędzić...

— Ojcie przewielebny — rzekł uśmiechając się Andruszka — my oprócz oszczepem i mieczem robić, a końmi toczyć, nie umiemy bo nie, a uczyć się i za-
starzy jesteśmy... i...

— No... i ochoty pewno, jako rycerze nie macie... — podchwycił przeor. — Na modlitwie, choćby ona zdrową dla duszy była, nie wytrwacie po dniach całych...

Patrzył na nich ciekawie, bracia stali z oczyma spuszczone.

— Języka się nam jakiegoś uczyć przykazał ks. opat, ojciec i dobroczyńca nasz — rzekł Jurga — bratu mojemu starszemu możeby to było za ciężko, jam gotów, bylebym kogo miał...

— Rzymskiej mowy potrzebaby wam, gdy pono do Rzymu iść za pokutę macie... — odezwał się przeor — Chcecie więc?

— Słuchać musimy rozkazu opata — dodał Jurga.

Nie szło o czytanie i pisanie, których laików naówczas prawie nie uczono, a rycerze nawet uważali je może za uwłaczające dla siebie, lecz o mowę samą. Do tej najlepszym nauczycielem wydał się kleryk Odon, którego już bracia na wstępie poznali i pokochali. Stało się więc na tem, ażeby on w pewnych godzinach rozmową ich nauczać próbował praktycznie, co część dnia zająć mogło.

Andruszcze chciało się bardzo wyjednać pozwolenie na łowy w lasach do opactwa należących, lecz tego dnia wspomnieć jeszcze nie śmiał przeorowi o gorącym żądaniu.

W istocie żał mu było brata, a Jurga potajemnie to samo żądanie i myśl miał, przy danej sposobności, rozrywkę tę wyjednać dla Andruszki. Odrazu w tak dobrych byli stosunkach z młodym klerykiem, iż oba się spodziewali z jego pomocą wyjednać zezwolenie.

Tymczasem zabawką było rozglądanie się w owem życiu klasztorzem i chodzenie około koni, które tak cudownie ciężką podróż wytrzymały. Z mnogich stad, jakie niegdyś mieli, dziś zostały im tylko te dwa niepoczesne, grube koniska, wzięte gdzieś z pod prostych pancerników i do których po odbytej podróży przywiązali się dziwnie. Cóż wart był wojak bez konia? Najgorszy nawet drogim się stawał, gdy był jedynym.

Pozbawieni koni, czuli się stokroć więcej niewolnikami. Lękali się tylko, aby w końcu ciężar, jaki niemi klasztorowi przyczynili, nie zmusił do pozbycia się ich. Andruszka nie śmiał o tem mówić Jurdze, ten też bał się zasmucić domysłem brata.

Kilka dni już upłynęło im w Tyńcu wśród ciszy i spokoju, gdy raz około południa gwar usłyszeli w podwórcach i Jurga wybiegłszy do przedsienia, najrzał przybywający orszak rycerski, całe pokaźny, przeciw któremu sam przeor wyszedł na powitanie. Nie mając czasu rozpatrywać się w nim, Jurga na-

tychmiast się cofnął przestraszony, oznajmując bratu, aby krokiem za próg nie ruszał.

W chwilę potem Odon wbiegł z oznajmieniem, iż namiestnik królewski przybył z rozkazaniami królewskiego dowiedzieć się, czyby zakonnicy co do żądania nie mieli.

Oba Jaksowie na dworze króla nie jeden raz starego Belinę, który teraz w zamku wawelskim siedział, widywali. Ulekli się więc mocno, dopytując, jaki poczet i ludzi miał z sobą, i czyby w klasztorze długo myślał zabawić?

Odon o wszystkim przyrzekł się dowiedzieć i oznajmić. Ponieważ poczet Beliny był dosyć znaczny, przyjmowano ich wszystkich razem w refektarzu, gdzie się i kleryk mógł łatwo wcisnąć i co było potrzeba dowiedzieć.

Nierychło jednak powrócił i nie było go, aż znowu w podwórzu zatętniały konie, a cała owa drużyna namiestnicza nazad do Krakowa wybierać się poczęła. Czekali nań bracia z niecierpliwością wielką.

— Nie mogłem odejść, miłościwi panowie—rzekł wróciwszy— musiałem też być trochę tłumaczem, bo Belina ciekawą historię opowiadał, a o. przeor zdawał się nią bardzo mocno zajęty. Pewnie ona i wam jest wiadomą... historia to dwóch nieszczęśliwych braci, dziwnie jakoś nazywających się, podobnie do greckiego bohatera Ajaksa. Ci bracia kupca na drodze złupili i zabili okrutnie, za co ich król na śmierć skazał. Mówią, że teraz sam wielce ich żałuje bo byli rycerze mężni, a że rodzinę mieli możną i liczną, która się od dworu usunęła, stratę król w tem poniósł znaczną...

Gdy to mówił, Jurga i Andruszka strwożeni oczy spuściwszy siedzieli, drżąc, aby Odon się w nich nie domyślił winowajców i serca do nich nie stracił. Chociaż liczba braci i czas mogły łatwo na domysł ten prowadzić Odon, nie zdało mu się wszakże, aby ci

dobrzy rycerze, do których się przywiązał, takimi mogli być zbrodniarzami.

Z szczebiotliwością młodzieńczą Odon opowiedział im usłyszaną z ust namiestnika historię, która już doszła była przez kogoś do Krakowa, o starym Tomku, co misą krwi króla miał w domu uraczyć, sam się z niego wyniosłszy i nie chcąc z nim być pod jednym dachem.

Jaksowie nie mogli się powstrzymać od gorącego wykrzyku i wzruszenia, które ich zdradzić mogło... lecz Odon znajdował to wrażenie naturalnem i wyszedł zaraz upewniwszy ich, że się już nie mają obawiać spotkania z nikim.

Po wyjściu kleryka Jurga i Andruszka poczęły się ścisnąć, pocieszeni nieco tem, iż rodzina, co ich odpychała wprzód, jednakże w ostatku do więzów krwi się poczuła i sprawę ich trzymała, choć już umarłymi sądząc.

Lecz, wdzięczni będąc Jaksom swym i powinowatym, oba doznawali uczucia, którego w nich trudno się było domyślać. Żalowali króla.

Bolesław miał tę miłość u swoich wojaków, z którymi odbywał wyprawy, a nieraz u jednego legiwał ogniska, miłość niemal bałwochwalczą, której nawet zbyt surowość zachwiać nie mogła. Andruszka mówił w więzieniu, iż w miejscu króla takżeby Jakse jednego na śmierć skazał. I on i Jurga nie mieli do swojego pana żalu, bo kochali go jak przedtem, a teraz dowiadując się, iż śmierć ich przyczyniła mu trosk i strat, gniewali się na siebie. Niewielu wodzów umie sobie tak jednać serca, a Bolesław należał właśnie do tych, co obchodząc się często surowo, zawsze sprawiedliwie, obudzali zapał w wojakach i kochać się kazali. Pamiętna była ta z Rusią potyczka u Buga, gdy czeladź polska flaki płóczęc w wodzie, na słowa się poważyła z przeciwnym obozem, gdy Bolesława łajac poczał jeden od słów ostatnich i on sam rzucił się w wodę gniewny, niepamiętny na niebezpieczeń-

stwo. Naówczas co żyło dopadło do koni, chwyciło co miało pod ręką i niespodziana walka, co się od rzucania flaków i obelg rozpoczęła, świetnem skończyła się zwycięstwem.

Jakowie litowali się w tej chwili więcej może nad królem, do którego jak do ojca byli przywiązani, niż nad własnym losem. Ledwieby byli za złe nie mieli powinowatym, iż go odstępowali, a gdyby w tej chwili zasłyszeli o niebezpieczeństwie grożącym Bolesławowi, ważyliby się pewnie, bodaj na śmierć, by go ratować.

Z temi uczuciami sprzecznymi, i wdzięczności dla rodziny i miłości dla króla, spędzili wieczór cały na rozmowie tak ożywionej, iż się nie spostrzegli, jak zadzwoniono na pierwszy śpiew w chórze. Była noc; zakonnicy spieszyli chwalić Boga na zaraniu... a im sen skleił powieki.

Następnego dnia odwiedził ich przeor, z którego twarzy domyślili się tylko, iż miał dla nich życzliwe usposobienie. Być mogło, iż wczorajsze opowiadania o znaczeniu rodziny podniosły ich w oczach jego.

Jurga śmielszy, skorzystał z tego dobrotliwego usposobienia o. Benedykta i wybiegł za odchodzącym w korytarz. Tu powtórnie ucałowawszy rękę jego, odezwał się pocichu:

— Al mój ojczel mam do was prośbę wielką. Bóg widzi, nie dla mnie... o brata mi więcej idzie... Myśmy tak do zamknięcia między czterema ścianami nie nawykli. Andruszka mi schnie, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili nam na łowy wybiedz...

Prośba ta była tak naturalna naówczas ze strony wojaków, iż się jej przeor nie mógł zadziwić. Widział on sam we Francji nie jednego opata nawet zagorzałym myśliwym. Uśmiechnął się więc łagodnie.

— Któżby wam tego bronil! — rzekł lecz sami zważcie, na co się wystawiacie. W Krakowie goście dużo rycerzy, co was znać i poznać mogą. Ci niemał codzień wyjeżdżają w lasy, i zapuszczają się nieraz

daleko... Jesteścież pewni, że unikniecie spotkania?... a jeśli się zetkniecie z takimi ludźmi, co was poznają... już nie dla siebie, ale innych narazić możecie...

— Al ojcie przeorze! — zawołał Jurga — myć to na własnem sumieniu mamy, a o naszą też skórę idzie... Lasy szerokie... miejsca dosyć... ucho mamy bystre, konie ręce, ani się napaść z nienacka, ani dognać nie damy...

— Cóż mam wam rzec? — odezwał się o. Benedykt — czyńcie jako chcecie, a patrzcie, byście w niebezpieczeństwie nie popadli...

Jurga jeszcze raz w rękę go pocałował i z twarzą uśmiechającą się do izby powrócił. Chwilę siedział naprzeciw brata u ognia.

— Hej, Andruszka — rzekł figlarnie — co to tu za lasy dokoła! mnisi w nich nie polują!... co tu zwierza być musi!...

— Lepiej o tem nie wspominać, kiedy nam tego kosztować nie wolno!... — odparł starszy smutnie.

— Hm... — zawołał Jurga — dlaczego nie ma być wolno?... Konie stoją, oszczepy i łuki mamy, zrana się w las możemy wymknąć, ani nas kto postrzeże...

— Nie kusilbyś mnie — odezwał się Andruszka — nie godzi się, przeorby się gniewał. Obiecaliśmy mu być posłusznymi...

W tem Jurga dłużej powstrzymać nie mogąc pokroczył doń.

— Przeor pozwolił!...

Zerwał się tak starszy, jak gdyby teje godziny chciał na koń sięść.

— Kłamiesz! — krzyknął — mów prawdę!

— Prawdę rzekł... — uderzając się w piersi ręką, odparł młodszy. — Przyznam ci się, prosiłem go. Wprawdzie dawał mi rady i przestrogi, ale drzwi nam nie zapiera...

— Jutro w las! jutro w las!... — klaszcząc w dłonie poczał wołać spragniony Andruszka. — Jabym się

go prosić był nie ważył. Tyś dobry brat... ale jeżeli... jeżeli co się stanie...

— Cóż się stać może?

— Nuż spotkamy kogo?

— Alboż nas może pochwycić z zniecka?—odparł Jurga.

Andruszka wahał się niepewny, a znać było po nim, że pokusie ulegnie; oczy mu błyskały, poszedł zaraz do kąta, gdzie broń złożoną mieli.

— W lasach zwierza dostatkiem być musi! — począł jakby upojony.—Jutro do dnia... na łowy! jutro dodnia...

I przez cały wieczór cieszyli się jak dzieci... drżały im ręce do oszczepów... W las! w las! — potarzał jeden to drugi.

I po pierwszej mszy pobiegli do stajni, a w chwilę potem już ich w klasztorze nie było.

V.

Ks. Petrek niespokojnie trochę czekał powrotu opata, król dziwnie jakoś lekceważąco przyjął jego doniesienie, lękał się więc, by ono skutków jakich kłopotliwych nie pociągnęło za sobą.

Kość była rzucona, musiał już teraz popierać innemi środkami rozpoczętą sprawę; nie chciał sam pozostać z nią, współpracownik mu było potrzeba. Naza-jutrz więc po widzeniu się z królem, które się milczeniem skończyło i nie zbliżyło go do niego, korzystając z wieczornego obchodu niewieściego dworu wcześniej niż zwykle wcisnął się do markgrafówny.

Znalazł ją zarumienioną mocno, niespokojną, na

cichej rozmowie ze starą niewiastą, która się wciskała wszędzie, nawet do króla, i niezrozumiałem jakimś na dworze trudniła się rzemiosłem. Zwano ją starą Panichą. Nosila ona na piersi ogromny krzyż cynowy, na znak widomy, że była ochrzczoneą, siadywała dużo w kruchcie kościelnej, gniewała się, gdy ją posądzano o czary, zamawiania i praktyki bałwochwalcze, jednak leczyła różnemi sobie tylko znanemi ziołami, przy których i szepty i żaęgnywania różne odprawiała. Ludzie się jej lękali. Bojąc się, aby ją nie prześladowano o czarnoksięztwo, Panicha duchownym okazywała cześć nadzwyczajną, tak, że na twarz padała przed niemi i kraj sukien ich całowała. W kościele jęczała i modliła się tak, aby ludzie słyszeli ją i widzieli. Mimo to wszystko, więcej się jej lękano, niż lubiono. Wcisnąć się umiała wszędzie, a czując, że obudzała pewną obawę, korzystała z tego wyludząc od każdego co tylko mogła. Młodsze jej życie mało znane było. Z dawien dawna wisiała przy dworze.

Niegdyś pewnie piękną być musiała, dziś stara już, z włosami siwemi, ale białemi jeszcze zębami i oczyma przenikającemi, postawę miała zręczną, chód rzeźki i zdala wydawać się mogła młodą, choć twarz jej całą marszczki porały.

Pokorna do zbytku, umiała być zuchwałą bez miary. We dworze nie było człowieka, któregoby życia tajemnic nie znała; wszystkich wad jego i słabości. Pomiędzy tumem a dworcem pańskim snuła się bezustannie... Niekiedy nikła na dni kilka i wracała niepostrzeżona.

Do jednej królowej Emnildy nie miała przystępu, odprawiano ją tu datkiem, ani jej słuchać, ani przypuszczać do siebie nie dozwalała świątobliwa pani. Zli ludzie utrzymywali, że mimo okazywanej pobożności, Panicha miała z poganami po lasach stosunki i gusła zniemi odprawiała.

Inni mówili, że stara czarownica między mło-

dziecią płci obojej na dworze była chętną pośredniczką. Chociaż wydawała się ubogą, chodziła odarto, byli i tacy co się przysięgali, że miała już niemały skarb zbierany i gdzieś zakopany na rozdrożu.

Panicha chadzała do ks. Petrka, lecz ten obawiał się czarów i posądzal ją o nie, wstręt miał do niej, mimo że mu się nie narzucała.

Gdy wszedł do komnaty markgrafówny, widocznie było, iż się żywa rozmowa przerwała. Oda stała cała zarumieniona, Panicha u progu, zawinięta w płachtę, ręką jeszcze coś wskazywać się zdawała, gdy ks. Petrek w progu się pokazał. Wnet stara ogarnęła się znowu, spuściła głowę i na widok księdza pośpiesznie ku niemu podbiegłszy, upadła przed nim na ziemię, ręką uchwyciła brzegi sukni, ucałowała, a potem obie dłonie ku niemu wzniosła. To uczyniwszy podobnie pożegnała Odę i oddaliła się śpiesznie.

Na twarzy ks. Petrka to spotkanie widocznie odbiło się chmurą, długo się też nie odezwał słowa. Oda miała palające oczy i twarz ożywioną, jakby jakąś nadzieją, z którą się nie śpieszyła zwierzyć pisarzowi.

— Co ona tu robi ta czarownica? — szepnął ksiądz — po wszystkich kątach jej pełno...

— A! mój ojczel! to biedna, uboga żebraczka, która się wysługuje jak może dla kawałka chleba... a pobożną jest bardzo...

— A szatan od niej zdala cuchnie! — odezwał się ks. Petrek. — Wiedzą ludzie, co ona umie... Komu ona nieprzyjaciółką, temu nic się nie wiedzie... zna się ona ze — złem...

— Ale nie! nie!... — przebaknęła Oda.

Ksiądz zamilkł.

— Dobrzeby było jednak, abyście jej unikali — dokończył pisarz.

To mówiąc przybliżył się ku pięknej markgrafównie, która niespokojnie rękami coś na stole składała.

— Ja tu do waszej miłości — rzekł, zniżając

głos — przychodzę w waszej sprawie... w sprawie tak ważnej...

Oda rzuciła co miała w rękę i spojrzała nań oczyma cheiwemi wieści.

— Nie ulega wątpliwości — mówił pisarz — że, nie wiem kto, ale najpewniej królowa z Sieciechem ocalała Jaksów, przeciwko woli króla!... Tak! okłamało pana, sprzeciwiano mu się... wykradziono ich... Siedzieli ukryci w tumie, parę dni temu gdzieś ich do innej kryjówki uprowadzono...

Oda słuchając ręce ścisnęła białe, a usta się jej uśmiechały złośliwie.

— Ja tego doszedłem — mówił dalej ks. Petrek — a wam to oddaję, abyście wy z tego korzystali... Król już się pono zdrady domysła... kogo posądza? nie wiem... Trzeba abyście wy, miłościwa pani, donieśli mu o tem, gdy można będzie potajemnie... Lecz nie wyjawiajcie zkąd to wiecie... Niech król zapyta tylko królowę, przysięgą... pobożna niewiasta fałszu nie powie... Naówczas...

— Naówczas... sądzicie? — spytała Oda — że na królowę gniew jego spadnie?...

Ksiądz spojrzał na nią bystro.

— Miłościwy pan nasz — rzekł — jest w sile wieku... bez niewiasty on żyć nie może. Jeżeli inną pod tę porę umiluje gorąco, będzie mu na rękę rozstać się z córką Dobromira...

Oda się zarumieniła mocno.

Nie była ona zbyt wstydliwą niewiastą, a współcześni historycy dają to poznać mocno, iż się nawet wydawać nią nie starała. Wiek też i obyczaj do otwartości większej upoważniał; w słowach nie kryto myśli, ale ją wypowiadano jawnie. Późniejsze wieki dopiero nauczyły się najsromotniejsze sprawy gładkiemi omawiać wyrazy.

Oda znać miała już pełną głowę i pierś swej przyszłości, którą na namiętności Bolesława oparła. Poczęła też mówić szybko.

— Król we mnie rozmiłowany... ja to wiem! Ale mnie mieć nie będzie, tylko gdy z nim obok się na tronie prawo mi da... Inaczej nie... nie... nie! Wiem, że dla mnie wszystkie mu zbrzydły!

Rozśmiała się.

— Królowa zna to dobrze, radaby mnie dawno do ojca odprowadzić. We dworze mnie czernią, jakoby jeszcze w domu miała kochanka... Co mi tam!... młoda i piękna jestem... niech mówią co chcą... król się o to nie pyta... Zechce mnie mieć, musi przed ołtarz prowadzić...

Ksiądz słuchał trochę oczy spuszczać.

— Wszystko to wiem... i wasza miłość wierzy też, że ja sługa wierny cesarza, życzę, aby się tak stało jak chcecie... A kto do tego dąży, trzeba by umiał drogi sobie znaleźć.

— Jakie drogi? Ja go oczyma trzymam na uwięzi, byle mi się nawinał... — poczęła Oda — królowa się krzywi, Ryksa głowę odwraca... nie dbam o to... śmieję mu się przy nich... Wczoraj, gdyśmy szły, zostałam ostatnia... umyślnie Bolesław stał z boku... pochyliłam mu się tak, że mnie pocałował. Nie widział nikt...

— To wszystko nie pomoże — szepnął ks. Petrek — póki królowa nie zostanie odprawiona do klasztoru... Jej tam lepiej będzie...

— A mnie na jej miejscu! — rozśmiała się Oda.

— Więc czynicie, pomagajcie sobie, aby to miejsce otrzymać! — począł nagle ks. Petrek. — Powiedźcie mu o Jaksach i o zdradzie królowej. Jeżeli to nie jej sprawa?... ale któżby się ważył na nią?... no... to się oczyści...

Ks. Petrek dodał jeszcze kilka słów i szybko się oddalił.

Nadchodziła godzina wieczerzy. Dnia tego na dworze ludzi było wielu.

Z dwunastu panów radnych Bolesława, połowa z nim przybyła z Gniezna, byli posłowie różni; był

z Danii goniec do króla i z Rusi dwu kneziów, którym Rad był, bo ich potrzebował.

We wszystkich izbach stoły pełno były obsadzone, czeladź z pochodniami stała u ścian, gwar panował wesoly we dworcu. Pomiędzy panem a gośćmi i czeladzią, związek był jakiś żywy, tak, że ilekroć król Bolesław milczącym był i pochmurzonym, odbijało się to w otoczeniu—gdy wiedziano, że rubaszne swe odzyskał usposobienie, śmiało się wszystko, Zyg chodził inaczej, pacholtkowie i komornicy żywiej się obracali. Wolne słowo, które się innego czasu nikomu z ust wyrwać nie śmiało, leciało aż do pańskich uszów...

Od powrotu z Giezna raźniejszym był Bolesław, wszyscy też za nim ochocze mieli twarze i po kątach gziła się czeladź i komornicy, a w podwórcach niebardzo też było cicho. Rozlegały się niekiedy śmiechy bujne, z dziką siłą, niemal strachem mogącą nabawić.

Mówiono, że historyi łaziebnej Mieszka z Bezprymem dowiedziawszy się król, gdy sądzono, że dla starszego syna okaże litość, a Mieszka zgromi, przeciwnie zdał się nią uradowany. Nie uwierzył jej zrazu, powtarzać ją sobie kazał różnym i mruczał.

— Mieszko miałby taką dumę i dzielność!... Zaprawdę, nie spodziewałem się po nim tego!...

I nie tylko że nie zganil królewicza, lecz serdecznom dlań być począł.

To mu przyczyniło dobrej myśli.

Zyg, który czytał w oczach, śmiało się teraz narażał z tłustemi i rubasznemi wybrykami swojemi. Nie marszczył się na nie pan wcale, witał je szerokim uśmiechem.

Być może, iż oczy Ody przyczyniały się też do ożywienia starego rycerza, który, jak ojciec, dla nie wiaści miał słabość do zgonu. Hamowała go pobożna królowa, przecie nigdy usatkwować się zupełnie nie mógł, a gorąca krew w nim grała do ostatka. Gdy

opat Aron z obowiązku go czasem do pomiarkowania tych chuci nakłaniał, Bolesław milkł, korzył się, a widać było, iż do serca tego nie brał. Każdy wybryk natychmiast sowitym darem dla kościoła opłaciwszy, zdało mu się, iż już się oczyścił z niego.

Początek wieczery poważniejszym był, siedziała u stołu królowa, opat Aron, dwu obcych duchownych, panowie radni, posłowie. O rycerskich sprawach, orężu i wojnie mówiono: który naród najdzielniejszy, jakie miecze najlepsze, jakie helmy najtwardsze i jak w polu się ścinać najrozumniej. Król i jego wojewodowie mówili przypominając własne dzieje, gdzie się im i jak broń wysłużyła najskuteczniej. Duńczyk swoich chwalił uzbrojenie, inni niemieckie, tamci włoskie, a byli tacy, co i węgierskie sławili.

Gdy tak rozprawiano, król, który rad pił i drugim nalewać kazał, wprędce się jeszcze bardziej rozochocił. Gdy duchowieństwo dla modlitwy odeszło od stołów, a królowa też ze starszemi się cofnęła, Bolesław młodszym niewiastom śpiewać i skakać kazał, dla oczów zabawy. Kubki chodziły gęste i śmiechy rozlegały się coraz głośniejsze, a białogłowy młodsze rade weselości, słuchały wyrazistych oświadczeń, których im nie szczędzono.

Gdy się już tak w izbie rozochocili wszyscy, królowa Emmilda i Ryksa też odeszła do swoich komnat.

Oda nie chciała widzieć, gdy inne szły, wmięszala się do tanecznie i przodowała im. A miło na nią było popatrzeć, gdy ciężki płaszcz rzuciwszy, w opiętej sukni popisywała się z kształtną swą i rozkwitłą bujno postacią.

Król też z oczów jej nie spuszczał, a ona choć się zdawała zajęta zabawą, ani się zbyt od niego oddalała, ani się dała drugim zasłonić. Stała ciągle na widoku.

Mieszko rozmawiał z duńczykami, radni rozprawiali z posłami. Bolesław się zabawiał. Trwało to

już długo, gdy ku markgrafównie skinął; podeszła do niego w skokach.

— Radują się wam oczy! — zawołał — cóż gdy tylko oczyma się wam radować można?

Oda ustami do góry podniesionemi coś mówiła niezrozumiałego. Po chwili rzuciła z niechcenia:

— Albo to wina moja?

— A czyjaż — spytał król.

— Oczów, co się radują same... i na tem im dosyć — odparła Oda.

Król się zadumał patrząc na nią.

— Mnie bo was żal — poczęła jakby korzystając ze zbliżenia się markgrafówna i z tego, że nikt się nie przysłuchiwał rozmowie—mnie bo was żal...

— Jeżeli żałujecie, to pomilujcie!..—rozśmiał się Bolesław rozochocony.

— Choćbym i miłowała... cóż z tego — poczęła Oda. — Ja wolna... wy niewolni...

Na to nie było odpowiedzi długo... popił Bolesław z kufła i wasy otarł. Spojrzał na nią bystro i wyzywająco, odpowiedziała mu takim samym wzrokiem.

— Mnie bo was żal...—powtórzyła znowu — was tu nikt może tak jak ja nie miłuje, tak jak ja żałuje... a zdradzają wszyscy!...

— Wszyscy?! — zapytał Bolesław śmiejąc się — wszyscy?... Ej!

— A tak wszyscy! — mówiła Oda.

Zmarszczył się król nieco.

— Wszyscy?...—spytał jeszcze raz.

— Wszyscy...—powtórzyła markgrafówna — jam śmiała... ja kłamać nie umiem... Co mi tam! mogę jutro do ojca powrócić. Dawnoby czas... by i o mężu pomyśleli dla mnie... Pogniewacie się na mnie... to odesłajcie...

Z ciekawością król słuchał.

Za cóż się ja mam gniewać?...—zapytał.

— Za to co powiem.

Tu zniżyła się do ucha królowi.

— Królowa nawet was zdradza! Tak!... Skazaliście Jaksów na śmierć... ona sprawiła, że żyją...

Spojrzenie surowe Bolesława nie zmieszalo ją.

— Ja wiem, że tak jest.

Sądziła Oda, iż twarz króla, która łatwo gniewem się okrywała purpurowym, zmieni się i nasroży, gotową była do wybuchu i pytań.

Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim w stół, co znaczyło, by go podczaszy napelnić, twarz mu się nie zasępiła, owszem, uśmiech po niej się przesunął.

— Al... ty niemiecka dziełatko! — rzekł — szpaczku ty, co tak szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi?... Wy we wszystko wierzycie?

Oda zarumieniona stała.

— Wierzę prawdzie... cały dwór o tem już prawi — zawołała.

— A kto wam mówił o tem?

Oda zacięła usta; sama nie wiedziała, na kogo to złoży i czem się wytłumaczy.

— Mnie... a niewiasty!.. Tylko o tem na dworze prawią... A kto miał uczynić? wiedzą wszyscy! Pobożna królowa... Myślicie — dodała — że ja, gdybym żoną była, uczyniłabym kiedy co przeciw pana woli? ani dla rodzzonego brata!!

Bolesław nie odpowiedział słowa.

Szpiegująca go oczyma markgrafówna zrozumieć już nie mogła, co myślał, ale mówić o królowej nie chciał widocznie.

Zwróciła się więc w inną stronę.

— Królowa... ja nie wiem... a drudzy Sieciecha winią... Córkę miał za Jakse zaswaną...

Białemi zębami roześmiał się król i ramionami ruszył.

— Co więcej?... praw, sroczko różowa! choćbyś nie do rzeczy paplała, zawsze cię słuchać miło. Hej!

młodość wionie od ciebie, jak na wiosnę od świeżych pączków brzeziny, gdy się rozwiną. Gdy przy mnie stoisz, zdaje mi się że i mnie inne lata wracają. Praw... co chcesz... a zbliż się do ucha... Wszystko ci wolno.

Uraziła się nieco Oda, choć słowa były pochlebne.

— Nie takam ja krótko widząca jak myśliciele miłościwy panie! — zawołała żywo.

— Krótko widząca, łatwo wierząca! — roześmiał się król. Wolno ci to, bo za to warkocz dziewiczy masz długi!

Co mi u niewiasty po rozumie, kiedy kraszy nie ma... U niej cały rozum w krasie, i póty rozumu co młodości,

Oda stała nadąsana.

— Praw, praw! — mówił Bolesław! — a no i to wiedz, że komu ja rzekłem, iż umrzeć ma, ten umarły i pogrzebiony... a ktoby mi go z ręki chciał wydrzeć, z nim też pójdzie tam, zkąd nie wracają... Moja wola i o tysiąc mil sięga... Rozumiesz to.

— Było to niegdyś, miłościwy panie... było — a dziś... tyś już ciężki tyś głuchy, gdy nie chcesz słyszeć... i ślepy, gdy ci widzieć nie miło!!

Skinęła ręką i żywo odskoczyła, jakby odejść chciała. Król rad był ją powstrzymać, pierzchnęła. Zdało się jej, że na ostatku trafiła mu w serce i strzała utkwiała...

A król siedział tak spokojny, jakby posłuchał piosenki i wnet się obrócił do tych, co o wojnie prawił, zagadując ich o zbroje i młoty.

Późno w noc ruszył się wreszcie Bolesław, i dwór cały z nim, choć po izbach jeszcze niektórzy zostali u dzbanów, rozgadani. Sieciech i komornicy prowadzili go do sypialni.

Zyg też szedł próbując czy mu się jeszcze raz roześmieszyć nie uda.

— Miłościwy panie—mówił—Sieciechowi staruszkowi dać było spocząć, a zamiast ochmistrza Margrafiankę dziś było ochmistrzynią mianować...

Król go ręką po głowie klapnął bez gniewu.

— Onaby pewnie bardzo nie była markotną — dodał Zyg.

Widząc uśmieszek na twarzy blazen dalej ciągnął.

— Tylko z ks. Aronem bieda... bo oni o wszystkim na dworze muszą wiedzieć, a mało co im do smaku...

— Milcz—nieponiui! groźno ofuknął król i silnie go uderzył.—Na księży nie śmiej rwać się z językiem... bo ci oberznąć każę.

Zyg skulił się wpół, syknął i wysunął rękę pocierając miejsce, w które został uderzony.

Prowadzący króla z pochodniami do sypialni, doszli do jej drzwi tylko; tu postawiono straż, a dwaj komornicy i Sieciech tylko towarzyszyli Bolesławowi do łóża, na który rozebrany, legł natychmiast.

Sieciech stary odchodzić miał, gdy go król znakiem, który zrozumiał, zatrzymał. Często bardzo dawał mu na dzień następny rozkazy, czekał więc na nie sługa, ale Bolesław nie odezwał się, aż wyszli służebni.

Ręką skinął, aby się doń Sieciech przybliżył.

— Słuchaj ty—stary—rzekł—co mi tu trutnie do uszu przynoszą, na królowę i na was, o tych nieszczęsnych Jaksach. Nie dość się niemi namęczył póki żyli, nie dość ich śmierć odżałował, jeszcze z grobu mnie prześladową. Kto tu zmyśla baśni, że królowa i wy, dla córki waszej, z pod moich rąk ich wyrwaliście i żywicie! Kto to mówić śmie, i powtarzać. Ja o tem dwakroć już słyszę, a nie radbym trzeci raz tej wieści!! Ogłoście mi po dworze, kto będzie śmiał się z tem nosić i mówić o tem... nie jak psu odszczekiwać mu każę pod ławą, ale jak psa go wyżenę lub ubić każę.

Sieciech słuchał zbladły i osłupiały; gdyby nie mrok w izbie oświeconej tylko ogniem komina, którego blask do łóża nie sięgał, Bolesław poznałby był na twarzy sługi przerażenie i niemal przyznanie się do winy. Starzec drżał — potrzebował zebrać myśli, nimby się zdobył na słowo.

Król mówić już przestał—czekał na odpowiedź, Sieciech stał oniemiały.

— Słyszycie i wy pewnie o tem?—dodał król — lub może wam w oczy nie śmiano tego rzec, boć was winią. Winia królowę. Bezcne języki jadowite, śmia na świętą porywać się niewiastę. Któż już na świecie bezpieczną będzie, gdy ta nie jest poszanowaną, co nikomu nigdy nie uczyniła zła a tyle robiła dobrego? Słyszycie wy o tem?

Sieciech coś mruczał tak niezrozumiałego, iż król pewnie nie dosłyszał słów jego, ale mu nie szło o odpowiedź...

Nie wytrąbiać tego... bo nie warto — dodał — ale powiedziec starszyźnie, kto mi to nosić będzie śmiał, tego ukarzę jak psa.

To rzekłszy król się kozuchem osłonił, był to znak odejścia. Sieciech posunął się ku drzwiom, niepewnym krokiem, pelen jeszcze niepokoju i trwogi. W pierwszej chwili wyszedłszy z komnaty, chciał natychmiast o radę biedz do opata, i z przestrogą do królowej — lecz północne koguty piałły, nie była pora.

Oprócz współbiesiadników króla we dworze spało wszystko.

Starzec, który się nigdy do żadnych knowań nie mięszał, widział przecie jasno co się tu działo, rozumiał więc dobrze, iż królowi donieść mogli tylko ci źli ludzie, co pobożną Emnildę zgubić pragnęli, a dla swych widoków, w jej miejscu, młodą Odę postawić. Nie śmiałby był badać króla od kogo to miał, iecz z rozmowy cichej z markgrafówną, na którą patrzyał z ubocea odgadywał, że ona to Bolesławowi przynieść musiała. Ona jedna.

Któż drugi? Kto był ten skryty nieprzyjaciel tego odgadnąć nie umiał.

Ze zwieszoną na piersi głową wysunął się Sieciech do mieszkania swego, nazajutrz zamierzając o tem uprzedzić opata naprzód, potem oznajmić królowej.

Sen go też prawie do brzasku nie wziął i gdy się dwór ruszać począł do dnia, wstał z łoża niespokojny. Opat Aron zwykle rano odprawiał w tumie mszę świętą, tak by później być na króla zawołanie.

Tu naprzód pośpieszył stary, swoje obowiązki dworskie powierzwszy zastępcy. Opat się modlił już w zakrystyi, gdy do niej wszedł Sieciech, na którego twarzy pomieszanie widać było. Sama jego przytomność tu niezwykła, już opatowi dawała do myślenia. Lękał się, aby coś królowi się nie przytrafiło.

Wyszli wnet razem nie do izby, bo się ścian lękał stary, lecz w podwórze katedry. W krótkich słowach opowiedział Sieciech powód przybycia.

Opat Aron ręce załamał — lecz gdy doszedł do końca powieści, uspokoił się znacznie...

— Król dzięki Bogu — rzekł — żadnej do tego nie przykładaj wiary... lecz — kto i jak odkrył tak pilno strzeżoną tajemnicę? kto ją zdradził złośliwie?

O tem próżno myśleli oba, odgadnąć było trudno... Opat wrócił wnet do księży przy tumie, a ochmistrza nazad odprawił, by wcześniej i oględnie królowę ostrzegł. Tu nie potrzepował śledzić długo, by dojść, że biedny stary stróż dał się na słowo jakiego wyciągnąć ks. Petrkowi.

W ten sposób wszystko się tłumaczyło. Ks. protonotaryusz pochlebiał sobie od dawna, iż umiał się wkraść w łaski i posiadał zupełnie zaufanie opata.

Nie znał jednak — opata Arona, którego kroniści Niemcy zowią: „z sukni duchownym, z natury li sem;“ był on nierównie przebieglejszym, niżeli się wydawał. W obejściu się pełen prostoty, na pozór otwarty... ostrożnym był i baczny.

Wiedział dobrze, iż cesarscy przyjaciele, niemieckie duchowieństwo, które sobie do zwierzchnictwa nad kościołem polskim prawo rościło, mieć będą na dworze Bolesława swych ludzi i donosicieli; znał stosunki ks. Petrka z Dziewinem, i dla tego trzymał się go, iż przezeń dowiadywał się Henryk cesarz i arcybiskup o tem tylko, co opatowi dogodnie było im dać wiedzieć. Zdrada protonotaryusza nie była dlań tajemnicą, używał jej jako narzędzia — nie dając poznać po sobie, iż świadomym jest wszystkiego.

Tak samo jak cesarz na dworze Bolesława miał swe usługi, Bolesław sownie opłacanych ludzi trzymał w Dziewinie i gdziekolwiek cesarz przebywał... Miał ich w Rzymie, a gdy ostatni raz papież Benedykt zjeżdżał do Niemiec, skorzystano z tego, by w jego otoczeniu zjednać sobie przyjaciół.

Chytry ks. Petrek wcale nie posądział opata o grę tak mądrą...

Z tumu wprost ks. Aron poszedł do protonotaryusza. Znalazł go na modlitwie. Wiedzieliśmy, że był człowiek, mimo swej zdrady, pobożny, bo nawet gorliwość religijną pobudką dlań do niej była...

— Mój ojczel! — odezwał się wchodząc — gdy tamten modlitwę dokończył. Możecie mi oddać usługę wielką.

Zaniepokojono króla plotką nie do wiary o jakimś ocaleniu i wykradzeniu Jaksów, król jest w wielkim gniewie na tych, co to wymyślili. Kazał Sieciechowi ogłosić we dworze, że jak psa ukarze, kto będzie śmiał powtarzać tę baśń.

Nie słyszeliście wy o tem? nie wiecie kto może być jej sprawcą?

Ks. Petrek udał wybornie zadziwionego, przejętego i począł dopytywać, czy uchowaj Boże, nie zaszkodziło to „świętej pani“ lub „czcigodnemu Sieciechowi?“

Uspokoił go opat odpowiedzią, że złośliwa baśń na to była stworzoną zapewne, aby pomiędzy królem

a królową zasiał nieufność i obudzić niechęć, lecz wielki rozum i serce pańskie odgadło cel, i sprawca tylko mógł uciepć na tem.

Ks. Petrek stał widocznie pomięszany, starając się niepokój ten pokryć troskliwością o świętą panią i czcigodnego starca. Nie wiedział co począć, bo się lękał, aby król na zapytanie Arona, nie wyjawiał mu, że od niego to słyszał. Przyznać się nie chciał i nie widział sposobu, którego właśnie szukał w głowie, aby z siebie winę kłamstwa i zatajenia zrzucić.

Nie pozostawało mu nic innego, jak fałszem no-
wym—obałamucić opata, w którego zaufanie dla sie-
bie miał wiarę. Po chwili milczenia i namysłu, skło-
nił głowę i boleściwie ręce rozkładając — odezwał się
cicho.

— Muszę się przyznać, że mnie o tem już wieści
doszły, iż królowi coś podobnego doniesiono. Ogar-
nęła mnie trwoga wielka, a że waszej przewielebności
nie było naówczas, próbowałem sam umysł króla od-
wrócić od podejrzeń. Mówiłem z nim o tem.

— Jakże przyjął?—zapytał chłodno opat.

— Z oburzeniem—zawołał ks. Petrek.

Milczenie krótkie przerwało rozmowę, protonota-
ryuszowi brakło wyrazów, męszął się widocznie, był
nie swój. Przebiegły opat zdawał się tego nie wie-
dzieć i nierozumieć.

— Jak sądzicie? — zapytał — kto mógł być
sprawcą?

— Cóż ja o tem sądzić mogę!—z pokorą wielką
począł pisarz—ja, który tu siedzę zamknięty, do ni-
czego się nie męszając, czas pędząc na modlitwie
i pracy? Obcy jestem temu, co się tu dzieje — przy-
padkiem chyba wieść mnie jaka dolecić może.. Wa-
sza przewielebność znacie lepiej ludzi i sprawy, które
jakby siecią opasują miłościwego pana naszego!! Wszę-
dzie złych pełno.

Podniósł oczy ku niebu i zamilkł.

Opat patrzył nań z rodzajem chłodnej ciekawości,

po twarzy przebiegały jakby strumienie jakieś wstrzą-
sające jej rysami, hamował się jednak — Petrek był
mu potrzebny.

Protonotaryusz miał czas ochłonać i uspokoić
się nieco.

— Mówmy więc o czem innem—siadając w krze-
sło u stołu—począł opat zwolna.

Nie tajno to wam, miły bracie, że król korony
od ojca świętego pragnął, jako potwierdzenie tytułu
i wieńca, który od świętego przyjaciela swojego cesa-
rza Ottona otrzymał. Życzył sobie pan miłościwy
wprost się udać do ojca świętego, aleśmy go przeko-
nać zdołali, iż cesarza ominąć i bez jego woli nie się
uczynić nie da. Drogi mamy do stolicy apostolskiej
zamknięte. Cesarz wszechwładny jest od granic na-
szych począwszy do Rzymu, ani posłyby nie doszły
do niego, ani powrócić do nas mogły z koroną...

Petrkowi oczy pobłyskiwały — głową potwierdzał
w milczeniu. Nie spodziewał się takiego zwrotu i choć
nie okazywał zdziwienia, w duszy wielce był zdumio-
nym! Mówił sobie słuchając.

— Zaprawdę, jeżeli pozwolenia cesarskiego cze-
kać będziecie—poczekacie na nie długo!

Opat zwolna ciągnął dalej.

— Cesarz właśnie na przyszłe święta wielkano-
cne do Niemiec ma zjechać, potrzebujemy męża rozu-
mnego, życzliwego, sprzyjającego królowi i jego spra-
wie, któryby na dwór arcybiskupi z tem jechał, i spra-
wę o koronę opiece jego powierzył...

Padło oko królewskie i moje na was, mój ojciec...

Ks. Petrek spojrział i drgnął.

Chlubno mu było zostać posłańcem króla, dogo-
dnie mu się zdawało w ten sposób zapobiedz aby Bo-
lesław upragnionej nie otrzymał korony; lecz zarazem
niepokój go przejmował, kto tu w jego miejscu stanie
na straży?

Pochylił nisko głowę z dziękczynieniem pokornem.

— Miłościwie nadto dla mizernego sługi wasze-

go—odezwał się słowa cedząc powoli—ani śmiałem po-
chlebiać sobie, bym dostojenstwa był godzien i podał
wielkiemu celowi. Słabe ramiona, wątłe siły moje!

— Król was wysłać pragnie! — dodał opat —
nie możecie się woli jego opierać. Dano wam będzie
na podróż co potrzeba, byście godnie przedstawiali
u dworu wielkiego króla naszego... Wezwijcie w po-
moc Ducha świętego, i sposobcie się do drogi.

To mówiąc i wymówek nie słuchając wstał opat,
ks. Petrek milczał rad i zafrasowany razem. Odpro-
wadził go do drzwi, nie pewien jeszcze, czy go spo-
tkało szczęście, czy się gotowało niebezpieczeństwo.

— Lecz—odezwał się nieśmiało, do odchodzącego
już — któż mnie tu wam zastąpi, jeśli pismo jakie
sporządzać przyszło?

— O tej potrzebie wątpię—rzekł opat—w pil-
nym razie, ojciec Paweł wezwanym być może z Trze-
meszna.

Opat szedł już dalej, gdy protonotaryusz o drzwiach
otwartych zapomniawszy, stał w nich jeszcze rozmy-
ślając nad sobą. Zwolna potem przymknął te wraca-
jąc do izdebki. Stał u ognia zapatrzonej w żar
czerwony.

— Miałebym opat być tak przebiegłym, by mnie
chciał zwieść i okłamać?—rzekł w duchu.— On? mnie!
miałebym posądzać! chcieć się pozbyć!

Uśmiech mu skrzywił usta.

— Nie — nie może to być — odrzucić nie mogę
poselstwa, będzie ono i mnie służyło...

Dumał długo chytry zwolennik cesarski, lecz wi-
dział, iż musiał być posłusznym. Żał mu tylko było
w chwili, jak mu się zdało, stanowczej i ważnej, dwór
opuszczać; trapiło go, iż cichą swą robotę podziemną
na czas porzucić będzie musiał...

Opat śpieszył już do króla, aby go schwycić
wprzód nim wrzawa dworska otoczy.

Bolesław zobaczywszy ulubieńca swojego, pośpie-
szył go powitać pocałowaniem ręki... a na widok

jego starszyna, którą był przywołał dla narady, na-
tychmiast pierzchnęła. Zostali sami.

— Miłościwy panie—szepnął opat—ks. Petrka się
nam pozbyć ze dworu potrzeba, inaczej to co przed-
siębierzemy dla otrzymania korony z Rzymu, nigdyby
się nam nie powiodło. Ze swej celi ma on oko i ucho
wyteżone na wszystko...

Dałem mu wiedzieć, że się już wcale u papieża,
omijając cesarza Henryka starać się o nią nie myślę.
To ich uspokoi. Wyprawiam pronotaryusza do
cesarza... choć wiemy dobrze, iż nam odmówną odpo-
wiedź przyniesie. To nam da czas dróg innych pro-
bować. Zbyć się go ztąd na teraz jest nieuchronnem.
Oznajmiłem mu już o podróży...

Król się uśmiechnął.

— Czyńcie jako się wam zda najlepiej—rzekł—
jam przy was, gdy o mądre chodzi sprawy — prostac-
zkiem, Petrek nam przydatny—ale z nim igramy ja-
ko z ogniem... który i strawę zgotować pomoże i strze-
chę zażędz.

— A najlepiejby może było, napisać na dwór
cesarski, do tych co nam sprzyjają—dodał opat—aby
naszego posła tak gościnnie przyjmowano — by się
rychło oddalić i wracać do nas nie mógł.

Opat głową potrząsnął znacząco.

— Dla niepoznaki—rzekł w końcu — miłość wa-
sza odprawi go obdarowanym i z pilnem zachęceniem
do wiernej usługi, z obietnicą nagrody.

Bolesław, który oczy miał z poszanowaniem
wlepione w mówiącego, był przy nim niemal pokor-
nym i posłusznym. W tych sprawach czuł najlepiej
wyższość jego.

Uczynię jak mi powiecie—rzekł—lecz któż nam
listy do Rzymu ułoży? kto powiezie?

Z Trzemeszna i Tyńca sprowadzimy wiernych
ludzi—mówił opat—a ci tajemnicy nie zdradzą. Nie
jedną lecz trzy różnemi drogami wyślemy poselstwa
do Rzymu, a daj Boże aby chociaż z nich jedno do-

stało się do apostolskich progów, i do nas wróciło. Wiedzą cesarscy dobrze, iż się o koronę staramy, nie złudzi ich to, iż się do Henryka udamy o nią! Na wszystkich gościach czatować będą, podróżnych chwycić i listów szukać, na wszystkich drogach zabiegać.

Westchnął opat Aron.

— Kogoż wyślecie?—zapytał król.

— Dobiérzemy duchownych, dodamy im dzielnych rycerzy ku obronie—mówił opat.

— Stoigniew stary do jednego z poselstw zadany—przerwał Bolesław.

Znajdziemy i innych — dodał zamyślony opat Aron. — Zostaw mi to miłościwy panie... rozmyślać i modlić się będę, ani chcę byście wiedzieli co i jak uczynię — bym niepokoju nie przymnażał... Biorę to na barki moje, a Bóg miłościwy wesprze zechce służyć swojego.

Radosnem, błyszczącym okiem spójrzył Bolesław na Arona.

— Ojciec mój—zawołał—nie dla tej już siwiejącej głowy korony mi potrzeba... dopóki ona oczu nie zamknie, królem będę i bez niej—trzeba mi jej abym nią pokrył kraj od Dunaju do Bałtyku i rozpaść mu się nie dał, trzeba mi jej, aby na skroń Mieszka przyniosła błogosławieństwo i duchem ją bożym oświeciła. Nie dla siebie jej pragnę... Ten sam ojciec nasz rzymski, co wchodzącemu do Rzymu cesarzowi złotą kulę ziemską na znak panowania dał w ręce, i błogosławił zwycięztwom nad Saracenami, niech mi koronę pobłogosławi, ażeby dzieło ojca i moje w niwecz się nie rozsypało. Nie sobie ale synowi łaski jego pragnę... a potem—umrę spokojny.

Opat Aron ręką krzyż zakreślił w powietrzu, i król wiodąc go wyszedł do stołów, przy których nań goście i dwór oczekiwali.

VI.

Ranek był jakby dla łowów wybrany, i pod szczęśliwą wróżbą, wyjechali za klasztorne wrota Jaksowie.

Świat im się śmiał cały! Zdawało dawne powracać życie w Jaksowych borach, za owych dobrych czasów, co się tak źle skończyły!... Twarze ich jaśniały na przemiany to radością, to znowu wolnem borów oddychali powietrzem, to smutkiem oblekały gdy przypomnieli, że dawniej mieli poczet liczny przy sobie, że im własne psy radośnie naszczekiwały, a łowiecka gromada śpiewała dawne pieśni myśliwskie!

Już ni tej zgrai głosu—ni tych ludzi śpiewu nigdy słyszeć nie mieli i tych domowych progów oglądać, za którymi dusznie tęsknili. Lecz po cóż boleć za tem co się wymodlić nie mogło? Uśmiechali się spoglądając na lasy.

Stały one w pogodnego dnia blasku: okryte szronem lśniącym: ciche, majestatyczne, tajemnicze wabiąc ku sobie.

Ranek zimowy był cudny. Niedawno trochę śniegu przypadło—potem mokry śnieżek w wilgotną mgłę się zamienił, która do drzew i traw przyrosła mrozem... Każda gałązka, każde zdziebelko małe przystroili się w białą, połyskującą szatę, i w niej to nawet, co dla oka pospolitych dni niewidzialnem było, stało się widocznem. Las zdawał się gęstszy, gałęzie obfitsze, a na ziemi co pozostawiła jesień, odżyło w bieliznie zimowej, jakby wskrzeszone do nowego pośmiertnego żywota.

Stały puszcze ciche, otwierające swe głębie — a nigdy może obu Jaksom nie wydały się tak cudownie pięknymi jak teraz. Konie ich teraz wypoczęte, rade swobodzie prychały i szły lekko a rażno...

Rozglądali się po okolicy dobrze, aby napowrót znaleźć drogę.

Własnymi też śladami mogli nazad dostać się do klasztoru...

W okolicy niespłoszonego zwierza obiecywało się dosyć—lecz na drobnego się nie myśleli porywać.

Czuć było las stary jeleniami, kozami, może niedźwiedziem i dzikiem. Andruszka i Jurga, jadąc spoglądali czy gdzie nie dojrzą tropu... Lecz lisie i zajęcze obojętne im były. Spieszyli głębiej się w bór zapuścić, jakby powracali do domu. Czuli się w nim swojsko, wszystko choć w okolicy nieznanej, zdało się im znajomem, przeczuwali niemal doliny, zakręty i gąszcze, które mieli spotykać.

Jechali cicho, czasem spoglądając na siebie i mówiąc oczyma.

— Jak nam tu dobrze!

— W klasztorze—odezwał się Andruszka—ludzie mili i gościna uprzejma—niech im Bóg za schronienie płaci... lecz zawsze to więzienie.

— A ludzie ci w niem po dobrej woli żyją i Odon powiada, żeby swej celi za królewskie nie zamienił pałace.

— Święci są—dodał Andruszka—a no świętych trzeba, żeby wytrzymać z niemi.

Straszne życie! każdego dnia wraca jednakowe... zawsze też same...

Usnąć z niemi można...

— A oni weseli są i z twarzy ich widać, że szczęśliwi—rzekł Jurga.

— Inni to jacyś ludzie—odparł starszy—chyba w sobie wojaczęj krwi nie mają.

Gdy tak mówili rozpatrując się po lesie, Jurga syknął wskazując tropy świeże. Poznał w nich pisanie dzika, który powlekał leniwymi nogami i śnieg pokreślił za sobą.

— Oni czytają z karty—rzekł Andruszka śmiejąc się—a my lepiej za to od nich po ziemi...

Jakbym dzika widział i miarębym jego dać gotów.

— Świeży ślad!—zawołał Jurga!—dotrzyjmy.

Ruszyli śpieszniej, rozstępując się nieco, tak aby odyńca tropy w pośrodek wziąć między siebie...

W kilku miejscach wałęsający się wieprz próbował ryc, ale zmarzłej ziemi nie naruszywszy, porzucił.

Oba Jaksowie zapomniawszy już o wszystkim, z oczyma wlepionymi w ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli... Zdawało się, jak kłodę ciężką, przysiadłego ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, z bielejącymi kłami, z ryjem olbrzymim. Ten się nierychło, zobaczywszy ich, ruszył szparko, ryknąwszy krótko, i począł uchodzić...

Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą. Wpadł na zaspę śniegową, w której się ukrył prawie do grzbietu i wyskoczył z niej na kłodę, przy której śnieg się nagromadził. Za tą chrust był i gąszcz powikłana, a z tej mu się dobyć znowu przychodziło z trudnością—gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie.

Uwiązał ci on w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał ciosu, Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjuszony zwierzę, koniowi jego nogi przednie kłami podcięło.

Koń i jeździec padli razem tuż obok wieprza, który paszczką krwawą bronił się wściekle... Przytomności swej winien Jurga, że w tej chwili miecza dobywszy, uskoczył i z boku nim tak zręcznie uderzył iż dzik, krwią żygnawszy, padł dogorywając...

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał nogi rozcięte, a jedna z nich na skórze się tylko trzymała. Biedne zwierze tarzało się, pasując z bólem i śmiercią. Jaksowie stali przerażeni wypadkiem... Konia Jurdze żal było niemal jak przyjaciela, ręce zalał nad nim.

Wiedział, że go ocalić nie potrafi i oszczędzając mu boleści, gardło poderznął, przez litość—Andruszka zsiadł ze swojego, który się zachął i rwał.

Stali niemi nad swą nieszczęśliwą zwierzyną, niewiedząc sami co z nią poczną i z sobą.

Wprawdzie oddalenie od klasztoru nie było tak wielkie, ażeby się do niego pieszo nie można było dostać—lecz odynca nie mogli myśleć zabrać z sobą. Końby go nie udźwignął, a im obu zaciągnąć byłoby ciężko. W klasztorze też chyba dla obcych mógł się na co przydać odyniec, bo tu mięsa czworonogich nie jadano.

Strata konia bolała obu okrutnie, Jurga czuł się winnym, i wyrzucał ją sobie: Zajęli się tak mocno doznaną stratą i rozmyślaniem co dalej robić mają — bo do klasztoru chyba powracać trzeba było natychmiast, a dzień im przeszedł cały—że ani słyszeli, ani spostrzegli, gdy tuż ku nim nadbiegł konno jeździec i stanął... Nie widzieli go jeszcze, ale dwa psy bure już się im pod nogi do zwierza rzuciły.

Z nich się dopiero domyśliwszy, iż ktoś zbliżył się mógł i pochwycić ich tu z nienacka, podnieśli oczy strwożone... Andruszka uchodzić chciał, ale brata zostawić nie mógł.

Jeździec, którego koń sapał i bokami robił był im szczęściem nieznanym; człek już nie młody, odziany dziwnie, wyglądał dziko i stanu jego odgadnąć było trudno.

Konia miał pod sobą mierzyna grubego, okrytego zimową siercią grubą i najeżoną. Ponad nimi widać było zagarbioną nieco silną budowę człowieka, okrytego kożuchem niedźwiedzim włosem na wierzch włożonym. Na głowie czapka ze lba meszki, z białymi kłami, nadawała mu straszne oblicze, z pod niej długie pasma włosów na pół siwych i brodę na dwoje rozdzieloną, rozczochraną, policzki żółte i oczy czarne widać było... Ubrojenie miał staroświeckie, ciężki topór, mieczyk mały, dzidę w ręku. Zgarbiony trzy-

mał się na mierzynie i mileząc, spoglądał na dwu braci i leżącego konia i dzika. Z pod wąsów można się było domyśleć uśmiechu szyderskiego, z mową wcale nie śpieszył. Stał jakby był w domu i jakby czekał by go ci obcy pierwsi zagadnęli. Oni też najmniejszej do tego nie mieli ochoty.

Wreszcie, nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co ich uderzyło obu, stary zawołał:

— Droga zwierzyna! Zkąd wy?

Andruszcze się nie bardzo odpowiadać chciało, ale był rad zbyć go.

— Byliśmy w gościnie u ojców na Tyńcu, pozwolili nam zapolować, a no łowy nie samowite...

Zmierzył oczyma nieznajomy, obu, wspomnienie o ojcach i Tyńcu nie zdawało mu się do smaku.

— Pewnie królewscy jesteście, odedworu? — zapytał.

— Jesteśmy wojacy — nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynąć?—zapytał.

— Wracać, jeden pieszo, drugi z koniem — rzekł Jurga.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeśli chcecie — odezwał się Andruszka—nam się on na nic nie zdał.

— Naprawdę?—spytał stary—wieprz co się zowie zdrów i wypaśł się bodaj u mnie, rad mu będę.

Ale ja darmo podarków, nie biorę, niedaleko zjadł moja dziura... spoczniecie u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni sycić nie umieją, te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba—odezwał się Andruszka niespokojnie.

— Wróćcie wczas, drogę wam pokażę — mówił stary—gościłą ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy dodał:

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie niegdy cały ten kraj do koła trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nie ma, król jeden wszystko... Nowa wiara, pany nowe, jam starych lat człowiek i żebrak...

Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano... zabiorą tu oni dokoła co zechcą. Któż tu panem jeśli nie oni. Król ich pierwszy sługa. Zdumiony Jurga wtrącił.

— Nie jesteście chyba chrześcianinem?

— Albo ja się ciebie pytam — odparł dumnie stary — z jakim ty trzymasz Bogiem?

Zamilkł nieco.

— Chcecie do Starżowej skały — rzekł po chwili — dobrze... nie... to niech dzik gnije, a wy bywajcie zdrowi... ale... po staremu... gościna się gardzić nie godzi.

Spojrzeni po sobie bracia. Niebezpieczeństwo im u tego człowieka, co się dziczył na króla i na nowe sprawy, nie groziło żadne... ciekawość brała. Skinęli ku sobie. Andruszka dziękując głową skłonił. Stary małego prostego różka dobył z za odzieży i dwa razy krótko się odezwał.

Stali czekając, gdy dwóch ludzi z gąszczy nadbiegło z oszczepami. Głowy mieli postrzyżone, choć odrosłe i widać w nich było albo niewolników lub parobięta. Powrozy mieli na plecach, oszczepy w ręku, odkryte włosy bez czapek. Stary im pokazał dziką ręką, a sam nie mówiąc nic ruszył. Jurga na konia brata skoczył z tyłu, siedzenie swe zabrawszy na plecy.

Nie mówiąc słowa prowadził ich z sobą stary Domosul Starża. Nie słyszeli o nim w klasztorze dotąd, ale człek był z buty, uporu i dzikości znany. Przez nie on włosi potracił, a nie chcąc się ochrzcić zupełnie od ludzi odłączył. Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, ziemie sobie dał pozabierać i przez litość tylko do żywota go zostawiono

na starym gródku, nie broniąc mu łowów, i na jego sprawy patrząc przez szpary. Szanowano w nim krew starą władków na tej ziemi dawnych, dawano mu dożywać w tem, co on swoją dziurą nazywał.

Lasem jadąc poczęli się spinać na górę, u której wierzchu widać było okop stary i tyny mocne. Wrota z bierwion ogromnych same wyglądały jak ściana jakiegoś gmachu. Z po za nich i wału nie widać nie było. Gdy u nich stanęli, dzida uderzył trzykroć Domosul i szeroka furta się otworzyła, za którą wązki most na wysokich stał palach. Za nim w podwórzu jak nędzne szopy z chrustu i ladajakie klecie widać było, że litość brała nad tym, co w nich mieszkać musiał. W pośrodku trochę pokątniejszy dworek z przedsieniem na słupkach zdawał się być Domosulowym.

Tu też on stanął, a wnet postrzyżone parobki podobne tym, których w lesie widzieli, przybiegły konie zabrać do szopy.

Nie nie mówiąc Domosul wszedł do dworu, pełnego niewiast ubogo w szare płótno poprzybieranych.

Była to służba pańska, gdyż rodziny nie miał. W izbie, do której wprowadził, panował taki nieład, dym, walało się tak śmiecie po kątach, iż w niej nawet posadzić gdzie nie było gości. Przeprowadziwszy przez nią gospodarz, nie mówiąc nic, przodował dalej przez komorę najlepszą, z której poczęli iść jakimś podsieniem na słupach podpartem, a to się w przeciwną góry stronę zniżało i schodziło, gdzie? dostrzedz nie mogli.

Otworzył drzwi Domosul i spojrzawszy na Jaksów, rzekł:

— Idźcie za mną do starej jamy dojdziemy... zobaczycie starą jamę, kędy lwy spoczywały...

Odwrocił się i wiodąc ich dalej za sobą. Z podniesienia zstępował jakby do lochu w górę wykutego w którego ścianie z jednej strony porobione były otwory, przepuszczające światło.

Zachodzili ciągle w dół, Domosul drugie drzwi popchnął i znaleźli się w izbie na pół w skale, pół w twardej ziemi czysto i pięknie wykutej. Gdzieś wysoko rosnące drzewa korzeniami poprzeczały aż do podziemia i sploty ich zawierały się u sklepienia, jakby umyślnie dla ozdoby poczepiane. Z okopienia ścian i wytarcia znać było, że nie od dziś tu ludzie mieszkali. Z izby wielkiej, w której też kilka otworów światło dawało, drzwi w ziemi wiodły do innych znać mieszkań i kryjówek podziemnych. Po nad nimi w wyłobieniach, z niemałym zdziwieniem ujrzeni, Jaksowie stojące nieforemne bałwanki z drzewa, z ponasadanymi w oczach, u pasów i na głowach kamykami.

Przy jednej ze ścian kamieniami obłożone było ognisko, na którym olbrzymie dwie suche gorzały kłody, a dym wymykał się otworem, który ponad grzbiet góry wychodził. Wszystko tu było osobliwe i dziwne, jak gospodarz tego domu. Mnóstwo skór uścielało ziemię, do ścian poprzybijane były rogi jelenie, kozłów i łosiów, na nich wisiały odzieże, futra, opony stare, broń odwieczna. Stół dębowy w pośrodku siedział na pniach wkopanych w ziemię. Zamiast ław były kute siedzenia dokoła, kozuchami pookrywane.

Domosul wprowadziwszy ich tu, słowa nie mówiąc, zwrócony ku nim, rękami obiema powitał.

— Dziwujecie się może! — odezwał się spoglądając na nich — a no mi się stare dworzysko spaliło, więcem wciągnął do jamy, kędy praszczury nasze siedziały. I dobrze mi tu... ciepło i cicho...

W istocie mimo mrozu na dworze w podziemiu czuć było aż do zbytku ogień, który je ogrzewał. Otwory pozatykane były błonami sosnowymi, cienkimi tak, że żółtawe światelko przez nie wchodziło. Zaraz za gospodarzem wbiegło pacholąt dwoje, bosych, w kozuszkach, a tym kazano, aby wnet jedzenie było.

Siedli rozpatrując się Jaksowie, Domosul przy-

padł też napół na skórach. Oreż, który wisiał na ścianach, mógł ciekawość obudzić, bo podobnego już za Bolesława nie oglądano. Były tam jeszcze miedziane miecze z rękojeściami małymi i tarcze stare, porąbane w bitwach zapomnianych; kolce wężownice i siekiery bojowe, posadzone na potężnych dragach, a niektóre z nich złoty drut oplatał.

Domosul zrzucił z siebie ciężkie okrycie i stanął przed nimi w kaftanie skórzanym, w którym zwykle doma chadzał.

Wkrótce też chłopaki i stare gospodynie poczęły znosić misy z niewytwornem jadłem, na dawny sposób z prosta przyrządzonem, kaszą, mięsem pieczonem i warzonem, z kubkami miodów i piwa domowego. Stół pokryto grubym ręcznikiem szarym.

Gospodarz zasiadł swe miejsce i gości do mis zaprosił. Jurdze się jednak jeść odechciało, tak mu straconego konia srogi żal było. Biedził się niepomiernie.

A dzień to już był nieszczęśliwy jakiś, bo le dwie do stołu zasiedli, gdy zdala hałas jakiś usłyszeli. Jaksom się zdawało przyjmując zaprosiny staro Domosula, iż w tem pustkowiu spotkać się z nim nie było niebezpieczeństwa.

Gospodarz ucha niecierpliwie nastawił, goście spojrzeli po sobie. Nie było się już co taić, iż wszelki obcy przybyły mógł dla nich być zdrajcą. Odezwał się więc Andruszka.

— Miły panie, słyhać jakąś wrzawę. Mielizbyście spodziewać się gości?...

Domosul głową potrząsł, jakby nie był pewien sam.

— Muszę wam wyznać — dodał żywo Andruszka — iż, uchowaj Boże, kto z królewskiego dworu nas zobaczy, zgubieni być możemy...

Stary zmarszczywszy brwi popatrzał na nich ciekawie.

— Z mojej jamy zdradzie wyjść nie dam — od-

parł—bądźcie spokojni... U mnie nie gości nigdy nikt, krom jednego synowca Jaska z Tęczyna, któryby mnie chciał na swoją wiarę nawrócić, i wyrwać z mojego spokojnego grodziska.

— Ale Jasko z Tęczyna zna nas!—zawołał zrywając się. Jurga — jeżeli on istotnie jest, uciekać trzeba...

Domosul spojrział na nich coraz mocniej zdziwiony.

— Nie pytałem was, coście za jedni!—rzekł—gość gościem... Zrobiliście co przeciw królowi? Tem więcej was bronić i osłaniać będę... bo go nie cierpię...

Szmer, stapanie i rozmowa się zbliżały. Domosul się zamyslił chwilę i ręką im wskazał na boczne wniście do drugiej izby. Andruszka i Jurga zerwawszy się od stołu, pobiegli się ukryć w niej. Domosul został w miejscu.

Otworzyły się drzwi i schylając się wszedł mężczyzna słusznej urody, pięknej twarzy, odziany starannie i bogato. Wesoło w progu Domosula pozdrowił, oczyma rzucając po izbie. Stary nie wstając i mięsa, które trzymał w ręku, nie porzuciwszy, odwrócił głowę nachmurzoną.

— Czołem stryjowi!—odezwał się wchodzący—czołem... No... ale cóż to? przerwałem widzę posilek. Mówili mi, że macie gości. Nie widzę ich? Cóż się z nimi stało?...

Domosul kość ogryzał i wysysał spokojnie.

— Tobie co do moich gości?—spytał.

Stał głową pokręcając Jasko.

— Przecież nie potwora jaka, aby ludzie ode mnie uciekali...—rzekł.—Cóż to jest?

— Co ci do moich gości? — powtórzył Domosul—he?

Oreż i odzież zwierchnia, którą Jaksowie zrzucili, leżały na widoku. Jasko na nie oczyma rzucił ciekawymi i uśmiechnął się.

Widzę, żeście mi nie radzi — rzekł wzdychając.

— Za co ja wam rad być mam? — odparł Domosul, do stołu i jadła nawet nie prosząc. — Ja inny człek niż wy, choć krew w nas jedna... Wy ludzie nowi, jam dzik stary. Albo ja wam przeszkadzam panu pokłony bić i nowemu Bogu? albo co od was potrzebuje?... Dajcież staremu zdechnąć w pokoju... Moja nędza mi nie ciężka, a waszych skarbów wam nie zazdroszczę...

Przybyły Jasko przybliżył się do stołu, spart on i widocznie oczyma szukał, gdzie mu się skryli goście, których łyżki drewniane przy misie zdradzały.

— Zaprawdę — dodał po chwili — sroga to dla mnie obraza, że się ludzie chowają lub wy ich chowacie przedemną!... Więcbyście się wy dla nich lub dla siebie lękali czego i myśleli, że Jasko z Tęczyna, bratanek wasz, zdradził?

— Hej! hej! — mruknął stary jedząc ciągle — kto nie chce się sparzyć, ten w ogień palca nie kładzie...

Rzucił się trochę gniewnie przybyły.

— Jesteście dla mnie we własnym domu nie-laskawi—rzekł — niczem ja wam nie zawinił, chyba że się o was troszczę, gdy wy nas i mnie znać nie chcecie...

— A no... nie chcę—rzekł Domosul krótko, ciągle bardzo spokojnie chodząc około misy.

Krwi się swej tak odpychać i wyrzekać nie godził—stęknął Jasko.

— Kiedy ta krew się własnego starego obyczaju wyparła — mruknął Domosul—i do wrogów przystała...

— Do jakich wrogów! — wybuchnął Jasko. — Możecie króla naszego, wielkiego bohatera, wrogiem nazywać?

— Wrogiem go zwę!... — potwierdził Domosul—nietylko moim, ale wszystkich, którym ta ziemia miła.

Co ojciec jego rozpoczął, on dokonał... oddali nas w ręce Niemców...

— A któż kiedy szczęśliwiej z Niemcami wojował nad Bolesławem? — począł gorąco Jaśko — a komużemy to winni, że nas sąsiedzi szanują i drżą przed nami?...

Domosul drgnął tylko.

— Czekaćcie końca — zawołał — czekaćcie końca.

Jaśko wzruszony począł się przechadzać po izbie mrucząc. Parę razy przesunął się około drzwi, za którymi stali Jaksowie, wpatrując się w nie, jak gdyby czuł, że za niemi są ukryci. Stał przy nich na chwilę, a że izdebka była mała, uchem myśliciela i wojska oddech ich może usłyszał i uśmiech mu przebiegł po ustach.

Domosul obejrzał się trochę niespokojnie, gdzie stał bratanek jego, który ruch ten spostrzegł. Jaśko jednak nie ustąpił.

— Tameście waszych gości zakryli przedemną? — rzekł ręką na drzwi wskazując. — Cóż to chyba zbójce są i mordercy jacy, że się oczów czystego człowieka obawiają?

Jaksowie słyszeli te wyrazy wymówione tuż blisko i zakipiało w obu. Jurga byłby może wyskoczył z kryjówki, gdyby go Andruszka nie wstrzymał gwałtem.

Domosul nie odpowiedział nic.

— Nie za kogo innego mam gości waszych, jeżeno za ludzi bez czci i wiary, gdy się ukrywać potrzebują przed Jaśkiem z Tęczyną...

Tych wyrazów domawiał, gdy Jurga wyrwał się i stanął przed nim.

Na widok człowieka, o którego śmierci był przekonany Jaśko, bo o niej szeroko głoszone wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby widmo z grobu wstające ujrzał.

Andruszka nie został za bratem, w milczeniu

wyszli oba i dumnie, słowa nie mówiąc, groźnie wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jaśku z Tęczyną — odezwał się Andruszka — jeżeliśmy się kryli przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, co nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedźcie to, że jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nie wydacie nas... życie wam wziąć musimy...

Jaśko stał jeszcze nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzył i oczom swym nie wierzył, słuchał i nie wiedział, co trzymać o tych dwu nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by króla oszukać ktoś śmiał dla ich ocalenia. Znał on Bolesława.

Za Andruszką Jurga powtórzył.

— Słowo nam dajcie... lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić... — zawołał Jaśko. — Nie jestem królewskim dziesiętnikiem i pacholkiem, ale wojakiem jak wy... Biliśmy się nie jeden raz obok siebie... cieszę się, żeście ocaleli, a zdradzać was, niech mnie Bóg broni wszechmogący...

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie i wnet z nim ściskać się zaczęli. Zatem, choć Domosul sam jedząc za stół nie prosił synowca, siedli wszyscy do mis.

Jaśkowi pilno się było dowiedzieć o cudownej braci przysgodzie.

Lecz zaledwie dopytywać zaczął, gdy Andruszka przerwał.

— Nie badajcie nas... nie możemy mówić nic nad to, iż nas widziecie przy życiu... Tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie z sobą? — odezwał się Jaśko. — Uchodźcie do Ugrów, czy do Czech? do nieprzyjaciela kraju?

— Nie — rzekł Jurga — kryjemy się, czekając szczęśliwszej godziny, a do obcych nie myślimy iść...

choć dzisiejszy dzieńby nas nauczyć winien, jak się to schować od oczów ludzkich trudno i jak borsuka z jamy można słowem wykurzyć...

— Jeżeli w tej okolicy myślicie się ukrywać — dodał Jaśko — ja wam też w Tęczynie ofiaruję chętną gospodę...

— Za serce dobre niech Bóg płaci — rzekł Andrzejka — a no nie godzi się nam włóczyć po świecie. Przed wami wyznać możemy, żeśmy gośćmi na Tyńcu. Wyprosiliśmy się na łowy... Konia Jurdze raniony dzik podciął... i tuśmy się na chwilę schronili... ale do klasztoru powracać trzeba. U was też z Krakowa rycerstwo gości często i skryćby się było niepodobna.

— Kąt już ci by się znalazł — odparł Jaśko — ale nie chcę gwałtu wam zadawać... Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod jeźdźca którego z moich najlepszego konia wziął i Jurdze dał za zabitego. Pie-szego mi żal...

Nie wymawiał się od ofiary Jaksza.

— A myślicie przerwał Domosul — że u mnie już i konia zapaśnego nie ma? Jam tu przecie pierwszy zdaje mi się. Ubogi jestem, prawda, pozabierali mi królowie wasi, com miał nie od nich, ale od ojców naszych... tyle jednak zostało, że się jeszcze pieszaka na co ma wsadzić.

Wszczęła się tedy rozmowa żywsza. Jaksowie, choć niedawno przybyli, ciekawymi byli dowiedzieć się, co się na świecie święciło, co w Krakowie o nich i o królu mówiono... i czy o wojnie słyhać nie było.

Wzdychali do niej wszyscy, a choć Jaksom iść na nią nie byłoby dozwolonem, dowiedzieć się o niej pragnęli przynajmniej.

Jaśko, który był jak oni nawykły do wypraw, westchnął usłyszawszy o wojnie.

— Już nie wiem, kiedy jej doczekamy — odezwał się — król ocieżał, obsiadły go niewiasty, otoczyli go ludzie nierycerscy. Chciałby Niemcom się przyczaić,

aby, jak mówią, koronę od nich dostać i na głowę syna ją włożyć... Mieszko żołnierz mężny... a no... ojca nie dorósł i nie dojdzie mu nigdy do pasa...

Potrząsnął głową

— Jam prosty człek — odezwał się Domosul — jam dziki zwierz, co siedzi w swej jamie i świata nie widzi... prawda? tak wy o mnie trzymacie? Ale starym, gdy wzrok słabnie, bogowie dają widzenie inne, co ściany przebija...

Wszystko to, co oni zbudowali, wproch się roz-sypiel... Niemców myślą Piastowicze pożyć chytroś-cią, przebierając się w ich odzież i przyjmując oby-czaj... Zdaje się Bolkowi, że węża oszuka, że jasz-czurkę podejdziel... Ja nie wiem nic... słyszę co ga-dają ludzie...

— Bolko chytrenko kłania się cesarzowi i popija miód, pewny że podlaźszy mu pod bok, nogę pod-stawi... a ślepy... jak ci, których pooslepiął. Nie wi-dzi nic! Naprowadził księdzów niemieckich, którym ręce całuje, ci za to cesarzowi donoszą jego najtaj-niejsze myśli. Synowa niemka, niemek pelen dwór... Nie powie słowa, nie poduma czegoby Niemce nie wiedzieli... Dadzą mu pokój... do czasu, potem sy-pną się i podpiłowane słupy strząsną tylko, a dach na ziemię poleci.

Mówił jakby do siebie sam Domosul.

— Ochrzcił naród cały — ciągnął dalej śmiejąc się — kłaniają się wszyscy przed krzyżem ze strachu... A no... pójdźcie na Kupalę w lasy, zajrzyjcie do chat, jaki tam Bóg panem... Tam czekają tylko, aby do starego powrócić!

Wy i król widzicie tylko co macie przed sobą, pytajcie mnie co się u nas dzieje? Nie powiem wam! Po co! Co musi się stać to się stanie... poleje się krew... o! poleje...

Dziwnej to mowy, do której nie byli nawykli, słuchali w milczeniu Jaksowie i Jaśko. Gościom się ze starym gospodarzem spierać i nie chciało i nie

godziło, tylko synowiec rzekł, gdy on swojego do-
dończył.

— Bóg nas od szczęścia uchował a dzieło króla
pana naszego pobłogosławił..

Śmiechem szyderskim Domosul odpowiedział
wstając z ławy, aby świeżej napić się wody.

— Co z wami gadać! — mruknął — jaja od kur
mądrzejsze dziś...

Na rozmowie czasu dosyć upłynęło, wstali Ja-
ksowie, do odjazdu się sposobiać. Wstał też Jaśko,
ofiarując się dla bezpieczeństwa ku Tyńcowi ich prze-
prowadzić. Gdy się ze starym żegnali, uparł przecie,
aby konia od siebie dał pod Jurgę i wyszedł z nimi
w podwórze, gdzie już mierzyn niepozorny stał goto-
wy. Za udego go ujawszy Domosul, cugle od niej od-
dał Jurdze w ręce, głową kiwnął i na synowca nie
spojrzawszy nawet, powrócił nazad do swojego pod-
ziemia.

Tak tedy w towarzystwie Jaśka ruszyli ze Ska-
ły w las znowu, a gdy się od niej oddalili, westchnął
on, zwracając ku niej głowę.

— Domosul umrze jakim żył — rzekł — stara
swoboda i obyczaj milsze mu nadewszystko... Ani
króla, ani duchownych znać nie chce... Zubożał
tym uporem, dał sobie zabrać i ziemię... ale się nie
ugiął.

— Niewielu szczęściem takich jak on upartych
przy starem—rzekł Andruszka—nikomu on prócz so-
bie nie szkodzi...

— Z żupanów dawnych mało który stoi tak
twardo, jak — odezwał się Jaśko—ale ubogiego na-
rodu, co trzyma z nim i z takimi jak on, jest dużo!
U góry król, rycerstwo, władcy, duchowieństwo...
a u dołu lud, co żyje jak żył i patrzy tylko, by wró-
cił do dawnej swobody... Jeżeli Mieszko ojcowskiej
nie będzie miał dłoni...

— Mieszko wojownik dzielny—odparł Jurga.

— Daj mu Boże szczęście — zakończył Jaśko —

bo jeżeli mu sił nie stanie... i my wszyscy poginać
możemy...

Wspomniął jakby z niechcenia Bezpryma i za-
milkli wszyscy.

Powrót do klasztoru łatwiejszym był z towarzy-
szem, który się do nich przyłączył. Jaśko znał do-
brze okolicę i był najlepszym przewodnikiem. Do-
wiódł ich więc aż do polany, z której gród tyński
widać już było. Tu rozstać się musieli.

— Hej! — rzekł na rozjezdne wzdychając Jaś-
ko—jakbym ja wam rad był, gdybyście mi przybyli
w gościnę, ale... Andruszka głową potrząsa... siedź-
cież w dziurze zamknięci i pościecie z mnichami...
A gdy się wam zateśni, huknijcie do mnie... choć
na łowy razem pójdziemy w lasy!

— Jaśku — zawołał Jurga—a milczcie!...

Położyli palce na ustach, skinęli ku sobie gło-
wami i Jaksowie pośpieszyli do klasztoru.

Wieczór już był późny, wrota były zaparte, przeor
i braciszek Odon napróżno ich wyglądali niespokojni.
Ludzie, którzy drwa wozili do klasztoru, zabitego konia
znalazszy w lesie, opowiedzieli o nim ojcom, ztąd
domysły powstały i trwoga o Jaksów. Z widoczną
więc radością wrotnik im otworzył, a młody Odon
wybiegł na ich spotkanie.

— Bogu wszechmogącemu niech będą dzięki —
zawołał—byliśmy o was w strasznej trwodze!... Nie
się nie stało? dla czego wracacie tak późno? czyście
się zabłąkali w lesie?...

Braciszek nie poznał zamienionego konia, a bra-
cia, odprowadziwszy do stajni wierchowce, cichutko
wrócili do swojej celi.

VII.

Książęcy jeśli nie królewski dwór, na pół duchowny, pół rycerski otaczał możnego arcybiskupa w Magdeburgu. Zwierzchnik duchowny nad biskupstwami otaczającymi, był zarazem arcybiskupem władzą wielkich ziem i zwierzchnim panem mnogich wassalów, którzy od niego trzymając lenna, winni mu byli służbę wojenną i posłuszeństwo. Gród arcybiskupi groźnie i poważnie wznosił się u rozdzielonych ramion Łaby, obejmujących silną twierdzę, nad którą panowała katedra kości świętego Maurycego wstawiona. Naprzeciw niej wznosił się, jakby duchem nad ziemią tą panując jeszcze, wizerunek Ottona I.

Miasto ściśnięte w małych rozmiarach, składające się z krętych ulic i domostw, pełne było zawsze życia i gwaru. Stolica duchowna, gród pański, targowica u brzegów rzeki, roił się ciągle stary Dziewin przybywającymi zewsząd biskupami, cesarskimi posłami, książętami, panami i kupiectwem. Około wspaniałego na owe czasy katedralnego kościoła i pałacu arcybiskupiego, przez dzień cały snuli się pobożni pielgrzymi, pokorni słudzy, rycerstwo ze skargami... poczty wojenne książęcia kościoła, który nieraz zmuszony był miecz przypasywać do boku.

Na placu tym gwarno było do późnej nocy, a gdy mrok padł, straż jeszcze czuwać musiała, aby między ciżbą po gospodach porządek utrzymać.

Jednego wieczora mały orszak jezdnych, wśród których łatwo było poznać duchownego, ze służbą i pocztem dla bezpieczeństwa dodanym, zbliżył się do wrót starego miasta pośpiesznym krokiem, opóźniony się w podróży. Nie spytała straż przybywającego we wrotach, z kądem ciągnie, gdyż suknia duchowna już go opowiadała. Orszak towarzyszący nie oznajmy-

wał znacznego człowieka. Skromnym był, a ze stroju ludzi nie umiała straż odgadnąć, z kądem jechali. Książdz skromnie też i pokornie wyglądał. Lecz koby był się wpatrzył w twarz jego w chwili, gdy wrota mijał, ujrzałby na niej radość wygnania, co po długich latach do własnego powraca domu. Smutne dosyć i nie-miłego wyrazu lice uśmiechnęło mu się na widok kopuły kościelnych, żegnał się pobożnie, mruczał pacierze, ale oczy świadczyły, że myślami innemi był zajęty. W miarę jak się zbliżał do rynku oczy jego coraz żywszego nabierały blasku, konia popędzał, a gdy u drzwi dawnego opactwa benedyktyńskiego stanął, śpiesznie zsiadł, nie troszcząc się o konia i ludzi swych, zostawił ich u wrót, sam żywym krokiem wpadłszy do wnętrza.

W podwórku obszernym cicho już było i pusto. Przybyły obejrzał się do koła i ciasnemi wschodkami dostawszy się w przejście ciemne, do pierwszych drzwi zapukał.

Poruszyło się coś we wnętrzu, gość wszedł.

W sklepionej izbie paliło się już światło, u stołu w siedzeniu poduszkami wysłanem, spoczywał mężczyzna ogromnego wzrostu, a jeszcze większej tuszy, któremu otyłość podnieść się dozwalała z trudnością. Obiema rękami wsparty na poręczach miał zapewne myśl ruszyć się, ale wysiłku potrzebował na to wielkiego. Na stoliku przed nim widać było ogromny kufel cynowy z przykrywką i kilka grzanek suchych na misce. Twarz rumiana, rozlana, ogromna, z krótko strzyżonym włosem, świeciła rozumnymi oczyma bystre i zaufaniem w siebie. Zmrużywszy nieco powieki siedzący usiłował poznać w mroku przybywającego, lecz nierychło dopiero, gdy się ten ruszył ku niemu, zawołał.

— Gość niespodziewany! książdz Petrek!... Cóż za gwiazda szczęśliwa ciebie tu do nas przyprowadziła w porę?!

Bracia Zmartwychwstańcy T. II.

Protonotaryusz szedł do pocałowania ręki, a otrzymał uścisk braterski.

— Najmilejszy bracie—mówił otyły duchowny—oczom nie wierzę... Tyżes to?

— Ojcie Emerardzie! ja jestem! ja... acz sam ledwie wierzę, jakim się tu mogł znaleźć, gdy najmniej nie miał tego szczęścia nadziei...

— Z niczem złem nie przybywacie?

— Z niczem dobrem też! — rzekł ks. Petrek. Lecz... mogeż was o gościnę prosić tu... czy...

— Dla was znajdzie się izba — odparł stary — ludzi wyslijcie do gospody.. Pełno u nas jak zawsze. Najdostojniejszy pan nasz arcybiskup nigdy od najazdu wolnym nie jest...

Ojciec Emerard mówiąc to w dłonie klasnął, nakazał milczenie przybyłemu, powtórzył ten znak i wchodzącemu braciszкови wydał rozkazy.

— Najdostojniejszego pana naszego — rzekł odprawiawszy braciszka—dziś się ani ujrzeć spodziewajcie. Brandeburskiego mamy gościa, z którym zgodę czyniemy, albo raczej on z nami, ciągi wzięwszy... Cesarski posłaniec na listy czeka... Za chwilę chleb wieczorny w refektarzu dla nas podadzą, pójdziecie ze mną. Arcybiskup dziś jeszcze wiedzieć o was będzie... ale... cóż niesiecie? pokój czy wojnę?

I śmiejąc się dodał opasły Emerard.

— Niełacno z wami mając do czynienia rozemnić, czy wojna nie jest pokojem, czy pokój nie zmienia się na wojnę... Cóż, ten wasz chytry wąż, ta jadowita żmija, ten wróg nasz zajadły czyni i myśli?

— Pytajcie mnie ojcie Emerardzie — odezwał się ks. Petrek — co on mówi, a nie sądzicie, bym wiedział co myśli... To co myśli, tego nie powie, co mówi, tego nie myśli pewnie... Kto go odgadnie?...

— Któż, jeśli nie wy?—rozśmiał się otyły — lecz o tem dość będzie czasu mówić jeszcze...

— Przybywam w poselstwie od niego — począł ks. Petrek.—Zdaje się, że „Tragbier“ ociężał, że mu

próżne z cesarstwem walki dojadły, że naszarpawszy i nachwytawszy radby się przy swej pastwie utrzymał. Więc z pokorą śle a z prośbą, aby mu czynajgodniejszy, najdostojniejszy arcybiskup u cesarza dopomógł do uzyskania od papieża Benedykta — korony!

Mówiący spojrzeli sobie w oczy. O. Emerard raz-u wierzyć się nie zdawał, potem wielkim śmiechem wybuchnął. I śmieli się oba, śmieli długo jeden drugiemu przyczyniając śmiechu wesołością.

— Zaprawdę, albo sam rozum postradał — rzekł o. Emerard—lub myśli, że my go nie mamy! Koronabyśmy się mu mieli wywdzięczać za to, że nas nękać nie przestaje!...

Ruszyli ramionami.

— Z tem przybywam—odezwał się ks. Petrek—niech tak zasługi św. Maurycego duszy mej grzesznej będą pomocne.

Wchodzący braciszek oznajmił o wieczery w refektarzu, w którym się klasztornym obyczajem katedralne duchowieństwo zbierało na obiady i chleb popołudniowy.

O. Emerardowi pomódz było potrzeba do powstania z siedzenia, ale gdy raz sparłszy się o stół i ramię braciszka na nogach stanął, wysapał się, dźwignął, krokiem pewnym wiódł ks. Petrkę za sobą. Braciszek przyświecał im przodując korytarzami do sali na dole, w której już kilkadziesiąt osób zgromadzonych było.

Długie stoły otoczone ławami przygotowane były dla gości, ale ci stali jeszcze, rozmawiając z sobą i zdając się na kogoś oczekiwać.

Zgromadzenie przedstawiało widok wcale do refektarza zakonnego niepodobny, choć godła na ścianach i mały pulpit dla lektora na podniesieniu miejsce to cechowały, jako dla duchowieństwa przeznaczone.

Nie trzymali się naówczas duchowni świeccy jednej formy w sukniach, jakie nosili, obowiązkowymi

były tylko barwy skromne i ciemne, wzbronione świecidła i rycerskie przybory. Ale i w tem wiele swobody dawano, wiele młodych i do możnych rodzin należących księży wylamywało się z praw ogólnych. Widać więc było i rozmaicie popostrzygane głowy, na których korony ledwie dostrzedz było można i wąsy zawiesziste i brody różnie trefione, a przy nich suknie szare, brązowe, oszywane, pasami nasadzanemi bogato ujęte, i czarne sutanny, i krótkie odzieże przy których buty jakby do konia, ostrogami opatrzone, niczyjego nie zwracały oka. Jeden z młodszych księży, krewny arcybiskupa przyszedł tu z sokołem ulubionym na rękę, którym się lubował i drugim go okazywał, nie zbywało też na psach, oczekujących na resztki wieczerzy.

Gwar w refektarzu panował wesoły. Kilku gości świeckich wmieszanych między duchowieństwo, dodawało rozmowie rubasznego ognia, który w owe czasy zdrożnym się nie wydawał nikomu.

Przytomni na kilka kupek rozdzieleni, rozprawiali jedni o cudach i pobożnych przedmiotach, drudzy o łowach, inni o wojnie. Gdy ks. Emerard z protonotaryuszem ukazali się w progu, wiele oczów zwróciło się ku nim. Ks. Petrka nie wszyscy tu znali... Z oddalonego kąta wystąpił zobaczywszy go w benedyktyńskiej sukni mnich i jakby oczom nie wierzył, ręce szeroko rozdał.

Był to ten sam, który ks. Petrka odwiedził w Poznaniu, a królowi Bolesławowi uszedł w Gnieźnie...

Przystąpił on żywo do przybyłego — i popatrzywszy nań długą chwilę, rzekł.

— Jakże się to stało, że ja tu was widzę? wyście to...

— Jam jest! — kłaniając się odparł ks. Petrek...

— Wygnano was?

— Nie — z czią mnie jako posła tu wyprawiono.

Skłonił się mnich z pokorą szyderską ks. Petrkowi.

— Czołem przed wami! — rzekł niema na świecie przebieglejszego nad was człowieka ani droższego nam... Witajcie.

Gdy to mówili, szmer się stał i wszyscy, miejsc na ławach szukając, siadać poczęli. Dla o. Emerarda było krzesło wygodne w końcu jednego stołu. Obok siebie z jednej strony posadził przywiedzionego gościa.

Na kazalnicy ukazał się młody kleryk, któremu drugi przyświecał. Wszyscy powstali, ucziszono się, czytano błogosławieństwo stołu i modlitwę.

Lecz na tem się czytanie skończyło, bo zgromadzenie też milczenia zakonnego zachowywać nie myślało, i gdy kleryk zszedł z miejsca, rozmowy gwarne i śmieszki rozległy się po całym refektarzu. Nalewano kufle, misy ustawione dymyły na stołach, wszystkie ręce wyciągały się ku nim. Jadło było obfite, a mający je spożywać zdawali się zgłodniać, i chwytali je chciwie.

Ksiądz, który z sokołem przybył, miał swe miejsce i tuż wbity kołek dla ptaka, zastępujący berło. Posłuszny sokół siadł na nim, dzwoniąc pętami, które mu nogi krępowały.

Z pod stołów tu i owdzie warczenie psów słychać było.

Ktoby rozmów podsłuchał — zaprawdę dziwilby się im nie mniej jak obrazowi tego wieczornika, podobniejszego do gospody niż do refektarza. Dwór też arcybiskupi był niemal gospodą dla mnóstwa podobnych.

Nie przeciągnęło się jednak zbyt długo biesiadowanie, bo godzina była późniona, i gdy misy a kufle poopróżniano, ten i ów wstawać począł, nieczekając na wspólną modlitwę, odmawiał ją, stojąc przy swej ławie i odchodził.

Wypróżniał się zwolna refektarz, stoły puste na pół stały, a o. Emerard jeszcze u kufła siedział z ks.

Petrkiem i Benedyktynem rozmawiając. Lice jego zarumienione, oczy jaśniejsze, twarz rozpromieniona dowodziły, że i gościowi i wieczery rad był bardzo.

Nazajutrz rano ks. Petrek miał się stawić u arcybiskupa, a mnich pilno się dopominał, aby mu też towarzyszyć było wolno.

Tak się dzień skończył dla posła, który nazajutrz rano, pośpieszył się pomodlić naprzód u grobu św. Maurycego. Chciał tu zaczerpnąć sił i natchnienia, aby wielkiego dzieła jak najskuteczniej dokonać.

Miał bowiem tu jak najdzielniej szkodzić Bolesławowi, a zarazem przyniesioną odpowiedź uczynić mu znośną i nieobudzającą podejrzeń. Ks. Petrek służył cesarstwu z przekonania i był pewien w sumieniu swem, iż spełnił św. obowiązek, zdradzając króla Bolesława. Gorącą więc uzbroidł się modlitwą, i przejęty posłannictwem swoim, poszedł do pałacu, oczekiwać na posłuchanie.

Tu, mimo godziny rannej, przedsięwzięcie i izby wszędzie przepełnione już były. Orszaki panów przypuszczonych do arcybiskupa, mnodzy suplikanci, ubogie duchowieństwo wiejskie — comesy i baronowie sascy, rycerstwo tłumnie się cisnęło. Dworska służba pałacowa, starała się jakkolwiek porządek utrzymać. Tłum był taki, że część jego przelewała się z przedsięwzięcia w dziedzinę.

Wyglądało to monarchicznie i wspaniale — rycerstwa było pełno, zbroidły tyle prawie co czarnych habitów. Sala, w której arcybiskup Gero przyjmował, uderzała wielką na owe czasy wspaniałością. Dostojny pan otoczony był dworem liczny, wassalami, urzędnikami, dowódcami wojsk swoich, dukami i baronami. Rodzaj podniesienia, krzesło jego i najbliższych osoby pańskiej, po nad tłum zebrany do koła wywyższało i zdala widnemi czyniło. Kanclerz, arcybiskupi, opaci, notaryusze, sędziowie duchowni trybunału, na którego czele stał arcybiskup, w koszto-

wnych futrach i jedwabiach, z łańcuchami na szyjach, z laskami w ręku, cisnęli się koło Gerona. Sam on, podeszłych już lat mąż, sparty na łokciu siedział na wygodnej stolicy, okiem rozzumnym i bystrem przyglądając się przybywającym. Rysy jego twarzy spokojne, energiczne, wydawały człowieka co wiele przetrwawszy szczęśliwie stał u kresu. i pewien był swej potęgi.

Na skinienie jego chyliły się głowy, zwracały uszy, śpieszyli wszyscy posłusznie, okazując mu cześć i poszanowanie głębokie. Do spraw, które mu przedstawiono, choć ucha nakłaniał, skąpy był na słowa — dawał mówić, spoglądał ku swoim, jakby ich uwagę zwracał na to, co opowiadano, dozwalał swoim przybocznym zabierać głos, a dopiero, gdy obie strony dostatecznie roztrząsnęły kwestyę, słowem ją krótkim rozstrzygał.

Duchowieństwo w owym czasie nieskończenie większe i ważniejsze zajmowało stanowisko, niżeli w późniejszych wiekach. Cesarstwo dzieliło się z niem władzą, uposażało je obficie, nadawało mu prawa, potęgi jego nad duszami ludzkimi używając do utwierdzenia swej władzy. Cesarz rzymski i papież byli najwyższymi panami, sędziami, zwierzchnią władzą, z pod której nikt się nie mógł wyłamać. Ręka w rękę szło cesarstwo z papieżstwem, zakresliwszy sobie pole działania, którego coraz więcej jednak obejmowało duchowieństwo... We wszystkich krajach stanowiło ono jedno wojsko, jedno rycerstwo Chrystusowe, mające wodza w Rzymie, naczelników w metropolitach, pułkowników w diecezjach, tysięcy i setników po całej ziemi.

Kościół wspierał cesarza, lecz nawzajem miał w nim obrońcę i sługę. On rozstrzygał najwyższe spory i wyroki, gdzie sam zażądał, był sędzią. Od kolebki do grobu podlegali wszyscy władzy jego. Małżeństwa panujących, dziedzictwa, następstwa, działy, wszystko się rozstrzygało przed trybunałami

duchownemi, a kłatwa biskupia, gdy wyrzuciła ze społeczności chrześcijańskiej, bodaj najmożniejszego pana, ściagała go aż za grób i odmawiała mu nawet pogrzebu na święconej ziemi.

Cesarz i władza świecka właściwie był tylko pierwszym sługą i wykonawcą rozporządzeń kościoła, dzierżył on jak jabłko symboliczne, którym go obdarzył Benedykt VIII, ale musiał pamiętać, że je z rąk jego otrzymał.

Arcybiskup magdeburski, dotąd miał pod sobą kościół polski i czeski i po św. Wojciechu, gdy należało następcę wyznaczyć, zesłał tam paralityka Thietmara, z ramienia swego wyznaczając go. Nie mogło mu być miłym, że „chytry Bolesław“ z pod tej wierchnej władzy wyrwał mu polskie dycezye, i osobną dla nich metropolię stanowił, chcąc dla niej być cesarzem i pierwszym sługą.

Chociaż ten sam Gero zaprzysięgał w imieniu cesarza, ostatni pokój z Bolesławem, wymuszony jego zwycięstwem, i na pozór przyjacielem liczyć się musiał, nie miał nigdzie król polan większych nieprzyjaciół, zajadlejszych jak tutaj wrogów. Samo imię Bolesława, wprawiało w gniew i burzyło ich — bo mu nie uczynić nie mogli.

On co z mieczem szedł przed cesarza raz w życiu — pełniąc miecznika urząd chwilowo — tym samym mieczem dobił się niezawisłości.

Z umysłu posłańcowi Bolesława ostatnie wyznaczono posłuchanie. Ks. Petrek miał czas przysłuchać się, jak dumnie arcybiskup zbywał duków, jak groził baronom, jak hołdy przyjmował obojętnie.

Dopiero, gdy wszystkich niemal odprawiono, podkomorzy dworu oznajmił wysłańca Bolesławowego, a arcybiskup skinął tylko, aby przystąpił. Upadł na kolana ks. Petrek, jako przed dawnym zwierzchnikiem, prosząc o błogosławieństwo, a następnie z urzędu rzecz swą rozpoczął. Wiedział już o celu poselstwa arcybiskup, słuchał więc na rękę wsparty, i dał mu

wyłożyć sprawę, jako król przez Ottona III cesarza danej i przyrzeczonej z Rzymu korony dopominając się, u najdostojniejszego arcybiskupa o pośrednictwo prosi do cesarza, u cesarza, o opiekę do ojca świętego. Wysłuchawszy Gero podniósł nieco głowę, i uśmiechnął się wzgardliwie.

— Nie będę tail — rzekł — jakiem sercem poselstwo to, urągając się cesarskiej władzy, przyjmuję.

Wiem to i ja, wie cesarz, iż na przyjaźń i sojusz króla waszego, cale rachować nie możemy. Złamał on wszystkie przyrzeczenia, zawiódł wszelkie nadzieje. „Wszystek ten stosunek z nami, połączenie się ojca jego i jego małżeństwa, ściślejsza zażyłość więcej nam dotąd w istocie szkody przyniosły, niż korzyści... I na przyszłość nie innego spodziewać się nie można. — Jeśli udanym pokojem na czas „jakiś przyjaznym się nam ukaże, tysiącem praktyk „potajemnych, narusza u nas miłość i zgodę, a upa- „trzywszy porę, czycha na zgubę naszą *).“ Dziwne to jest poselstwo zatajonego nieprzyjaciela, który z rąk naszych, oręża przeciw nam samym się dopomina...

Skończył arcybiskup, gdy z otoczenia jego wstał merseburgi biskup Thietmar, zdając się głosu domagać u pasterza, a gdy ten skinął nań, wybuchnął gwałtownie.

— Za szyderstwo i urągawisko tę prośbę chyba poczytać należy — rzekł — azaż się nie znamy, i nie wiemy co w sercach jest waszych? Cesarstwo nigdy w was przyjaciół mieć nie będzie, ani kościół powszechny sług powolnych.

Dał znak Gero, aby Thietmar poprzestał, i sam zakończył słowy.

— Mówimy to wam, miły bracie, jako znanemu z wierności słudze kościoła, nie żebyście to królowi

*) Thietmar, dosłownie.

odnieść mieli, a gniew jego a złość rozzarzyć, lecz byśmy sercom ulżyli, przez świadectwo dane prawdzie. Jaką zaś odpowiedź zanieść macie, o tem jeszcze radzić będziemy...

Wstał tedy Gero, a wnet i Krucyfer i dwór, kanclerz, podkomorzowie, rycerstwo, ruszyło się odprowadzać go uroczystie do komnat jego. Pokłoniwszy ks. Petrek ustąpił na stronę.

Wiedział on zawczasu co go tu spotka, o. Emerard oznajmił mu, iż tajemna narada i posłuchanie, w pobocznej izbie na dworcu arcybiskupim, w porze poobiedniej ma się odbyć.

Do tej narady biskup merserburski znany z nienawiści dla słowian, i świadomości ich języka i obyczajów został wezwany. Kanclerz, o. Emerard i mnich benedyktyn mieli też być przytomni.

Ks. Petrek mający wiele do czynienia w Magdeburgu, wiele dawnych znajomych do widzenia, chwili nie tracił... Tu, wśród swoich, innym się widział człowiekiem, śmielszym, mocniejszym, żywszym, bo nie potrzebował ukrywać się z tem, co miał na dnie serca swojego.

Nie domyślał on się wcale, iż nawet tu, śledzić mógł ktoś za nim i każdy krok jego mieć na oku.

Izba przeznaczona dla narady, do komnaty arcybiskupiej była przyległą, panował tu kanclerz, i pisarze, a ogromne wolumina i kodeksa, zalegały pulki do koła. U wielkiego stołu niezajęte nigdy stało wzniesione na stopniu krzesło arcybiskupie, na którym on zasiadał, ilekroć sam schodził dla spraw ważniejszych. Obok siedział już surowego oblicza, oczów dzikich, niskiego czoła, wyrazu twarzy gwałtowny znamionującego charakter biskup merserburski... Był to jeden z najgorętszych swego czasu kapłanów i apostołów, ale jak on sam wyznaje, w środki łagodności nie wierzył, siłą chciał dokonywać wszystkiego.

Kanclerz był mężem większego pomiarkowania i przebiegłości, choć nie innych dla Polski usposobień.

O. Emerard żywił dla niej też same uczucia, którym w rozmowie zwrot tylko rubaszniejszy nadawał, naostatek mnich benedyktyn z nowej Korbei osobisty wróg króla... także mógł tylko oliwy do ognia dolewać, a ks. Petrek, wrzekomo przybyły dla popierania interesu, wiemy jak był usposobiony.

Czekając na przybycie arcybiskupa, biskup merserburski, któremu długie milczenie było trudnem, i który nieustannie coś opowiadać musiał, czegoś dowodzić lub o coś się spierać, a był z tego znanym dobrze, zabrał głos, nie mogąc znieść myśli tej, by Bolesławowi nawet pozorną wyświadczone powolność.

— Tó są groby pobielane—mówił—wszyscy słowianie, tak dobrze ci co się ponawracali pozornie, jak ci, co nie nawróciwszy się, udają, iż z nami chcą iść razem...

Nigdy ja tego nie pochwalałem, nawet cesarzowi, iż na Bolesława tego, najniegodziwszego, idąc, Lutyków pogan brał z sobą. To nam wówczas nie-szczęście ściągnęło i niebłogosławieństwo boże! Lutyicy obok naszych chorągwi z krzyżami nieśli swoją z namalowaną boginią nagą... w którą wyrostek z orszaku margrabi Hermana, kamieniem cisnął. Za to się później cesarzowi skarżyli, i dwanaście grzywien dostali wynagrodzenia. A godziłoż się chrześcijańskiemu panu płacić??

Nie lepsi ci, których jużemy święconą wodą i słowem pochrzcili... Widziałem sam, że się do żelaznej obręczy modlą, Honidłem ją zowiąc, i około trzód ją obnosząc.

Nie lepiej pewnie i koło Gniezna? zwrócił się do ks. Petrka.

— Bogów ci powywracano w lasach—odparł protonotaryusz — ale ich chowają ludzie po pieczarach, a dawne swe obrzędy odprawiają pewnie. Większa część dobrze, jeżeli się przeżegnać umie

— Tak ci jest! — potwierdził biskup mersebur-ski—tak jest w krajach wielu, gdzie krzyże zatknię-to, co się chrześcijańskimi zowią, a w rzeczy pogań-skimi są. Mamyż się dziwować, iż Bóg mściwy ka-rze, iż znaki się okazują na niebie i ziemi srogie a przerażające?

— To wasza przewielebność słyszała — wtrącił o. Emerard — iż nie dawno słońce przed zejściem swem, dziwnie krwawem było i jakby na pół rozcię-tem widziane.

— W miesiącu sierpniu—dodał Thietmar—uka-zała się nowa jakaś gwiazda obok Niedzwiedzicy, która daleko rozchodzącemi się promieniami przestrach we wszystkich obudzała.

Nigdy za naszej pamięci nie podobnego nie oglądaliśmy... „Ale który wszystko wie, zna ją i zna-lazł ją roztropnością swoją“ (Baruch III 32).

W prowincyi Turyngii czyniło szkodę trzech wilków ukazujących się razem, dotąd nigdy przez mieszkańców nie widywanych... ludzi i bydło zajadłe napastujących.

Mówił to Thietmar z przejęciem wielkiem i na-maszczeniem, z wiarą głęboką, jaką wszyscy naów-czas podzielali, iż te nadzwyczajne zjawiska, zwiasto-wały ludziom straszne kary i klęski.

Sam o sobie też pisał z mocnem przekonaniem o prawdziwości wypadku, że go raz szatani we śnie zmusili do zjedzenia jakiejś złośliwej trawy, uwarzonej dlań umyślnie, której skutek ten był, że kilka ciężkich potem dopuścił się — błędów...

Nikt też nie wtrącił słowa w to opowiadanie, ani śmiał przeczyć, dodawano raczej do niego.

Mnich benedyktyn mówił, że w jednym z miast saskich, niewiasta urodziła dziecię z dwoma głowami, a każda z nich miała w sobie po troje oczu...

Nad wykładem mocno się zadumał biskup merse-burski, lecz nie podolawszy mu na razie, wniósł tyl-ko, iż straszliwe klęski miały spaść na świat z roz-

dwojenia władzy, najpewniej duchownej... z nowych herezji, które oczy oznaczać bardzo mogły.

Rozpowiadano i inne budujące powieści tego rodzaju, gdy arcybiskup wszedł, poprzedzany przez pacholąt dwoje. Te drzwi otworzywszy, gdy wszy-scy na powitanie powstali — znikły natychmiast w przedsieni.

Gero sen jeszcze miał poobiedni na oczach, zwlókł się do tronu swojego, zasiadł na nim, i zagaił, krót-kim słowem.

— Mówcie bracia mili, rad słuchać będę — a co duch święty natchnie... ogłoszę wam.

— Czcinajgodniejszy, świętobliwy, dostojny pa-nie — odezwał się Petrek — niech mi wolno będzie rzec naprzód słowo, nie z urzędu, lecz z sumienia.

Skinął Gero, a protonotaryusz ciągnął dalej.

— Tak jest z sumienia mówić będę. Przyby-łem tu jako posłannik tego, który u pana naszego cesarza nie służył na łaskę i wiarę. Niech mi to za złe policzone nie będzie.

Tego się domagam dla uspokojenia duszy mo-jej, o to proszę, a czcigodnego o. Emerarda, oraz in-nych tu przytomnych wzywam, aby mi dali świadectwo.

Szmer się rozszedł po izbie.

— Spokojni bądźcie!

O. Emerard rzucił kilka słów pochwały. Skło-nił się ks. Petrek i ustąpił.

— Więc tedy ów niepocziwy zdrajca i wróg, korony żąda?—odezwał się Thietmar — i do nas się o nią odzywa? Naprawdę zuchwalstwa większego wy-obrazić trudno, alieści to nie jest więcej niż zuchwało-scią, bo uragowiskiem?

— Nie uraga się on—odparł ks. Petrek—boleje i męczy się. Potęga cesarska czuć się mu daje. Do-jada mu zazdrość, bo czesi, duńczycy i węgrowie na-wet już to posiedli, o co on się dopiero dobija.

— Czesi się od kościoła powszechnego, ani z pod

mojego zwierzchnictwa nie wylamują — odezwał się arcybiskup.

— Bolesław korony chce tylko na to, aby się niepodleglejszym od nas uczynić — rzekł Thietmar.

— I aby synowi — dodał benedyktyn — który siły jego mieć nie będzie, dać z nią błogosławieństwo apostolskie, błogosławieństwo, któreby uświęciło łupieżę i nieprawę nabytki pieczęcią swą zamknęło.

— Cóż mu rzeczymy? — spytał Gero.

Kanclerz zażądał głosu.

— Wasza dostojność — rzekł zwracając się do Gerona — łatwo się zbędziecie natrętnej prośby tem, iż chociażście pośredniczyli do pokoju z Bolesławem i poprzysięgali w imieniu cesarza, właśnie przez to, że pokój ów spokoju nie przyniósł, uczestnikami żądnych traktowań być nie możecie.

Szmer pochwalny słowa te utwierdził, a Gero głową dał znak, iż znalezioną formę odpowiedzi przyjmował.

— Na tem niedosyć — odezwał się Thietmar — na tem niedosyć...

Jakkolwiek od łona macierzystego metropolii magdeburskiej nieprawnie oddarto polskie kościoły, nie mniej czcinygodniejszy pan nasz a zwierzchnik, musi kraj polski uważać, jako sobie podległy.

Gero znowu głowy skinieniem prawdę przyznał wnioskowi.

— Więc i pieczołowitości jego pasterskiej przynależy — ciągnął Thietmar dalej — czuwać nad losami tego kraju. Korony on mieć nie będzie, póki cesarz włada imperium i światem; raczej zawczasu myśleć trzeba co czynić, by oderwane kraje wróciły do prawej władzy.

— Święte słowa — potwierdził benedyktyn. — Matka moja dzieciectwo swoje i nasze ofiarowała apostolskiej stolicy.

— Czyni się na dworze bolesławowskim od lat wielu wszystko, co zwycięztwo dać może cesarstwu

z czasem — począł o. Emerard. Powolna to praca, trud ciężki i ofiarny, ale z pewnością do celu wie-dzie. Dla czego Ode matkę waszą, z klasztoru da-no Mieszkowi... nie dla tego tysiąca więźniów nie-mieckich, których wyzwoliła, ale dla zbawiennego wpływu na dworze.

Dla czego przemądry pan Otto III acz się dał gładkim Bolesława wodzić słowom, zaszczycił syna jego związkiem z Ryksą, własną siostrzenicą? — Wszy-stko się to czyniło i czyni, aby wpływ tam nasz po-woli utwierdzić i upewnić go.

— Mało tego — rzekł cicho ks. Petrek — z pew-nym wstydem i wahaniami, jest jeszcze do uczynie-nia coś, co dokonać śpiesznie należy. Bolesława chuci są znane, niewieścia płeć go ciągnie ku sobie, może nad nim wiele niewiasta. Emnilda królowa nie naszą jest, ani ku nam serca niema. Tę mu odjąć, a Ode markgrafównę, na którą już okiem rzucił — winno być celem zabiegów.

Śmiała ta myśl, zrazu milczeniem przyjętą zo-stała...

— Lecz jakże się to może spełnić? — zapytał o. Emerard.

— Wielce łatwo, jeżeli się ku temu ręki przy-łoży — dodał ks. Petrek.

— To rzecz wasza — rzekł Thietmar — wy też czuwać powinniście, abyście go obsadzili ludźmi nam pożytecznymi. Sprzyja nam pobożna i rozumna Ryksa, może ona ich wyzywać ku sobie. — Mnożyć po-trzeba tych, na których by się opierać można, a tak jak on nas, niecny, przewrotny człek, siecią swych podstępów otacza, my go winniśmy opasać wiernymi naszymi.

— Mam nadzieję w Bogu, iż to królestwo jego — mówił cicho ks. Petrek, nie ostoi się długo. Zlepek to z chrustu i gliny, purpurą na chwilę pokryty. Synowie królowej Ody, Bezprym odepchnięty od następ-stwa przez ojca, Mieszko, Ruś zwyciężona, Węgry

pokrzywdzone, Czesi rozdrażnieni, poganie czychający na chwilę dogodną, rozerwą to państwo, gdy ten co je skleił głowę w mogile złoży.

— Amen! — zawołał Thietmar z gorącością, oby się słowa wasze ziściły, albowiem nie tylko interes cesarstwa i nierozzerwanego z nim kościoła, domaga się tego, nie tylko sprawiedliwość chce, ale upokorzenie nasze, czyni to koniecznem: poganin ten jadowity, zmusił nas do pokoju, odebrał nam kraje, śmiał powagę cesarską nadwyrężyć i wstrząsnąć nią, to pomsty woła.

Arcybiskup wszystko co mówiono oczyma i ruchem ręki potwierdził.

— Niech Bóg niepamięta świętemu panu Ottonowi III — ozwał się w końcu — iż nie poznawszy się na zdrajcy umiłował go, wbił w pychę i dał mu oręż w ręce.

— Włóczęgi św. Maurycego! — westchnął Thietmar, nieoszacowany ów skarb, którego cudowna siła, dała temu psu wścieklemu zwycięstwo. Bo nie inaczej jest, nią on pokonał nas, człek nieprawości pełen, wszetecznością do szpiku zjedzony.

— Przyczynia się do tego — dodał ks. Petrek — z przekonaniem głębokiem, i zasługą świętego męczennika Adalberta, którego ciało wykupiwszy, czcią otoczył. To mu jest tarczą i włóczęgią.

Westchnęli.

— Z samych niebios przeciw nam czerpie oręż! — zawołał Thietmar — tak przebiegłym jest poganin ów.

— Nie można mu też zarzucić, aby wiary nie krzewił — dodał ks. Petrek — mnichów z Klunjaku sprowadzono siłą, a ciągle nowi płyną.

— I służą mu, jak ten lis opat tyniecki, niegodny sukni, którą nosi — rzekł Thietmar!

— Przewrotność go pobożnym czyni — wtrącił benedyktyn. — Boga mieć chce przeciw cesarstwu z sobą.

— Lecz runie przy pierwszej burzy, to gniazdo nieprawości — wołał Thietmar — a im wyżej je osadzono, tem haniebniejszym będzie upadek jego

Z kolei arcybiskup szepnął amen, a że się na siedzeniu swem, niecierpliwie trochę poruszył, poczęto myśleć o zamknięciu wyczerpanej narady.

— Śpieszne macie rozkazy do powrotu? — rzekł Gero — ażali nie byłoby lepiej zwlec z odpowiedzią, w niepewności go zostawić, aby innych ubocznych starań niedopuszczyć.

— Rada mędrca! — rzekł Thietmar. — Nie żebym stolicy apostolskiej, lub siedzącemu na niej mężnemu pogromcy Saracenów, Benedyktowi, wspólnemu ojcu naszemu — nwlaczał, lecz przez Tuskulan doń trafić mogą, zabiedz. Papież ucha może dać doradczom. Któż wie, ażali mu nie przysła korony, uwiedziony tem, że ją Otto III przyobiecał, że on będzie chytrze obiecywał cesarstwu podległość.

— Tak jest, czcigodniejszy pasterzu — tak jest — zwlec odpowiedź?

— Nie jabym się na to uskarżał — odezwał się ks. Petrek. Zaprawdę, nie ja, co się tu mogę modlić u grobu patrona mojego osobliwego, a napawać wonią tego, co go otacza. Słabe siły moje, lecz, ażali i te, gdy ich tam nie stanie, gdy straży i pilności zabraknie — nie dadzą im nowej mocy? Kto wie co oni tam pod niebtyność moją przedsiębrać mogą? co knuć tajemnego? a kżółto o tem doniesie gdzie należy?

— Słuszne co mówicie — odezwał się Gero — więc wszystko to rozważywszy na szali roztropności, odpowiedź wam damy w niedługim czasie.

To mówiąc pobłogosławił zgromadzenie, które powstało i ruszyli się z miejsc wszyscy. Milczenie panowało w izbie. Thietmar idąc u boku zwierzchnika towarzyszył mu do komnat wewnętrznych.

O. Emerard zabrał się też do wyjścia z wido-
czną radością, iż się narada skończyła.

Mnich benedyktyn pośepny się wysunął, dając
Bracia Zmartwychwstańcy T. II.

widzieć po sobie, iż choć więcej mówić nie śmiał, myślał wiele inaczej.

O. Emerard ujął pod rękę ks. Petrka i szepnął mu na ucho.

— Wszystko to sprawy poważne i wielkiej a największej wagi, aliści sprawa żołądka w człowieku śmiertelnym i ułomnym, do ostatnich się liczyć nie powinna. Z niego płyną siły, na chwałę Bożą się spotrzebowujące.

Tu pochylił się jeszcze bliżej ucha.

— Chodź — rzekł — wino mam, ofiarowane mi z Burgundyi, koronowanych ust godne, skosztujemy go, bo takiego u Bolesława pić nie będziesz. Ten słyszę w piwo wierzy i pogański swój miód.

— Który do pogardzenia nie jest — odpowiedział cicho ks. Petrek — znam takie, które z winem w zapasy iść mogą!

— A ja ich próbować nie chcę i nie myślę — zakończył wesoło o. Emerard.

I mówiąc, skłoniwszy głowę wszystkim do koła z ks. Petrkim razem wysunął się drzwiami bocznymi, przez korytarze ciemne kierując do celi, której wygodne siedzenie i cynowy ów kufel zdala mu się uśmiechały.

Gdy się to działo, a ks. Petrek z zupełnym spokojem dokonywał co zamierzył, w myśli się tylko przygotowując do powieści z jaką miał wystąpić gdy powróci — maluczki pisarzyna, człeczce pokorne i nieznaczne, wychowaniec kanclerza arcybiskupiego, braciszek Arnolf, gotował z wszystkiego co się tu działo, mówiło, co ks. Petrek wypowiadał, czem grozili inni — wierne sprawozdanie. Spisane na kawałku tak zwanego „pargaminu greckiego“ (papieru bawełnianego), wklejone w okładziny kodeksu przeznaczonego dla benedyktynów w Trzemesznie, miało ono przez własne ręce ks. Petrka, z nim razem jechać do opata tynieckiego. Mógłże chytry i przebiegły protonotarjusz nawet przypuścić, iż coś podobnego z dworu arcybi-

skupa wyjść, a jego rękę użyć za narzędzie się ośmieli, ku przestrodze królowi Bolesławowi?

Nad kufelkiem wina siedząc ks. Petrek, choć nie wtórował, ale się uśmiechał nucącemu cichutko o. Emerardowi, starożytną, bardzo wesołą piosenkę klasztorną.

„Bibit ille, bibit illa,
Bibit servus cum ancilla...
Bibit iste, bibit ille,
Bibunt centum, bibunt mille...“

(Pije tamten, tamta pije, pije sługa i służąca — pije jeden, pije drugi, i stu pije i tysiące).

VIII.

Chociaż się chwilowo pozbyto ks. Petrka, którego opat umiał wyprawić, nie ściągając królewskiego podejrzenia, obawa królowej Emnildy trwała ciągle, aby się jej pobożne kłamstwo nie wydało. Dochodziły ją zewsząd zatrważające wieści, iż o ocaleniu Jaksów mówiono wiele, że na dworze panowało przekonanie, iż uszli zagranicę.

Ciche te zrazu szepty z czasem się zwiększały, rozchodziły, nabierały coraz większego prawdopodobieństwa, bo je wiele ust głosiło. Wielu mówiło, że ich tam i ówdzie widziano, że o nich posłuchy miano, jakoby się na dwór węgierski schronili, inni że na Rusi przyjaciół znaleźli, co ich przechowywali.

Dochodziło to królowę ze wszech stron i trwożyła się święta pani, modląc a płacząc, gotowa się raczej już

przyznać do swojego przestępstwa, niż żyć w tej ciągłej trwodze i uczuciu przewinienia.

Napróżno opat i inni duchowni, którym się na spowiedzi zwierzyła, pocieszali ją i starali dowieść, że grzechu nie popełniła, że to był grzech ofiary i miłosierdzia. Święta niewiasta czuła się winną względem tego, któremu poprzysięgła wiare i posłuszeństwo.

Był to wiek obfity w tak pobożne jak Emnilda niewiasty; wpływ duchowieństwa, wychowanie, mnogie przykłady, podnosiły je na duchu. Wprawdzie Oda, Mieczysławowa żona druga, dała się uwieść z klasztoru i rzuciła życie zakonne, lecz i ona żalując później tego postępu, wróciła do zakonu po śmierci męża, a przebaczenia szukała w Rzymie.

Wśród ówczesnych pań, żon cesarzów, królów i książąt, przykłady świętobliwości są niezmiernie liczne. Wiele z nich buduje klasztory i zamyka się w nich, wiele prowadzi życie męczeńskie dobrowolnie. Mnóstwo takich niewiast pobożnych przypominają współczesne kroniki; cesarskiej krwi pań, które nędzę, chłód i głód znosiły, aby umartwić ciało, a duszę dźwignąć ku niebiosom, i umierały jak owa Elfryda i Irmingerda przy kościele Rotunda w Magdeburgu, uważane za błogosławione. Taką nam opisuje Thietmar, ową pustelnicę w Traubitz, nieporównanej pobożności niewiastę, która za czasów Ottona W. już była wyswataną w małżeństwo, a potem uszedłszy od niego, przez sześćdziesiąt cztery lata wytrwała w życiu najostrzejszem. „Przez ten przeciąg czasu — pisze kronikarz — nigdy się w zimę najtęszą przy ognisku nie ogrzała, a największym środkiem do rozcieplenia członków zdrętwiałych bywało, iż na ogrzanym trochę kamieniu krótko ręce i nogi pottrzymała. Wewnątrz swej celi trwała na nieustannej modlitwie, ze łyż rzesistemi, a napływający do niej lud nauczała i pocieszała. Nie zrzucała z siebie robactwa, które ją ciągle

obsiadało... nie korzystając z podarków, które lud jej znosił w ofierze, rozdawała je między ubogich...”

Na takie to przykłady zapatrywały się ówczesne królowe i starały się je naśladować. Emnilda szła w ślady innych wielu i była prawdziwą chrześcianką wśród dworu i otoczenia, które, mimo największej chęci dla wiary, ducha jej w sobie nie miały.

Życie jej, choć blask otaczał, było niemal ciągłą walką i męczeństwem. Patrzeć musiała na przekroczenia, których powstrzymać nie mogła, często milczeć i płakać, rzadko ośmielając się rzec słowo i błagać króla o naprawę złego.

Świątobliwość ją osamotniała, bo choć synowa równie się okazywała pobożną, więcej się już sprawy świeckimi zajmowała. Widywały się rzadko, wynurzały przed sobą rzadziej jeszcze.

Tylko usilna prośba opata mogła królowę powstrzymać od zawczesnego zdradzenia tajemnicy i przyznania się do winy.

Opat Aron, nie bez powodu przewidywał, iż król sam żałować będzie zbyt surowego wyroku, szczególnie z tego powodu, iż kara na Jaksów wyrzeczona odebrała mu cały zastęp sług wiernych, ród możny i spowinowacone z nim, które się od dworu i króla usuwały.

Bolesław już razy kilka bolał nad stratą, jaką ponosił. Dotkliwą ona była w chwili, gdy właśnie przyszedł tron synowski usiłował otoczyć silnemi podpory.

Wśród tej trwogi królowej Emnildy, baczna markgrafówna Oda, która i jej i Mieszkowej żonie Ryksie, i wszystkim, co jej na drodze do tronu stało, szkodzić się starała, rzuciła myślą na zapomnianego i odsuniętego Bezpryma.

Opowiadanie o wypadku w łaźni, które się rozeszło szybko po dworze, obudziło jej ciekawość razem i poddało myśl zbliżenia się do niego. Chciała mieć w nim na przypadek sprzymierzeńca. Czuła to do-

— Psy złe... juści... a kij od czego?...

— Znacie starego Ghezę?

— Kilka razyśmy się łajali... czemu nie...—mru-
czała stara. — Powiedźcie tylko czego chcecie, a już
reszta moją sprawą.

— Chcę, byście węgry starego do mnie przy-
słali, aby przyszedł potajemnie na rozmowę... Może
się jemu i panu zdam na co?...

To mówiąc rzuciła coś w fartuch Panisie, która
ręce podniosła i do ziemi dziękując przypadła. Po-
tem nie mówiąc nic, głową znak dała, że spełni roz-
kaz, i wyszła spiesźnie.

Panicha wszędzie się wcisnąć umiała; ludzie
choć ją podejrzewali o różne sprawy, wyśmiewali się
chętnie, szydzili z niej i to ich zabawiało. Tego sa-
mego dnia znalazła się w podwórku Bezpryma i pod-
ścianą usiadłszy na pieńku, udawała że drzemie. Naj-
rzeli ją pacholki i zaczęli krzyżeć, łajac i prze-
drzewając; odpowiadała im przekleństwa, żądając,
by jej spokojnie dali choć zasnąć, gdyż gdzieindziej
nie miała pokoju.

Udawała tak napół uśpioną, gdy nierychło Ghe-
za się przywłókł w brudnym kożuchu przez podwó-
rze. Najrzawszy go, posunęła się za nim od sieni.
Węgier się obawiał czarownicy i krzyknął, aby się do
niego nie zbliżała.

Ja z wami mówić muszę, nie dla was, dajby
was lichy gniołło—zawarczała baba — a dla waszego
królewicza. Jeśli go miłujecie, to mnie posłuchajcie.

Gheza stanął, wszakże zdaleka się trzymając.

Zwolna, nie chcąc podnosić głosu, zbliżyła się
Panicha ostrożnie.

— Staraj się, ty stary, dostać potajemnie do
markgrafównej... ona wam na biedę waszą radzić
chce. Rozumiesz? A panu Bogu i starej babie po-
dziękujcie, że wam to przyniosła.

Gheza nie zdawał się dobrze rozumieć, powtó-
rzyła inaczej toż samo Panicha, usiłując mu wpoić

przekonanie, że wiele na tem dla Bezpryma zależeć
może. Gheza stał jeszcze jakby odurzony, gdy stara
gniewna, że się nawet przybliżyć do niej nie chciał,
odeszła.

Od nieszczęścia, jakie go w łaźni spotkało, Bez-
prym jeszcze nie przyszedł do siebie. Wrzał zemstą
która mu niemal zmysły odejmowała. Rzadko na ła-
wie wyleżał, psy swe nogami kopał, po izbach latając
z pięściami zaciśnionymi. Gheza go nie hamował,
chcąc mu się dać wyburzyć.

Z poselstwem Panichy wchodząc, zastał go ja-
kimś wypadkiem, po wysiłku takim gniewnym, uśpio-
nego snem twardym na ławie.

Jeden z psów jego ulubionych siedział na straży
przy nim, głowę na nogach jego trzymając opartą.

Ghezą jak ten pies przysiadł cicho i sparty na
rękę, czekał też, aż się Bezprym obudził.

W godzinę może zerwał się z krzykiem i nie-
rychło opamiętał, obaczywszy wiernego sługę, który
mu kubek podał, aby się po śnie orzeźwił. Spalone
wargi przyłożył doń Bezprym chciwie i okiem mu
podziękował.

Legł zaraz znowu.

Gheza przysunął mu się do ucha.

— Słuchajciego dobrze, panie mój, co to ja
wam przynoszę. Słuchajcie a rozważcie... i mówcie,
co ja mam poczynąć?

Noszą tu jedną starą babę złe duchy po dwo-
rze... Czarownica to pewno... jedza zła. Przyszła
dziś do mnie z litościwem słowem (splunął stary) ja-
koby od markgrafównej Ody, abym się ja z nią sta-
rał widzieć, a ona tobie, królu ty mój a panie, coś
pomódz może.

Zerwał się Bezprym i siadł.

— Naprawdę?—spytał.

— Albożbym śmiał kłamać przed tobą, sokole
ty mój złoty?—z wyrzutem niemal odezwał się Ghe-
za—ja?...

Gheza pośpieszył do pana, aby jednego nie zapomnieć słowa i odnieść mu co nakazano.

U wieczerzy Oda się gotowała do rozmowy z królem, a ilekroć chciała jej, potrafiła zawsze uczynić jak postanowiła. Zwykle gdy do śpiewów przychodziła i płasów młodzieży, wychodziła któraś Emnilda; często i Ryksa szła za nią. Naówczas panowanie pięknej niemkiny się poczynalo. Śmiało czyniła, co się jej podobało, nie troszcząc co o tem nazajutrz mówić będą. Nie unikała króla, narzucała mu się i kilka razy dała publicznie chwycić i pocałować. Śmiechem przyjmowała to, wcale się nie sromając. Raz spadł jej wianuszek, co było jakby niedobrą przepowiednią, zdjęła go z ziemi i włożyła na głowę, nie zarumieniwszy się wcale.

Tego wieczora król patrzył zdala na płasy niewieście, nie było przy nim ze dworu nikogo, oprócz starego Sieciecha, który, gdzie się zabawiano, więcej córki pilnował, niż króla.

Przysunęła się więc Oda do Bolesława śmiało.

Oko jego padło na jej rękę i zdawało się ze zdumieniem wielkiem poznawać ów obręczyk złoty. Spojrzenie zrozumiała Oda i ręką potrząsała tak zręcznie, aby król się mógł dobrze klejnotowi przypatrzeć. Nie spytał jednak z kąd go miała.

Po chwili sama się, obręcz znowu nadstawiając, przysunęła do króla.

— Pamiętacie pewnie kolce te na ręku królowej Judyty? Otóż się ono mnie dostało. Syn królowej nie ma za co sprawić opończy i po matce klejnoty sprzedaje i mienia. Jak psa wyganiają go z łaźni, a ojciec milczy?

— Kto się wyganiać daje—zawołał król—ten wart, by go precz wyrzucano.

— Dziś sam i bezsilny, przyczai się, zmilczy, a co się namota na jutro! E! jutro dla Mieszka być może straszne. Nie trzeba drażnić i zająca, bo ugry-

zie. Wy robicie sobie, miłościwy panie z własnej krwi wrogów.

— Śmiała jesteś, że mi to mówić się wazysz!

— Dla czegobym milczeć miała? Kto dobrze życzy, ten prawdę mówi. Róbcie jak lepiej.

I pobiegła do dziewcząt, jakby ją to już nie obchodziło. Król ścigał ją oczyma długo i wkrótce wyszedł do sypialni. Sieciech go jak zwykle odprowadzał, Zyg też towarzyszył panu, to miaucząc jak kot, to burcząc jak pies, to skowycząc jak jakieś zwierze dzikie. Ale król ani się obejrzał na niego, milczący był.

Gdy domownicy odeszli na chwilę, Bolesław się ocknął.

— Sieciechu mój — odezwał się — nie słuszną wreszcie jest, aby ten grzesznik Bezprym gnił zamknięty. Nie chcę dlań uczynić wiele, ale nie mogę nic nie zrobić. Złość tylko w nim kipi — trzeba ich z Mieszkim pojednać i dać mu swobody więcej. Dzieckość to moje.

Sklonił się stary uradowany.

— Święte słowa twe, panie!—rzekł—ale je dawno rzec należało. Przebaczenie!

— Rzekłbym je był dawno, gdyby się one przydały na co—począł król. — Jak dawniej tak teraz nie z nich nie będzie. Bezpryma znam, zły jest a bezsilny, będzie pragnął wiele, a nie otrzyma nic.—Aliści sumienie uspokoić muszę. Przywieďte go jutro do mnie.

Sieciech zapytał o godzinę, król ranną wyznaczył.

— Kaźcie mu się odziać przystojnie, i niech Mieszko tu będzie razem.

Rozkaz królewski spełniał się zawsze ściśle, wnet więc z sypialni podążył Sieciech do królewicza Mieszka, który z Ryksą i kilku niemcami z jej dworu na rozmowie siedział jeszcze.

Gdy wolę ojcowską mu objawił, Mieszko się zerwał zaczerwieniony i zburzony, lecz żona go natych-

miast do opamiętania przywiodła kilku słowami, a ochmistrz wyszedł, spiesząc do Bezpryma.

Tu nadzwyczajne odwiedziny jego popłoch wzbudziły ogromny, a gdy nie oznajmując się, wszedł do izby Bezpryma, którego zastał w nędznej odzieży przed ogniem wyciągniętego na ziemi z psami razem, królewski syn ledwie oczom swym wierząc, długo nań patrzył nim powstał, aby posłuchać z czem przychodzi.

Sieciechowi żal było Bezpryma, jak wielu innym na dworze.

— Przychodzę do was, miłościwy panie od króla—rzekł—ze słowem dobrem.

Rozśmiał się Bezprym szydersko.

— Nie śmiecie się—mówił stary—król chce was jutro widzieć u siebie i z Mieszkim pojednać.

Krew uderzyła na twarz synowi Judyty—zerwał się z ziemi cały, wstając jak oparzony, psy za nim skoczyły przelekle, zaczynając warczeć i szczekać.

— Co król każe, spełnić się musi — spokojnie dodał Sieciech—a dla waszego dobra też tego potrzeba.—Otrzymacie więcej swobody, pewnie i inne jakie dobrodziejstwa. Serce królewskie poruszyło się dla was.

Myślał uśmiechając się drwiąco Bezprym — patrzył w ziemię, Sieciech ciągnął powoli.

— Ojcu potrzeba wiele zapomnieć. Któż wie, ażali on nie próbuje i nie doświadcza?

Bądźcie dobrej myśli — a jutro go nie drażnijcie słowami ostreimi. Weźmijcie co wam dadzą, aby po tem więcej otrzymać.

Skłonił się Sieciech i nie czekając odpowiedzi wyszedł natychmiast, w pierwszej izbie nakazawszy Ghezie, aby nazajutrz odział Bezpryma jak przystało i nie dał mu się nędznie stawieć przed królem, by gniewu jego nie budzić.

Całą niemal noc Bezprym chodził po swej izbie wrzący. Gheza siedział i uspokajał go, szeptał z sobą. Bezprym go odpychał, ten do kolan przypadał

godzili się i swarzyli jak niańka z dzieckiem. Pospali się wreszcie nadedniem, nie zmógłszy jeden drugiego.

Gdy nazajutrz nadeszła godzina naznaczona, Bezprym niemal gwałtem odziany w suknie najlepsze poszedł do sypialni Bolesława. Nie było tu nikogo, nie spieszył do niej Mieszek. Wszedłszy długo stał w progu syn Judyty, nim się rzucił do nóg królewskich. Spełnił tę powinność, lecz z widocznym chłodem i wstrętem. Bolesław nie odezwał się też, aż go u nóg zobaczył.

— Kazalem ci przyjść—rzekł—dość tej niewoli. Bądź mi posłuszny, a będzie ci z tem dobrze — zachwanych nieznoszę. Mieszkowi przeznaczone królestwo, wedle obyczaju słowiańskiego. Zresztą taka jest wola moja. I ty otrzymasz swą dzielnicę, krew ci moja w tobie płynie—ale przysiądź musisz posłuszeństwo.

Mieszko cię skrzywdził, zganiłem mu to, przyjdzie ci rękę podać. Nie masz się kryć jak wilk. Przychodź na dwór, jedź na łowy, idź na wojnę, ale bądź wiernym mnie i moim postanowieniom.

Bezprym milczał.

Król widocznie czekał odpowiedzi, po kilkakroć wyzywając do niej spojrzeniem.

— Mów—dodał.

— Nie mam co mówić—odparł Bezprym—uczyniony zostałem niewolnikiem, rab nie mam prawa ust otworzyć. Jam mówić zapomniał.

Zawrzał z gniewu król.

— Dość—zawołał—przebaczam ci to, a no mówię—dość! chcieli być cały. Dość. Nikt mnie nie ma prawa do rachunku pożywać, oprócz Boga! Milcz!

Bezprym chciał odejść.

— Stój.—Mieszko przyjdzie.

Nastało milczenie ciężkie. Niekiedy syn i ojciec mierzyli się oczyma. Mieszko nie nadchodził. Król Bolesław gniewnym już był na niego. Zawołał

komorników stojących u drzwi, aby go natychmiast przywiedziono.

Na ostatek usłyszano krok śpieszny i ciężki, wchodził Mieszko, przybrany z niemiecka, strojny, dumny. U drzwi stojącego brata potrącił, mijając i widzieć go nie chcąc—szedł królowi się pokłonić. Nieodpowiadając mu Bolesław wskazał Bezpryma.

— Skrzywdziłeś brata—rzekł—złeś uczynił, chce byćście żyli zgodnie. Podajcie sobie ręce — i niech to będzie zapomniane. Pierwszy teraz co się porwie na drugiego—przedemną odpowie, jakby nie był synem królewskim, ale prostym buntownikiem.

Zawahał się Mieszko idący do Bezpryma, który króku ku niemu od drzwi nie zrobił; lecz przystąpić doń musiał. Zacięte miał dumnie usta, drżał, słychać było oddech piersi ciężki. Na krok stanawszy od brata, zatrzymał się Mieszko, groźnie sobie w oczy popatrzała. Bezprym czekał błady jak chusta, ale z płomieniami w żrenicach. Król Bolesław każdy ruch ich śledzić zdawał z nadzwyczajnem zajęciem.

Zawołał na Mieszka.

— Rękę mu daj!

Dopiero gdy na ten rozkaz drżącą dłoń wysunął Mieszek, Bezprym wyciągnął ją także. Dotknęli się za ledwie i jakby w klamrę żelazną—Bezprym pochwycił rękę wyciągniętą do wrzekomej zgody. Oba nawzajem co mieli sił ścisnęli dłonie, a choć Mieszkowi z bólu krew uderzyła do twarzy, nie odezwał się, nie drgnął. Cisnął i on Bezpryma całą siłą gniewu, lecz podolać nie mógł. Gdy nareszcie rozerwał się uścisk braterski, Mieszko musiał schować rękę, gdyż krew ciekła mu z za paznogi.

Była to jakby zapowiedź przyszłości. Król Bolesław na ten raz nie żądał więcej. Mieszko mu się pokłonił i śpiesznie wyszedł z sypialni. Bezprym stał.

— Idź — odezwał się król — a bywaj codziennie u boku mojego i nie kryj się po dziurach, chcę cię widzieć.

Gdy Bezprym wyszedł, wstał król, oko jego padło przypadkiem na to miejsce, gdzie stali bracia jednając się z sobą. Na świeżo wymytej podłodze białej, pięć wielkich kropli krwi jeszcze nie zaschłej świeciło.

Wejrzenie Bolesława oderwać się od nich nie mogło. Zrozumiał on, co krew tę wycisnęło, lecz chciał odgadnąć z czyjej spłynęła ręki. Silnego potrzebował następcy, któryby nie krew z siebie dać sączyć, ale ją toczyć umiał.

Ani się dziwił król, iż gniew pałał w braciach i przemógł posłuszeństwo, chciał tylko pewności, który z nich silniejszy? A gdy w chwilę potem król wszedł do izby zastawionych stołów, gdzie nań oczekiwał zwykły tłum swoich i obcych, i ujrzał tam Mieszka przy żonie, Bezpryma wdali osamotnionego, nie poglądał im na twarze, szukał ich rąk, aby się przekonać, która z nich krwawą była...

Gdy Mieszko sięgnął do misy, zaczerniałe jego paznogie zdradziły tajemnicę.

Na dworze tego dnia wiele twarzy się rozjaśniło. Nie mówiąc nic tryumfowała Oda. Na rękę jej złoty błyszczał obręczyk, a w oczach jakaś radość zwycięzka, która strach obudziła. Patrzała na Bezpryma i zdawała się go pobudzać do mężnej walki. Królowa, która się dowiedziała zrana o nakazie królewskim podziękować mu przyszła za Bezpryma przypuszczenie do łaski. Ciężko na sercu to, że dla dziecięcia jej, cierpiał ktoś i bolał. Lżej teraz oddychała.

Król był w usposobieniu wesołym i rubasznym.

Pochwały, które zewsząd odbierał, bo i opat Aron zgodę uczynioną, jako wysoką mądrość pańską wynosił, czyniły mu przyjemność. Ludził się może tą nadzieją, iż z czasem dwaj bracia, ocierając się ciężko o siebie, zbliżą, poznają i przejednávają. Wierzone naówczas w siłę krwi i węzły tajemne którymi ona łączyła. W życiu jednak i obyczaju Bezpryma niewielka zaszła zmiana.

Zrazu ze swobodą wróconą mu nie wiedział prawie co począć, ciężyli mu ludzie, wśród których on, syn królewski stał na poślednim jakimś miejscu, zawsze jakby odepchnięty i wydziedziczony. Gdy Mieszko otaczał dwór świetny i liczny i nadsłuchiwanie tych, co sobie na przyszłość łaski jego zaskarbić pragnęli, do Bezpryma mało kto się przybliżyć jawnie ośmielił, aby nie być posądzonym o jakąś niechęć dla wybranego przez ojca następcę. Jedna Oda pierwszego dnia zaraz śmiało okiem i słowem jawnie zaczepiła Bezpryma, jakby naumyślnie, okazując mu współczucie na przekorę Ryksie, której widok tego, w kim nieprzyjaciela przeczuwała, niemal obawę obudził. Gdy po uczcie, wszyscy wyruszyli patrzeć na rycerskie zapasy, które się w podwórcach odbywały codziennie, Bezprym postawszy chwilę, wrócił do swojego dawnego mieszkania, aby rozmyśleć się, co miał poczynić.

Znalazł tam Ghezę, który z założonemi pod siebie nogami u ognia siedział. Na widok swojego wychowanka: wstał stary radując mu się, chociaż niespokojny też był o niego. Miłość dla królewicza w Ghezie rozwijała dziwne myśli, którym sam niemal się zdumiewał. Chciał mu koniecznie je wypowiedzieć, ale naprzód z niego dobyć coś o pierwszym posłuchaniu. Lękał się wybuchu. Począł naglić swego sokoła, aby mu opowiedział wszystko, co u króla było, jak się obeszło pojednanie z bratem. Bezprym nawykły do zwierzania się staremu piastunowi, nie skrył nic przed nim. Gdy przyszło do podania rąk, z uśmiechem wyznał, iż Mieszkowi do krwi palce zdusił. Zrazu Ghezę uradowało to, ale wnet głową potrząsł.

— Zlećcie uczynili—rzekł—żle, na co im pokazywać się? Wasza rzecz, sokole mój złoty, utaić dech, uczynić się pokornym, zrobić nawet ich sługą, aby się nie lękali, aby nie odgadli, ani co myślisz, ani co możesz.

— Tak mówił po chwili — widząc, że Bezprym

śłucha go z uwagą. Kogo się oni boją, temu albo oczy wylupić każą, albo go strzelać nie minie. Ty, panie mój, musisz się stać pokornym, schodzić im z drogi, a nie pokazać nawet, że ci się chce czego więcej nad to co masz.

Mieszkowi się kłaniaj, królowi ojcu dziękuj, niech sobie powiedzą: Bezpryma nie ma się czego obawiać, dopiero będzie dobrze.

Śluchał sparszszy się na stole Bezprym.

— A pókiś ja się tak mam dusić w sobie?? — zapytał.

— Póki? aż sobie druhów nie znajdziecie i dróg nie obmyślicie.

— Druhów? — rozśmiał się Bezprym — a cóżem? siły nie mam, łaski też i złota im nie dam.

— Alhoż to Mieszko nie ma wrogów? — począł Gheza — a kto jemu wrogiem, ten będzie wam przyjacielem. Powoli, sokole złoty, powoli i bacznie. Ja człowiek prosty i głupi, a no tu przemocą nic nie zrobi, chytróści trzeba

Uściskał jego nogi.

— Radzisz dobrze—odezwał się Bezprym—śluchać cię muszę, choć się we mnie warzy i burzy. Zle się stało, żem mu rękę zdusił, a no mi kłamać ciężko.

— Co kiedy trzeba, aby życie obronić? — rzekł gorąco Gheza.—Komu to miło gębę sobie walać kłammem i giąć się, gdy się chce uderzyć? Inaczej zemsty nie będzie.

Zbliżył się i stanął nad siedzącym, mówiąc coraz żywiej, jakby go coś natchnęło.

— Ty jeszcze tu będziesz kiedyś królował, synu Judyty, ty zawładniesz tą ziemią i pomścisz się niewoli swojej, tylko teraz zacierp. Ani patrz na to, co oni wyprawują, aby nie pomyśleli, że im zazdrościsz. Weźmij psy i sokoły; idźmy w las. W lesie różni się ludzie spotykają i tacy, co nie bardzo ich kochają, a co nas za to polubić mogą. W puszczech i na uroczyskach różna gawiedź, co się nam przydać może.

Niech, myślą, że my tylko na niedźwiedzie polujemy, upolujemy może i lepszego zwierza. Znajdzie się, znajdzie.

Gdy Gheza tak prawił wychowankowi rady, które mu się dlań najzabawienniejszymi wydawały, Bezprym słuchał, to się rzucając, to uśmiechając im na przemiany. Radowało go, że Gheza tak marzył o przyszłości świetnej i widział ją możliwą. Czuł, że tą drogą może najłatwiej dojść do niej będzie, i choć nie odpowiedział mu wyraźnie, do serca wziął radę Ghezy.

Stary chciał z niego wydobyć co myśli, aby się przekonać, iż się z nim godzi, lecz Bezprym nie był łatwym do słowa, oczyma w nim czytać musiał tylko. Zostawało mu zawsze trochę niepewności, i dłużej męczył wychowanka namowy swemi, ściskając mu kolana, powtarzając ciągle jedno, aby wrazić w myśl koniecznie, co na sercu leżało. Późno ledwie w noc skończyły się te nalegania, gdy znużony Bezprym rzekł wreszcie:

— Nie bój się stary, zataję się i zaczaję, zobaczysz, nie poznają się na mnie, a gdy kto ciebie o mnie pytać będzie...

Ghezie oczy się zaśmiały.

— Dowie się tego co potrzebaj — rzekł krótko. energicznym ruchem ręki popierając słowo.

IX.

Miało się już ku wiosnie, a choć ją w powietrzu czuć było, pora w istocie najprzykrejsza w roku się poczyniała, walka ustępującej niechętnie zimy,

ze słońcem i ciepłem, które się ustalić nie mogło. Śniegi leżały po lasach, zalegały parowy, rzekami płynąć kry zaczynały, ziemia miejscami, rozmarzła, a w cieniu ukryta była jeszcze lodu skorupa.

Jeden dzień przynosił z sobą wiosnę i cuda czynił, wskrzeszając zmarłe rośliny i odrętwiałe drzewa, drugi wracał z zimą, śronem i mrozem, sypał śniegiem i zabijał chłodem. Jak dwaj zapaśnicy walczyli z sobą lód i ciepło, śmierć i życie, zwątpienie i nadzieja.

Na łąkach najwytrwalsza trawa, zaczynała zielenić i rosnać, dobywała się z pod skorup zamrożonych, wytykała ze śniegu, starsze drzewa stały głuche, ledwie ważąc na pączki. Gdziekolwiek loży okryły się kotkami bujno; wczesna wierzba pękała — ale na niebie więcej było obłoków szarych niż słońca.

Rzadko kto w tej porze puszczał się w drogę, chyba gwałtowna pędziła go potrzeba. Rzeki wzbiegały i trudne były do przebycia, gdzie zamróz zszedł tam grzęzły konie w nieprzebytem błocie, na resztkach lodu ślizgo było i niebezpiecznie. Czekali wszyscy, aby wody kry uniosły, ziemia wilgoć wypila — i słońce wysuszyło drogi. Ks. Petrek jednak, niespokojny o to co się tam bez niego działo nad Cybiną, z poleceniami różnemi, wyruszył właśnie w tej porze z powrotem. Po kilkakroć wstrzymywały go rozlane rzeki, parę razy przeprowiać się musiał z niebezpieczeństwem życia, ale gorliwość niezmierna i wiara gorąca pędziły go do celu i dodawały męstwa.

Jechał nie zważając na to, że konia już jednego utracił, i że dodany poczet odradzał pośpiech a ostrożnym być radził. Był pewien ks. Protonotaryusz, że godnym się czując osobliwej łaski niebios i opieki, mieć je będzie za sobą.

W najgorszych razach modlił się, a że miał ofiarowane mu przez o. kanclerza relikwie świętych przywiezione z Rzymu, ufając im — nie lękał się żadnej przygody. Choć zwolna więc posuwał się ku gra-

nicy, i na ostatek przejechałszy ją, jeszcze silniejszą uczuł gorączkę pośpiechu, aby znowu znaleźć się w swej celi i na straży pilnej około króla, ku któremu pobyt w Magdeburgu, jeszcze większą natchnął go nienawiścią. W myśli swej układając co i jak powie opatowi, zdając z poselstwa sprawę—minawszy rubież, na pierwszy nocleg zmuszony był stanąć na pustkowiu i skraju lasu, bo nigdzie szopy, ani osady do koła nie było.

Ludzie już mieli szalas kleić dla niego i miejsca suchego szukali tylko, gdy jeden z nich puściwszy się dalej trochę, nadbiegł dać znać, iż niedaleko było obozowisko oddziału wojska Bolesławowskiego, i że bezpieczniejsze było a weselej do niego się przyłączyć.

Ks. Petrek rad się czegoś dowiedzieć zawsze, zwłaszcza po dłuższej niebytności w domu, zgodził się na to chętnie.

Oddział pancerników z trochę piechoty, wyprawiony był przeciwko lutykom, którzy często dopuszczali się grabieży nad granicami. Doniesiono królowi właśnie przez szpiegów, iż zamierzali wtargnąć, a król przybyłego na dwór Jaśka z Tęczyna, który mu się jak na łowy, na tę wyprawę prosił—wysłał, aby dać poganom naukę. Byli oni acz poganie, sprzymierzeńcami cesarskimi i płatnemi jego pomocnikami, zbójce-ką szajką, śmiałą i okrutną a dokuczliwą.

Jaśko z Tęczyna radował się temu wielce, iż się z mężstwem i przebiegłością popisie, więc choć mu kraj był obcy, dobrał sobie ludzi, opatrzył położenie, i stał już parę dni na zasadzce. Tem oczekiwaniem zmęczeni ludzie i on ucieszyli się bardzo, gdy na wieczór swoich zobaczyli, powracających zdala... Jaśko szczególnie księdzu był rad, a że namiot miał już rozbity i wszystkiego poddostatkami, pisarza pokornie do siebie jął prosić, ręce jego całując.

Nie znał ks. Petrek Jaśka, choć o nim słyszał

i rodzie jego, ten zaś tylko tyle wiedział o protonotaryuszu z pierwszych jego słów, iż poufałym był opata Arona, i przez króla używanym do spraw ważnych. Samo poselstwo, o którym zaraz nadmieniał, wysokie dało Jaśkowi wyobrażenie o człowieku, którego u siebie przyjmował.

Cześć mu więc wyrządzał największą. Zeszła się inna starszyzna do namiotu, która ks. Petrka znała i widywała w Poznaniu, i wszyscy nader ciekawie wypytywać zaczęli o podróż i o to, co w Niemczech i u cesarza słychać było.

Wiedział przebiegły ks. Petrek, czem mu tu być należało, co mówić i jakie okazywać usposobienie... Nie kosztowało go to, bo zawsze mówił sobie, iż czynił wszystko na chwałę bożą. Przed wojakami króla inaczej jak nieprzyjacielem cesarstwa i Niemców okazywać się nie mógł.

Słuchano go nie bez wielkiego podziwu nad rozumem i pobożnością, jaką okazywał. Gromadka starszych jednak wkrótce się z namiotu rozeszła, bo wieczór był późny, a Jaśko własne posłanie żołnierskie ustąpiwszy księdzu, sam nieopodal siodło i skórę sobie podłożywszy, legł także do spoczynku.

Ks. Petrek modlitwy dokończywszy, widząc, że Jaśko nie śpi jeszcze, a czaty za chwilę ma obchodzić, sam też do snu nie śpieszył i zagaił znowu rozmowę, pytając coby na dworze słychać było.

Jaśko nie długo tam bawił, bo zaledwie przybywszy, korzystał z wyprawy, aby się do niej przyłączyć, wiedział jednak, iż król Bezpryma do większych łask przypuścił, i że to powszechnie wpływowi pięknej Ody przypisywano, która się nad losem pogńe-bionego ulitowała.

Wiadomość ta mocno zajmować się zdawała ks. Petrka, dopytywać zaczął pilno o inne wieści.

Przed Jaśkiem nie inaczej się malował, tylko jako pokorny sługa opata Arona, posiadający całe jego zaufanie!

Wybadawszy o Bezpryma wtrącił wnet ubolewawnie nad tem, iż pokrewni Jaksów i cała rodzina tak się od króla usuwała...

Mówiąc to czy z umysłu, aby wypróbować Jaśka, czy przypadkiem, ks. Petrek odezwał się dwuznacznie, iż tem gorzej czynili, gdy — jak powszechnie i nie bez przyczyny utrzymywano — Jaksowie straceni nie zostali, a do czasu się przechowywali.

Usłyszawszy to Jaśko, a pewnym już będąc, iż ks. jest do tajemnicy przypuszczonym, rozśmiał się głośno i znacząco. Uderzyło to ks. Petrka.

— I wy tak sądziecie? — odezwał się, podnosząc z posłania głowę.

— A jakżebym inaczej mógł — odparł Jaśko — kiedy ja ich na własne oczy oglądał i mówiłem z nimi.

Ks. Petrek palec położył na ustach dając mu znak milczenia.

— Juścić wiem przed kim to mówię — ozwał się Jaśko, bo bym tajemnicy ich nigdy w świecie nie zdradził.

Wam przecie nie tajno co opat czyni, a on ich wyswobodziwszy wysłał do Tyńca, gdzie do czasu, prawdziwą pokutę odsiadują, boć rycerzowi klasztor ciężka to rzecz...

Gdyby nie mrok w namiocie byłby może poznał sam nieopatrzny Jaśko, jaką radością napelnił serce ks. Petrka, czyniąc przed nim to zwierzenie, tak dla niego pożądane. To, czego na żaden sposób nigdzie pochwycić nie mógł, mimo całej przebiegłości swojej ks. Petrek, łaćno mu teraz, niespodzianie wpadło w ucho... Miał to za cud opatrności...

Nie dając znać po sobie, jał rozpytywać ostrożnie, co i jak sobie poczynali Jaksowie.

— Nudzą się srodze biedni, iż litość nad niemi bierze — odezwał się Jaśko z Tęczyna. Choć naprawdę nie powinni by się za klasztorem ukazywać, wyprosili się u przeora, że im choć do lasu trochę dozwolił wy-

biedz. Tam dzik podciął nogi koniowi młodszego i mój stryj, zapamiętały poganin naskoczył na nich, gdy właśnie dobijali zwierza.

Wziął ich z sobą w gościnę, a tam i ja się z niemi zetknąłem, czemu zrazu nie radzi byli, bo się srodze lękają, by ich kto nie zdradził.

— I słusznie to czynią — dodał ks. Petrek — nie o ich tylko skórę idzie, ale o tych co ją ocalili, król pan nasz miłościwy, jak łaskaw jest, i szczodry dla tych co mu służą wiernie, tak nieubłagany dla nieposłusznych. A na Jaksów był mocno zażalonym i gniewnym, więcby też i tym, co mu zemstę jego wychwycili, łaskaw nie był.

Tak wydobywszy z Jaśka co się tylko dało, rad niezmiernie układał się ks. Petrek, osobiwszą modlitwą dziękując świętym pańskim, których relikwie wioził z sobą — iż mu tak ważną odkryli tajemnicę.

Zaledwie usypiać poczęli, gdy od granicy wystany człek nadbiegł zwiastując, że lutyce stali nad rzeką, i nazajutrz się dodnia przeprawiać myśleli. — Nie zważali oni na to, iż lada chwilę lody musiały prysnąć i odwrót im przeciąć, a chcieli korzystać z tego, że w tem miejscu osłonięciem, jeszcze się kry nie ruszyły. Musiał Jaśko niedospawszy natychmiast ruszać przeciwko lutykom, tak aby ich u brzegu pochwycić, i pobić nimby wtargnęli.

Ks. Petrek też wstał, bo i jemu pilno było, i tak rana nie doczekawszy, rozjechali się. Jaśko prosił dla siebie i oddziału o błogosławieństwo, którego ks. protonotaryusz odmówić nie mógł.

Gdy pancernicy odciągali ochoczo i śpiesznie z obozowiska, ksiądz ze swoją garstką ruszył do Poznania, z sercem rozradowanem, przemyślając tylko nad tem, jak z tajemnicy skorzysta.

Zdało mu się, iż królowi zaskarżyć ani opata, ani tych co mu pomagali nie było bezpiecznie; pierwsza próba go o tem przekonała, postanowił więc na inny sposób spożytkować wiadomość, okazując opato-

wi Aronowi, jak niesprawiedliwie krył się przed nim, zamiast ufać mu całkowicie i na pomoc przyzywać. Tajemnica ta mogła być bronią w ręku jego, dla otrzymania od Arona — co najmniej jakiego daru królewskiego! Chociaż ks. Petrek sam dla siebie potrzebował mało, cenił jednak nabytek, bo umiał go na cel, do którego dążył używać.

Z temi myślami, po ciężkiej podróży, która, choć w znajomym kraju, łatwo nie poszła, dla roztopów okrutnych — dojechał naostatek ks. pisarz do Poznania, a stanąwszy u drzwi swej celi gdzie go zaraz Harno przyszedł powitać... Bogu podziękował, że go szczęśliwie doprowadził.

Spytał natychmiast o opata, i oznajmiono mu, iż na dworze się znajdował. Wnet też ktoś pobiegł z wieścią o powrocie.

Ks. Petrek nie miał jeszcze czasu sukni zrzuć podróżnej, gdy opat Aron we drzwiach się ukazał.

Podbiegł ku niemu, z przyklęnięciem witając go, jakby nadzwyczaj przejęty i poruszony ks. pisarz.

— Śpiesznie się przedziać — bo król czekać nie lubi, a już wie o powrocie waszym, i wnet się przed nim stawić musicie. Ja nie pytam was o nic — posłyszę co przyniesiecie przed króla.

Westchnął ks. Petrek...

— Czcinajgodniejszy panie — rzekł — nieszczęśliwe to było owo poselstwo moje — zawczasu wiedziałem o tem, iż nie sprawię nic — przecie posłuszny jechać musiałem, wypić ten kielich goryczy...

— Z niczem was odprawiono? — odezwał się opat ..

Ks. Petrek ręce rozwarł szeroko.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł — półgębkiem mi obietnice czyniono, bom nalegał mocno — a czy onym przyrzeczeniom ufać można — cóż ja wiem?

Jeszcze stał opat, gdy drugi posłaniec nadbiegł od króla, ks. Petrka wzywający natychmiast przed niego...

Opat wyprzedził posła.

Król siedział sam za stołem w izbie, którą radną zwano. Była ona przeznaczoną na zwoływane rady dwunastu wojewodów pańskich.

Na ścianach jej wisiały dwanaście malowanych tarczy, i dwanaście siedzeń rzeźbionych z drzewa miśternie stały dokoła stołu. Największe purpurą okryte dla króla było przeznaczone, nad którym też i tarcza złocista i dwa wielkie miecze zawieszane były.

Gdy się otwarły drzwi i wszedł opat, podniósł król głowę, badając go oczyma. Aron przystąpił aż do ucha pańskiego i po cichu szybko mówić coś począł, jakby chciał ostrzedz i przypomnieć. Skinął Bolesław nań, że go zrozumiał.

Gdy wszedł ks. Petrek, opat stał już opodal i patrzył przez rozłworzoną okiennicę...

Król pobożnie z uszanowaniem ks. Petrka przywitał...

— Mówcie bez ogródki, co wieciecie z sobą — zawołał król — miodu dla osłodzenia piólu nie potrzebuję... Cóż Geron?

— Najmiłościwszy panie — odezwał się ks. Petrek. — Zrazu i mnie i miłości waszej prośbę przyjęto nie łaskawie. Pracowałem nad tem, aby wielkie ztąd dla kościoła i cesarstwa korzyści okazać, jeżeli nie przekonał i nie nawrócił, winą w tem nie moja. Wymogłem tyle, iż mi przyrzeczono wstawienie się do cesarza, uroczyscie... lecz arcybiskup za skutek jego nie poręcza...

— Byleby uczynił co przyrzekł — odezwał się król...

Tu począł dopytywać o cesarza i pobożną Kunegundę małżonkę jego, o innych powinowatych cesarza i duków a markgrafów, których ks. Petrek mógł widzieć w Magdeburgu, o Guncelina przyrodniego brata swego, wreszcie o wiadomości z Włoch i zwycięztwa nad saracenami i t. p.

Ks. Petrek rad, że rozmowa się na ten tor zwróciła...

ciła, obszernie rozciągać się począł, szczególnie nad potęgą cesarza, i świątobliwością czystego jego żywota, która go zawczasu w poczet błogosławionych zaliczać dozwalała... Nie zapomniał o tem, iż owo jabłko, którem papież Benedykt go obdarzył, Henryk złożył Bogu na ofiarę, do kościoła w Klunjaku.

Trwało opowiadanie dość długo, poczem Bolesław łaskę swą ks. Petrkowi za jego trudy przyrzekając, dla spoczynku go odprawił.

Ks. pisarz jednak, acz znużony, nie pomyślał o nim tak rychło... Wnet pozwać kazał do siebie Harna, i badał długo, aby niebytność nagrodzić, a wieści ze dworu pochwycić. Najpilniej popytywał o Bezpryma, jakby się on teraz znajdował i co czynił.

Zaświadczył Harno, iż rad ze swobody, Bezprym najwięcej myślał o łowach, o niewiastach też—zresztą Mieszka unikał, pokornym wcale był, i nie zdawał się niczego więcej pragnąć, nad to, by młodości w zamknięciu nie zmarnować.

I nie dumnym jest jak Mieszko — dodał Harno—przystęp do niego łatwy, rozmowa ludzka... Ludzie tylko mówią, że rozumu niewiele. Rzadko na zamku gości, byle z łowów powrócił, wnet się znowu w lasy wybiera. Szczególniej ze ptaki jeździć lubi.

Takim się w istocie Bezprym wszystkim wydawał...

Nazajutrz ks. Petrek do domu poszedł rano pozdrowić znajomych, przy tej zręczności upatrując, ażali tam i opata w celi, którą często dla nabożeństwa zajmował, nie zastanie. Chciał się dowiedzieć, ażali pod jego niebytność, ten, który go z Trzemeszna miał zastępować, sporządzał pismo jakie.

Kodeks też ów, dla opata przysłany niósł z sobą. Aron, owego zastępcę pisarza, choć był pewien, iż z niczem się, ostrożnym będąc, nie wymówi — tegoż rana, pod pozorem potrzeby klasztoru, nazad odprawił. Z kodeksem, który przyniósł, w ręku ks. Petrek wsunął się do celi. Zobaczywszy go uradowany Aron,

natychmiast pochwycił skarb drogi. Wiedział dobrze, co on powinien był zawierać. Dziękował ks. pisarzowi, iż mu w całości dowiózł tak pożądany nabytek.

— To podobno—odezwał się ks. Petrek — najpiękniejszy owoc mojej podróży... niewiele mam nadziei, aby u Gerona prośby nasze skutkowały...

I okiem bystrem rzuciwszy na Arona, badając go dodał.

— Zamiast pomocy używać cesarskiej, tajemniczy cesarza pominąć i wprost do Rzymu trafić należało. Któż wie, czyby się ku temu drogi i środki nie znalazły... Walka z saracenami wypróżni skarbiec Ojca świętego, zdałoby się złoto...

Aron spojrzał i potrząsł głową.

— Nie, mój ojcze—rzekł — wyminąć cesarza nam niepodobna, ani czujność jego uspić... tego się ani spodziewam, ani ludzi bym się tem nie radził.

Jeszcze kilka słów wtrąciwszy, ks. Petrek jakby sobie coś przypomniał, zbliżył się do opata i uniżenie w rękę go pocałowawszy, szepnął.

— Czcinajgodniejszy panie, żał mam do was...

— Do mnie?

— Tak jest, żał w tej sprawie Jaksów, z której dla mnie uczyniliście tajemnicę, jak gdybym ja, stary, wierny, pokorny wasz sługa, na żadne nie zasługiwał zaufanie.

Opat chciał przerwać, ksiądz Petrek podchwycił żywo.

— Przecież wiem o wszystkim dobrze, tak jak o tem i innych wielu wie, że do Tyńca wysłani zostali przez przewielebność waszą...

Opat Aron, mimo obawy, jaką go ogarnęła, nie okazał nic po sobie. Wzrokiem zimnym przeszył mówiącego.

— Mój ojcze — odparł spokojnie — ja własne tajemnice zwierzam wam chętnie, ale cudzych nikomu.

To mówiąc cofnął się nieco opat i dodał poeichu.

— Rozumiecie mnie? i na tem koniec niech będzie.

Ks. Petrek, którego znowu nadzieja zawiodła, zamilczał. Opat wziął w rękę przywieziony kodeks, zdawał mu się przypatrywać chwilę, od niechęcenia po chwili wtrącając.

— Niestety to jest ta grzeszna ciekawość ludzka, która wszędzie się wcisnąć pragnie, oprócz zakątków własnego sumienia... nieszczęście to jest ten niespokojny język ludzki, który się utrzymać w mierze nie umie, oprócz gdy własne grzechy wyznaje... Więc ta wiadomość o Jaksach tak jest już rozpowszechniona?

— Niestety!—odezwał się ks. Petrek.

— Zkądże do was ona doszła? — badał opat, ciągle się kodeksowi przypatrując.

— Waszej przewielebności tać tego nie będę... W podróży spotkałem oddział pancerników królewskich—mówił protonotaryusz—jednym z jego oddziałów dowódcą był Jaśko z Tęczyna a ten na własne ich widział oczy. Znać się wcale nie wystrzegają, bo się z nim kędyś na łowach spotkali.

Oburzony opat wzdrygnął się i nie rzekł już ani słowa. Ks. Petrek wyczekawszy miał odchodzić, gdy mu szepnął.

— Proszę was, nie powtarzajcie tego przed cza-sem. Wszystko się to da Bóg inaczej skończy, niż ludzie sądzą... ale chwila jeszcze nie przyszła...

Więcej nie dodał opat i odprawił pisarza, zaraz po jego wyjściu ryglując celę ze środka. Wiadomo mu było, że nadesłany kodeks w okładce zawierał wiadomość o postępowaniu, mowach i pobycie ks. Petrka w Magdeburgu. Rozciął więc wewnątrz okładziny i wydobyl z nich ów kawałek „greckiego pergaminu“, na którym drobnem pismem stała relacya pożądana i natychmiast odczytywać ją zaczął.

Chociaż znał dobrze księdza protonotaryusza, nie spodziewał się, aby on tak jawnie przeciw królowi

śmiał występować i do rad przeciwko niemu należeć. Oburzył się czytając, westchnął — lecz cel był osiągnięty. Arcybiskup mógł się ludzi, iż innemi drogami o koronę Bolesław się starać nie będzie.

Do myślenia też dawała wieść przywieziona o rozgłoszonem ocaleniu Jaksów, które spokojności królowej zagrażać mogło. Z tego stanu niepewności wyjść było potrzeba.

Pobożny opat westchnął, szukając w myśli środka jakimby mógł przyspieszyć rozwiązanie, wyprasząc łaskę dla Jaksów a przebaczenie dla świątobliwej pani, co im ocaliła życie. Zdawało się to możliwem, gdyż król Bolesław nie jeden już raz zwierzał się opatowi, iż mu odstąpienie od dworu tylu rodzin i tylu mężów do rady i oręża potrzebnych srodcę ciążyło. To uchylenie się wszystkich, choćby najdalej spokrewnionych z Jaksami, codzien się zwiększało i zaraźliwem stawało, nawet ci którzy zrazu królowi pozostali wiernymi, pociągnięci później przez blizkich i powinowatych, znikli i przestali przybywać do Poznania. Król w czasie uroczystości, świąt i niemal ciągle lubił gromadne otoczenie, dwór tłumny i świetny. Wprawiało go to w najgorsze usposobienie, gdy dnia którego puściej było na grodzie, gdy nowych ciągle nie widział twarzy, nie miał kogo obdarzać i z kim rozprawiać o wojnach i zwycięztwach.

Napływ do Poznania zawsze był znaczny, lecz brakło mu właśnie tych twarzy znajomych, do których był nawykł, co mu przypominały wyprawy ruskie, boje z niemcami, Kijów i Budziszyn, a choćby nawet Pragę. Około stołu radnego miejsce kilka było opróżnionych, bo ci co je zajmowali, nie przybywali tłumaczyć się na różne sposoby. Król nie chciał im naznaczać zastępców, bo się zawsze tem ludzi, że starzy do niego powrócą.

Do trosk opata przybyła nowa, gdy się tegoż dnia dowiedział, iż grecka niewolnica, którą Jaks był wywiózł z Kijowa, wzięta na dwór królowej, na-

gle znikła. Ucieczka jej była wprawdzie niewytłomaczona, gdyż z pytań i śledzeń się okazało, że przebrana sama jedna uszła, Sieciechówna, do której w ostatnich czasach zbliżyła i pokochała ją, ojcu wyznać miała, jakoby Antonina dowiedziała się od kogoś o ocaleniu Jaksów i poszła przebrana po mężku szukać nieszczęśliwego Andruszki, aby mu służyć teraz gdy był nieszczęśliwym i nikogo do usług swych nie miał. Dowiedziawszy się o tem od starego Sieciecha, tem strwożył się opat, widząc jak tajemnica była już rozgłoszoną i powszechnie znaną.

Zdało mu się koniecznem naradzić z królową Emnildą, niewyjaśniając jej wszakże obawy swojej. Ucieczka Antonii była dostatecznym pozorem.

Dnie królowej upływały całe niemal na modlitwie i dobrych uczynkach. Zmuszona pokazywać się na dworze, trwała tylko na nim tak długo, jak mąż wymagał, śpiesząc do swojej kaplicy, do tumu, lub do ubogich, których karmiła i okrywała. U drzwi jej przez cały niemal dzień cisnęły się gromady, najbardziej potrzebujących, dla których zastawiano stoły, rozdawano im odzież, darzono wszelaką jałmużną. Korzystali z tego i ci, co nie bardzo byli głodni pomocy, lecz byle się kto umiał przeżegnać, miał prawo do miłosierdzia. Zwykle kapłan przy tem lub sama królowa nauczali modlitwy pańskiej, dziesięciorga przykazań i najgłówniejszych wiary artykułów. Nie tylko w Polsce, ale w Niemczech, długo po przyjęciu wiary chrześcijańskiej lud zaledwie zewnętrznie jej znał cechy, powoli musiała ona wnikać w oddalone zakątki, tam zwłaszcza, gdzie kościołów i klasztorów brakło. Królowa więc też nieustannie apostołować musiała, a dobroczynność połączona z apostołstwem była najlepszym środkiem nawracania.

Nadchodzący opat znalazł królową Emnildę, jak zwykle otoczoną ubogimi i odmawiającą dla nich modlitwy, które oni za nią powtarzali. Poprzedzało to zawsze rozdawanie pokarmów, napojów, krzyżyków

i szat jako widomych znaków przyjęcia do chrześcijańskiego społeczeństwa. Ujrawszy opata Arona, zwróciła starszej niewieście rozdzielenie jałmużny, a sama weszła z nim do swej komnaty.

— Miłościwa pani — rzekł opat wchodząc — dowiedziałem się o ucieczce greczyнки Antonii. Ludzie mówią, że poszła szukać Jaksy przez przywiązanie do niego, zatem, że się o jego ocaleniu dowiedziała... Tajemnica się nie daje utrzymać...

— Posądzam Teodorę — szepnęła królowa — że ona pocieszając ją, mogła nieostrożnem słowem się zdradzić.

— Toby jeszcze było najmniejszym złem — rzekł opat Aron — lękam się, by i więcej ludzi nie domyślało się.

— Mój ojczu, a gdyby się domyślali?...

— Królby się mógł dowiedzieć...

— A gdyby się dowiedział? — powtórzyła królowa z rezygnacją — niech się dzieje wola Boża... Nie ma tu nikogo winnego oprócz mnie, a ja na karę wszelką jestem gotową i w sumieniu spokojną...

Sklonił się opat.

— Miłościwa pani... miłościwa pani — odezwał się — inaczej radzić trzeba... tak, by król wdzięczny ci był a nie gniewny, ażeby za dobry uczynek dziękował a nie karał!... Do tego, zda mi się, przyprowadzimy go, gdyż codziennie mu Jaksów żal więcej...

— Cóż czynić radzicie? — spytała Emnilda.

— To co i ja sam codziennie czynię i czynię nie przestanę — mówił opat Aron — wspominać mu Jaksów, budzić po nich ból i żal, dzielność ich i wierność chwalić, utyskiwać, żeśmy tak pożyteczną dla pana naszego stracili siłę...

Nie śmiem... drzę, gdy ich wspomni kto... — przebaknęła królowa — spuszczałam oczy, by mego kłamstwa nie wydały...

— Król sam — dokończył opat — często teraz ich wspomina, więc tylko mu potakiwać...

Bracia Zmartwychwstańcy T. II.

Zmilkiała pobożna pani.

Tymczasem jak się to często zdarza, że złym szyki mięsza niewidzialna ręka... tego, czego uczynić nie chciała królowa, podjęła się Oda, z zamiarem szkolenia tej, której miejsce tak jej zająć było pilno.

Ułyszawszy o ucieczce Antonii i o domniemanych jej powodach, tegoż dnia przy biesiadzie głośno poczęła przy królu mówić o Jaksach z oczu nie spuszczać królowej.

Wzdrygnęła się i zarumieniła Emnilda. Opat podchwycił zaraz występując z żalem i pochwałami dla rycerzy. Królowa ośmielona rzuciła słówko.

Przy stole pańskim nie było nikogo z obcych. Sieciech stał tylko, siedział Mieszek i Ryksa. Reszta dworu przy osobnych stołach głośno się zabawiła. Gdy się mowa rozpoczęła o Jaksach, nachmurzona twarz króla zaszepiła się zaraz, okiem potoczył dookoła. Słuchał, nie mówiąc nic, długo. Gdy się już prawie nie spodziewano, by się o nich miał odezwać, potrząsł głową, począł półgłosem.

— Nie ma dnia, ażebym ja sam nad losem Jaksów nie bolał... żebym nie przypominał, jacy byli rycerze dzielni a mnie wierni słudzy... Straciłem ich... niedosyć na tem, tracę codziennie wszystkich, co należą do rodziny... Uciekają mi, a ci co zostali, serca do mnie nie mają... Gniew jest złym doradcą...

Westchnął król, milczała Emnilda, jakby siły w sobie szukając.

— Miłościwy panie mój—rzekła — święci czynią cuda... módlmy się, może który z nich dla nas też cud uczyni i z martwych ich wskrzesi.

Bolesław smutnie głową potrząsł.

— Nie wiem ja, ażalim godzien cudu takiego — odezwał się.—Jeżeli kto to wy, świątobliwa niewiasto, moglibyście go wyprosić... Zaprawdę, z duszybym wam za to był wdzięczny. Spadłby mi z sumienia ciężar wielki, poweselałoby koło mnie... A no... po co mówić o tem, co się nigdy stać nie może?...

W tem opat przerwał.

— Bóg jest wszechmogącym—rzekł — jestże niepodobieństwem temu, co świat stworzył z niczego, wskrzesić człowieka choćby był umarłym?

Bolesław popatrzał nań zdumiony.

— A cóżbyś uczynił — dodała ośmielając się Emnilda, której twarz rumieńcem pałała — cobys uczynił, panie mój, gdyby się stał cud taki? cobys zrobił ze zmarłych powstałymi?

Królowi dziwna ta rozmowa przykrą się być zdawała lecz w miarę jak się przeciągała, budziło się w nim podejrzenie czy ciekawość. Ostatnie słowa królowej przyjął zadumany, wzrokiem pilnie badając żonę i opata.

— Cobym uczynił—rzekł zwolna rozmyślając.— Możesz wątpić, iżbym im przebaczył jak ojciec i do łaski przywrócił, aby zapomnieli co przecierpieli?... Bogdajbym ich mógł z sobą wziąć do łaźni i sam na sam dać im naukę, aby więcej nie broili... a potem u stołu posadzić poczestnie...

Opat spojrział na królową, która oczy spuściła, nie mówiąc nic więcej. Sieciech, który stał nieopodal, słuchał cały drżący, sądził, że Emnilda więcej powie po tak dobrem poczęciu, lecz królowa zamilkła, a król sparty na rękę ciągnął sam dalej.

— Z nimi powróciliby mi wszyscy ich powinowaci, do rady i do boju... wszyscy starzy druhowie moi, co przy mnie i za mnie krew leli... O! jakazby to była uroczystość wielka i święto!... Ale... przewielebny ojcie—zwrócił się do opata Arona—Bóg takich cudów nie czyni dziś.

— Dlaczego by dziś nie mógł uczynić, co wczoraj czynił? A jestli kto godniejszy takiego cudu, nad miłościwą panią naszą... Niech ona się modli... ja w cud wierzę.

Królowi dziwnie wesoło zaświeciły oczy.

— Emnildo moja!—zawołał — twoim modlitwom się polecam! Módl się...

To mówiąc i nie czekając odpowiedzi król, powstał od stołu, widocznie weselszy i jakby ożywiony. Zyg mu zabiegł drogę patrząc w oczy.

— Miłościwy panie! — zawołał — nigdy jeszcze w takim strachu nie był Zyg. Uchowaj Boże jaki święty wskrzesi Jaksów, to Zyga ktoś zabije na próbę, czy i on z martwych nie wstanie... Ja wolę tak sobie żyć, nie wstając z mokrej ziemi...

Za żart król zamierzył się go uderzyć, ale Zyg w porę uniknął i odskoczył.

Oda, która w milczeniu słuchała całej rozmowy, rozgorączkowana i gniewna, bo król na nią nie rzucił już nawet okiem, odstała natychmiast, do siebie żal mając, iż niepotrzebnie o Jaksach tych napomknęła. Inni też zdala pochwytawszy słowa króla i Emnildy, rozmaicie je tłumaczyli. Stojący nieopodal Harno starał się zapamiętać i natychmiast z doniesieniem pobił do ks. Petrka.

Siedział ks. pisarz u pulpitu i bawił się około pergaminu jakiegoś, gdy zdyszany wpadł komornik.

— Ojczel! — zawołał — na moje uszy słyszałem... mówiono za stołem królewskim o Jaksach. Opat utrzymywał, iż Bóg cud uczynić może i wskrzesi ich, za wstawieniem się jakiego świętego! Może to być!... To wybyście mogli mojego brata wskrzesić, a mnieby z sumienia spadł ciężar... i nieboszczyk przestałby mnie prześladować...

Ofuknął go ks. Petrek, iż nie do rzeczy prawił. Zaklął się Harno, iż własne opata słyszał wyrazy, dodając, iż król samą myślą, jakoby z grobu powstać mogli, tak był rozradowany, jakby już ich żywymi widział.

Szeroko o tem mówiąc, powtarzając się, Harno nie zbyt zrozumiałym się stał i zarobił tylko na polajanie u ks. Petrka, którego jednak rozmowa ta trochę zaniepokoiła.

Skorzystał z wieczornego obchodu niewieścich komnat, aby się dostać do Ody. Był pewien, że od

niej się o tem więcej dowie. Zastał ją rwącą z gniewu nici, któremi szyla i rzucającą kłębkami. Gdy się zjawił ks. Petrek, cisnęła ostatni i zerwała się od krosien.

— Zbiera się na dziwne sprawy! — zawołała żywo — królowa wskrzesić myśli tych, co nie pomarli... króla jak dziecko wodzą i bałamuca, a on się im daje oszukiwać!... Jacyś święci Jaksów z grobu wyprowadzą!... zrobią cud!... Słyszeliście? Opat zaręczył, iż się takie cuda dzieją! Tylko co nie widać, jak ich tu sprowadzą...

Ruszyła ramionami.

— Królowa, której należała kara, otrzyma za to podziękowanie i cześć!... któżby się tego mógł spodziewać!... — mówiła Oda gwałtownie. — Król zesłał...

— Jestże to prawda, o czem mówią, jakoby się gotowało? — zapytał pisarz. — Możesz to być?

— Zdaje się... kiedy króla próbowali... — rzekła Oda. — Al! mnie już i ten dwór i to wszystko dojadło. Wrócę do ojca... nie mam tu siedzieć czego, ani na co czekać...

Zamyślił się ks. Petrek.

— To rzeczy ślizkie... — szepnął — trzeba czekać... a z drogi nie schodzić... Tak życzę... Zobaczemy, kto króla zna?... Dziś on łagodny, a jutro może być wściekły, gdy sobie lekceważenie swych rozkazów przypomni...

Zamilkła Oda. Cichy szept jakiś zakończył rozmowę i ks. Petrek posunął się dalej.

Gdy się to działo u markgrafównej, królowa się gorąco modliła oczekując na opata. Wstała ujrzawszy go wchodzącego i upadła na kolana przed nim. Promieniała twarz jej radością niezmierną.

Opat Aron choć wzruszony, twarz miał niezmienną, na której zawsze jeden spokój, niezakłócony nigdy niczem, się malował. Radość go nie rozjaśniała więcej, smutek nie gnębił widomie.

— Mów ojcie, co teraz czynić mamy? — zapytała królowa.

— Wysyłam natychmiast, dziś jeszcze do Tyńca — odezwał się Aron — aby Jaksowie przybywali... Gdy tu staną, ty, miłościwa pani sama, ty jedna możesz rzucić się z nimi razem do nóg króla pana naszego... nie ma wątpliwości, iż im przebaczy, że wieczną wdzięczność zachowa dla was... Ja pilno będę stać na straży, aby jaki wpływ obcy nie popsuł tego, co się tak szczęśliwie uczynić dało. Bogu cześć i chwała!.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

